

JOHN MADDOX ROBERTS



ŚWIĄTYNIA  
MUŻ

DETEKTYWISTYCZNA POWIEŚĆ HISTORYCZNA  
Z DZIEJÓW STAROŻYTNEGO RZYMU

BELLONA

JOHN MADDOX ROBERTS

ŚWIĄTYNIA  
MUZ

---

DETEKTYWISTYCZNA POWIEŚĆ HISTORYCZNA  
Z DZIEJÓW STAROŻYTNEGO RZYMU

Przełożyła: Urszula Ruzik-Kulińska

**BELLONA**  
Warszawa

Tytuł oryginalny  
*The Temple of the Muses*

Okładka  
Radosław Krawczyk

Redaktor prowadzący  
Joanna Proczka

Redaktor merytoryczny  
Anna Olszowska

Redaktor techniczny  
Agnieszka Matusiak

Korekta  
Anna Olszowska

SPQR IV: The Temple of the Muses. Copyright © 1992 by John Maddox Roberts. All rights reserved  
Copyright © for the Polish edition and translation by Bellona SA, Warszawa 2014

Zapraszamy na strony:  
[www.bellona.pl](http://www.bellona.pl), [www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)  
Dołącz do nas na Facebooku:  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona)

Nasz adres: Bellona Spółka Akcyjna  
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa  
Dział wysyłki: tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78  
faks: 22 652 27 01  
e-mail: [biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)

ISBN 9788311132481

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

# Rozdział 1

**N**igdy nie twierdziłem, że lepiej umrzeć, niż opuścić Rzym. Właściwie wielokrotnie uciekałem z tego miasta, aby ocalić życie. Jednak muszę przyznać, że poza Rzymem czuję się, jakbym balansował na granicy śmierci, zawieszony w pół drogi przez Styks, gdzieś pomiędzy życiem a przekonaniem, że wszystko, co ważne, dzieje się daleko stąd. Lecz i od tego są wyjątki. Na przykład Aleksandria.

Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy pierwszy raz ujrzałem to cudne miasto. Pomińmy to, że akurat nic nie pamiętam z tego, co zdarzyło się wczoraj. Jeśli przybywa się do Aleksandrii morzem, oczywiście widzi się Faros, a nie miasto.

Wyspa Faros objawiła się w postaci smugi na horyzoncie, gdy wciąż jeszcze dzieliło nas od portu ze dwadzieścia mil. Pruliśmy fale jak szaleńcy, nie tuliliśmy się do brzegów, jak rozsądni, czuli mężczyźni. Co gorsza, w tym szaleństwie załadowaliśmy się nie na kupiecki korab o szerokim trawersie, zdolny przetrzymać sztorm na morzu, lecz na wspaniałą wojskową galerę, tak solennie pomalowaną i pozłoczoną, że niejeden pomniejszy statek już by od tego zatonął. Na dziobie, tuż powyżej tarana, umieszczono parę krokodyli z brązu. Gdy wiosła gnały nas ponad migotliwymi falami, ich paszcze zbrojne w zęby pluły morską pianą.

– To właśnie Aleksandria – powiadomił mnie kapitan, ogorzały od wiatrów Cypryjczyk w rzymskim mundurze.

– Mamy całkiem niezły czas – burknął mój wpływowy krewniak Metellus Kretyk. Jak większość Rzymian obaj z niechęcią odnosiliśmy się do morza,

bo też nie odbywaliśmy wcześniej dalekich morskich wypraw. Może właśnie dlatego wybraliśmy najbardziej niebezpieczny sposób podróżowania do Egiptu. Był jednak najszybszy. Nie ma bowiem nic, co mknęłoby szybciej po wodzie niż rzymska trirema, gdy wszyscy wiosłują, a odkąd opuściliśmy Massalię, wyciskaliśmy z wioślarzy siódme poty.

Wyprawiliśmy się z nużącym poselstwem do grupy niechętnych Galów, aby spróbować ich przekonać, iżby nie przyłączali się do Helwetów. Nie cierpiałem Galów i wielce się uradowałem, kiedy Kretyk otrzymał specjalne poruczenie od senatu, który posyłał go do egipskich władz.

Nasza galera miała miniaturowy kasztel, wzniesiony przed masztem. Wspiąłem się tam na platformę bojową, aby mieć lepszy widok. W ciągu kilku minut smuga wyrosła w słup dymu, a chwilę później można było zobaczyć też wieżę. Z tak dużej odległości nic nie wskazywało na gigantyczny rozmiar obiektu. Trudno było uwierzyć, że to jeden z cudów świata.

– Mówisz poważnie, że to ta słynna latarnia? – zapytał mój niewolnik, Hermes. Zniecierpliwiony wspiął się na górę za mną. Choroba morska dała mu się we znaki nawet bardziej niż mnie, co – nie ukrywam – sprawiało mi pewną satysfakcję.

– Słyszałem, że z bliska prezentuje się naprawdę fenomenalnie – zapewniłem go. Najpierw wyglądała niczym smukła kolumna, oślepiająca bielą w słonecznym blasku południa. Lecz gdy się zbliżyliśmy, dostrzegłem, że ów strzelisty kształt osadzono na szczycie przysadzistej struktury, ta zaś wspierała się na jeszcze szerszej. W końcu zauważyliśmy samą wyspę i mając skalę porównawczą, uświadomiłem sobie, jak potężna musi być latarnia. Zdominowała Faros, a przecież ta rozległa wyspa pomieściłaby tak wielkie miasto jak Aleksandria.

Latarnię usytuowano na wschodnim skraju wyspy. Skręciliśmy ku przylądkowi, do Wielkiego Portu. Za zachodnim krańcem wyspy krył się port Eunostos, *port bezpiecznych powrotów*, skąd statki mogły ruszyć przez kanał łączący miasto z Nilem bądź pożeglować dalej, przez jezioro Mareotis, na południe. Z racji położenia Eunostos był ulubionym portem floty kupieckiej. My jednak płynęliśmy z misją dyplomatyczną, więc oczekiwano nas w pałacu, który znajdował się przy Wielkim Porcie.

Kiedy okrążaliśmy wyspę od wschodu, Hermes wyciągał szyję, spoglądając ku górze, na latarnię. Na jej szczycie widniała okrągła kopuła,

z której unosił się dym i strzelały płomienie, smagane morską bryzą.

– No, rzeczywiście jest dość wysoka – przyznał w końcu.

– Ponad czterysta stóp, jak mówią – potwierdziłem. Diadochowie, którzy zarządzili po Aleksandrze, wznosili budynki w skali porównywalnej z dokonaniem faraonów. Ich gigantyczne grobowce, świątynie i pomniki nie były specjalnie piękne, lecz przytłaczały ogromem, zresztą zgodnie z zamierzeniem. My, Rzymianie, potrafiliśmy to zrozumieć. W końcu wywieranie wrażenia na ludziach to istotny zabieg. Oczywiście, woleliśmy praktyczne przedsięwzięcia, takie jak drogi, akwedukty czy mosty. Tu przynajmniej Faros zdobiła naprawdę użyteczna budowla, chociaż nazbyt przerośnięta.

Gdy przepływaliśmy między Faros a przylądkiem Lochias, widok miasta zaparł nam dech w piersiach. Aleksandria zajmowała pas lądu, oddzielający jezioro Mareotis od morza, tuż na zachód od Deltę Nilu. Aleksander tak wybrał miejsce, aby jego nowa stolica stanowiła raczej część greckiego świata, a nie pełnego kapłanów Egiptu. Było to bardzo mądre posunięcie. Wszystkie gmachy wzniesiono z białego kamienia, co dawało olśniewający efekt. Jakbyśmy podziwiali jakiś wyidealizowany model, a nie rzeczywiste miasto. Rzym nie jest piękny, chociaż ma kilka wspaniałych budynków. Aleksandria była bez porównania piękniejsza. No i ludniejsza niż Rzym, choć nie aż tak zatłoczona. Różniła się zdecydowanie od większości miast tym, że nie wyrosła chaotycznie. Została skrupulatnie zaplanowana, narysowana i zbudowana, dzięki czemu powstało wspaniałe miasto. Na tym spłachetku ziemi wszystkie większe budynki były doskonale widoczne z portu, od gigantycznej świątyni Serapisa w zachodniej dzielnicy po osobliwe, sztuczne wzgórze z Panejonem na wschodzie.

Największy kompleks zabudowań stanowił pałac. Ciągnął się od Bramy Księżycy na wschód, wzdłuż sierpowatych krzywizn przylądka Lochias. Była nawet prywatna wyspa władcy i łączący się z posiadłością królewski port. Ptolemeusze lubili stylowy wykwin.

Zszedłem na pokład i kazałem Hermesowi, aby przyniósł mi najlepszą togę. Marynarze polerowali do blasku swoje zbroje, lecz że byliśmy tu z misją dyplomatyczną, ani ja, ani Kretyk nie założyliśmy wojskowych uniformów.

W najlepszych ubiorach, otoczeni gwardią honorową, zbliżaliśmy do doku tuż przy Bramie Księżyca. Nad wejściem znajdowała się figura pięknej, lecz niebywale wygiętej Nut, egipskiej bogini nieba. Opierała stopy po jednej stronie bramy, długie ciało tworzyło nad nią łuk, a końce palców spoczywały po przeciwnej stronie. Jej ciało, mocno błękitne, usiały gwiazdy. Pod tak utworzonym łukiem wisiał wielki gong alarmowy w kształcie słonecznego dysku. Wkrótce miałem zrozumieć, że symbole egipskiej religii są w Aleksandrii po prostu wszędzie, czym różniła się od greckich miast.

Mknęliśmy ku kamiennemu pomostowi, jakbyśmy zamierzali go staranować i zatopić. W ostatnim momencie kapitan rzucił rozkaz. Wiosła zanurzyły się w wodę, wzbijając wielką fontannę, i tam już pozostały. Statek nagle stracił pęd i łagodnie zatrzymał się tuż przy nadmorskim wale.

– Gdyby tak przywiązać do tarana różę, nie uroniłaby ani płatka – chełpił się kapitan z uzasadnioną przesadą. Wciągnięto wiosła, na brzeg rzucono liny. Teraz poczęto holować triremę wzdłuż wybrzeża. Przyśpieszyła. Za pomocą żurawia opuszczono wielki pomost rozładunkowy. Gdy oparł się na kamiennej ścieżce, żeglarze karnie ustawili się w rzędach po jego obu stronach. Ich staromodne brązowe napierśniki błyszcząły w słońcu.

Z miasta wyruszyła ku nam delegacja powitalna. Współtworzyli ją dworscy oficjele w egipskich strojach oraz ubrani w togi przedstawiciele Rzymu. Egipcjanie postarali się o zapewnienie stosownej rozrywki. Byli więc żonglerzy i tresowane małpy, a kilka nagich tancerek wyginało się lubieżnie. Rzymianie zachowywali się dostojniej, lecz kilku z nich było na rauszu i mimo wczesnej pory chwiało się na nogach.

– Chyba polubię to miejsce – uśmiechnąłem się, schodząc na pomost.

– Nie wątpię – przytaknął Kretyk. W owym czasie moja rodzina nie miała o mnie najlepszego zdania.

Zagrzmiały bębny, fujarki wydały ostre tony, zabręczało sistrum. Chłopcy wywijali kadzielnicami, spowijając nas obłokami aromatycznego dymu. Kretyk znosił to wszystko ze stoicyzmem, ja zaś byłem tym wszystkim urzeczony.

– Witaj w Aleksandrii, zacny senatorze Metellusie! – zawołał wysoki mężczyzna, w niebieskiej todze zdobnej w liczne złote frędzle. Zwrócił się do Kretyka, nie do mnie. – Witaj, Kwintusie Cecyliuszu Metellusie, pogromco Krety!

Niewiele to miało co prawda wspólnego z pogromem, lecz senat nadał mu

tytuł i przyznał mu prawo do triumfu.

– Ja, Poliksenos, trzeci eunuch dworu króla Filopatora Filadelfosa Neosa Dionizosa, jedenastego z Ptolemeuszów, witam cię uroczyście i przyznaję ci swobody naszego miasta i pałacu w uznaniu dla głębokiej miłości i poważania, jakie od dawien dawna łączą Rzym z Egiptem.

Poliksenos, podobnie jak inni dworscy urzędnicy, nosił czarną perukę, równo przyciętą na egipską modłę, oczy miał mocno obrysowane na czarno, uróżowane policzki i usta.

– Kim jest trzeci eunuch? – zapytał po cichu Hermes. – Czy pierwszy i drugi eunuch mają po jednym jaju albo coś w tym rodzaju? – Właściwie sam się nad tym zastanawiałem.

– Senat i lud rzymski – oznajmił Kretyk – wyznaczył mnie i obdarzył przywilejem wyrażenia ogromnego szacunku, jaki zawsze żywiliśmy do króla Ptolemeusza, zacnych rodów Egiptu i jego ludności.

Dworzanie zaklaskali, gruchając niczym stado tresowanych gołębi.

– W takim razie proszę, podążajcie za mną do pałacu, gdzie na waszą cześć zorganizowaliśmy przyjęcie.

No i rzeczywiście. Ledwo poczułem stały ląd pod stopami, a już mi wrócił apetyt. Przy akompaniamencie bębna i fletu, sistrum oraz cymbałów minęliśmy Bramę Księżycy. Wśród przedstawicieli rzymskiego korpusu, którzy nas otoczyli, rozpoznałem znajomą twarz. Był to kuzyn z rodu Cecyliuszów, zwany Rufusem z racji rudych włosów. Był nie tylko rudowłosy, lecz także leworęczny. Z takim zestawem cech nie miał przyszłości w rzymskiej polityce, toteż wysłano go na placówkę w obcym kraju. Poklepał mnie po ramieniu i zionął mi w twarz odorem przetrawionego wina.

– Dobrze cię widzieć, Decjuszu. Czyżbyś w Rzymie znów popadł w niełaskę?

– Nasza starszyzna uznała, że to właściwa pora, abym się oddalił. Klodiusz wreszcie zmienił front i został plebejuszem. Stara się o urząd trybuna ludowego. Jeśli uzyska to stanowisko, w przyszłym roku nie zdołam wrócić do domu. Będzie zbyt potężny.

– No to kiepsko – rzekł Rufus. – W końcu jednak trafiłeś w jedyne miejsce w świecie, gdzie nie będzie ci brakowało Rzymu.

– Tak tu dobrze? – Na samą myśl pokraśniałem.

– Niewiarygodnie. Klimat jest cudowny przez cały rok, wszelka rozpusta



świata jest tu dostępna za pół darmo, a publiczne widowiska znakomite, szczególnie wyścigi. Co więcej, życie tu nie zamiera po zachodzie słońca. I zapewniam cię, Decjuszu, mój przyjacielu, że jeśli Egipcjanin nie włożył ci w tyłek, nie wiesz, co w ogóle oznacza włożenie w tyłek. Oni sądzą, że każdy Rzymianin jest bogiem.

– Postaram się ich nie rozczarować – zażartowałem.

– Ulice są czyste. Ale wcale nie musisz dużo chodzić, jeśli nie będziesz chciał.

Wskazał lektykę, która czekała na nas za Bramą Księżyca. Wgapiłem się w nią jak kmiotek, który po raz pierwszy w życiu ujrzał Kapitol.

Oczywiście, korzystałem już wcześniej z lektyki. Tego rodzaju środek transportu w Rzymie dźwigało dwóch lub czterech siłaczy. Był to wolny, lecz dostojny sposób przemieszczania się, dzięki któremu można było uniknąć brodzenia w błocie i śmieciach. Tu jednak ujrzałem coś zupełnie innego. Najpierw należy powiedzieć, że każdą lektykę niosło przynajmniej pięćdziesięciu czarnoskórych Nubijczyków. Dźwigali na barkach tyczki tak długie jak maszty statków. Taka lektyka mieściła przynajmniej dziesięciu pasażerów. Żeby się dostać na siedziska, należało wspiąć się po schodach. Usadzeni i podźwignięci, znajdowaliśmy się powyżej okien piętra budynków.

Siedzisko, do którego mnie zaprowadzono, wykonane z hebanu, było wyłożone kością słoniową i obciążone skórą pantery. Rozciągnięty nad głową baldachim chronił od słońca, podczas gdy niewolnik wyposażony w wachlarz z piór chłodził mnie i odganiał muchy. Tak, to było zdecydowanie lepsze miejsce niż Galia. Ku mojej uldze Kretyk i eunuchowie zajęli inną lektykę. Muzycy wciąż wygrywali melodie, a tancerki i zonglerzy płąsali wzdłuż tyczek, wprost cudem nie zderzając się z tragarzami. I tak oto, niczym bogowie niesieni w uświęconej procesji, ruszyliśmy w drogę.

Z mojego poziomu pojąłem nagle, dlaczego tak wielkie obiekty mogły swobodnie przemierzać miasto. Ulice były szerokie i zupełnie proste, zjawisko w Rzymie całkiem nieznanne. Ta, którą podążaliśmy, wiodła z północy prosto na południe.

– To ulica Somy – poinformował mnie Rufus, wyciągając zza swojego siedziska dzban wina. Nalał pełen kubek i wręczył mi go. – Właściwie Soma, grobowiec Aleksandra, nie znajduje się przy tej ulicy, ale całkiem niedaleko. Mijaliśmy kolejne przecznice. Wszystkie drogi były proste, lecz nie tak szerokie jak ta, którą przemierzaliśmy. Wszystkie wzniesione z białego

kamienia gmachy cechowała wysoka jakość wykonania, tak obca Rzymowi, gdzie często współistniały w jednej dzielnicy rezydencje i rudery. Później dowiedziałem się, że wszystkie budynki w Aleksandrii wykonano wyłącznie z kamienia, nie miały ani drewnianych szkieletów, ani podłóg czy dachów. Miasto było ognioodporne.

Dotarliśmy do skrzyżowania z ulicą jeszcze szerszą od naszej. Tu lektyki skręciły na wschód niczym halsujące statki. Tłumy na ulicy służalczo pozdrawiały naszą małą procesję, nawet głośniej, jak mi się wydawało, gdy tylko dostrzegały stroje rzymskich osobistości. Zdarzały się jednak wyjątki. Żołnierze, którzy – takie odniosłem wrażenie – stali na każdym rogu ulicy, popatrywali na nas nienawistnie. Spytałem o nich.

– To Macedończycy – rzekł Rufus. – Nie należy ich mylić ze zdegenerowanymi Macedończykami z dworu. Ci tutaj to barbarzyńcy, co dopiero zeszli z gór.

– Od czasów Emiliusza Paulusa Macedonia jest rzymską prowincją – zauważyłem. – Jakim cudem mają tu jeszcze swoją armię?

– To najemnicy w służbie Ptolemeuszów. Nie przepadają za Rzymianami.

Podąłem mu kubek, aby znów go napełnić.

– Doprawdy? – ironizowałem. – Nie mam pojęcia, czemu mieliby się tak czuć, zważywszy, ile razy ich pokonaliśmy. Słyszałem pogłoski, że wciąż się buntują, więc wysłano do nich Antoniusza Hybrydę.

– To twardy los – rzekł Rufus. – Lepiej trzymać się od nich z daleka.

Pomijając skwaszonych żołnierzy, mieszkańcy wydawali się serdeczni i dobrze nastawieni do cudzoziemców. Nigdy nie widziałem takiej różnorodności kolorów skóry, włosów i oczu, no chyba że na targu niewolników. Dominowały stroje greckie, lecz można było dojrzeć ubiory z każdego zakątka świata – od przepasanych szat pustynnych po skóry i pióra z dżungli. Biel kamiennych ścian przełamывała masa zieleni, zwieszającej się z balkonów i ogrodów na dachach. Wazony kipiały od kwiatów i wszędzie wisały bogate, świąteczne wieńce.

Dokoła było mnóstwo świątyń bóstw greckich, azjatyckich i egipskich. Była nawet świątynia rzymska, przykład lizusostwa, w którym celowali Egipcjanie. Głównym bóstwem miasta był Serapis, stworzony specjalnie na potrzeby Aleksandrii. Jego sanktuarium, Serapeum, należało do najsłynniejszych w świecie. Jego architektura przypominała wprawdzie budowle greckie, jednak zdobienia wszędzie były egipskie, a wśród nich

wyróżniały się niewiarygodne egipskie hieroglify.

Gdzieś z przodu dobiegły nas dźwięki wydobywane przez muzyków, czyniących jeszcze większy harmider niż nasi. Z bocznej ulicy wyłoniła się rozszalała procesja, a lektyka niosąca dworską frakcję zatrzymała się, aby umożliwić jej przejście. Tłum rozemocjonowanych wyznawców rozlał się po obu stronach przestronnego bulwaru. Wielu ludzi nosiło jedynie przykrótkie kozie skóry; ich włosy wirowały dziko, gdy rytmicznie bili w tamburyny. Inni, mniej otępiali, w prześwitujących białych strojach, brzdąkali na harfach, grali na fletach i nieodłącznym sistrum. Przyglądałem się temu z zainteresowaniem, ponieważ zwiedzanie greckich rejonów świata miałem jeszcze przed sobą, a dionizje w Rzymie od dawna były zakazane.

– Znowu oni... – rzucił z niesmakiem Rufus.

– W Rzymie wyrzucono by ich z miasta – zapewnił sekretarz ambasady.

– Czy to menady? – spytałem. – To dość dziwna pora roku na takie rytuały.

Zauważyłem, że wielu z nich oplatają węże, a liczni młodzieńcy z wygolonymi głowami częstokroć mieli taki wyraz twarzy, jakby ich ktoś właśnie zdzielił w podstawę czaszki.

– Nic godnego uwagi – zapewnił Rufus. – To czciciele Ataksasa.

– To jakiś miejscowy bóg?

– Nie, to święty z Azji Mniejszej. W mieście jest sporo takich jak on. Przebywa tu od kilku lat. Zdążył pozyskać dość liczną rzeszę wyznawców. Czyni cuda, przepowiada przyszłość, sprawia, że posągi przemawiają i inne takie tam. To kolejna rzecz, Decjuszu, jaką musisz wiedzieć o Egipcjanach: nie mają najmniejszego poczucia przyzwoitości, jeśli chodzi o religię. Żadnej *dignitas*, żadnej *gravitas*. Skromne, godne rzymskie rytuały i ofiary nie pociągają ich wcale. Lubią ten rodzaj obchodów, w które bez reszty angażują się fizycznie i emocjonalnie.

– Odrażające – zachnął się sekretarz.

– Wyglądają, jakby się dobrze bawili – zauważyłem. W tej samej chwili ulicę przecięła wspaniała lektyka, jeszcze wyższa od naszej. Nieśli ją jeszcze bardziej rozszalali czciciele, co nie wpływało dobrze na jej stabilność. Na jej szczycie znajdował się tron, a na nim siedział mężczyzna odziany w ekstrawagancką, purpurową szatę, pokrytą złotymi gwiazdami, i wysokie nakrycie głowy, zwieńczone srebrnym półksiężycem. Na jego ramieniu wił się ogromny wąż. W drugiej ręce trzymał pejcz taki, jakich się używa, żeby

zdyscyplinować krnąbrnych niewolników. Dostrzegłem, że miał czarną brodę, długi nos i ciemne oczy, lecz niewiele poza tym. Spoglądał w dal, przed siebie, jakby nieświadom wrzawy, wzniecanej na jego cześć.

– A oto i on sam, wielki człowiek – parsknął Rufus.

– To ma być Ataksas?

– Nie inaczej.

– Zastanawiam się – rzekłem ostrożnie – dlaczego procesja wysokich rangą urzędników ustępuje drogi takiej hołocie, którą z Rzymu przegnano by stadem molossów.

Rufus wzruszył ramionami.

– To właśnie jest Aleksandria. Mimo pozorów greckiej kultury w głębi ducha ci ludzie są równie przesądni, jak za czasów faraonów. I pozwalają kapłanom sobą sterować.

– I w Rzymie nie brakuje religijnych szarlatanów – sarknąłem.

– Dostrzeżesz różnicę, zanim na dobre zadomowisz się na dworze – obiecał Rufus.

Gdy chaotyczna, rozgorączkowana procesja nas minęła, podjęliśmy stateczną wędrówkę. Dowiedziałem się, że ulica, którą podążamy, to Droga Kanopska, główny trakt wiodący do Canopus, przecinający Aleksandrię wedle osi wschód-zachód. Tak jak pozostałe była prosta, jakby ją ktoś wytyczył, rysując linię kredą. Wiodła od Bramy Nekropoli na zachodzie po Bramę Kanopską na wschodzie. W Rzymie było bardzo niewiele ulic, na których dwóch mężczyzn mogło się minąć, nie ustawiając się przy tym bokiem. Na tej drodze dwie lektyki, takie jak nasza, mijaly się z łatwością, pozostawiając jeszcze po obu stronach sporo miejsca dla pieszych.

Obowiązywały ścisłe przepisy dotyczące tego, jak daleko balkony mogły wystawać z fasad budynków. Zakazano też rozwieszania nad traktami sznurów do suszenia prania. Było to na swój sposób krzepiące, lecz ludzie dorastający w Rzymie mają wrodzoną potrzebę chaosu, więc już po chwili ów porządek i wszechobecna regularność poczęły mnie przytłaczać. Zdaję sobie sprawę, że w pierwszej chwili pomysł wydaje się dobry. Zaprojektowanie miasta tam, gdzie wcześniej nie było nic, pozwala uniknąć bolączek tych osad, które się rozrastały chaotycznie jak Rzym. Mnie jednak nie pociągało życie w czymś, co było istnym dziełem sztuki. Sądzę, że właśnie stąd brała się nie najlepsza reputacja aleksandryjczyków: pogłoski o ich zdeprawowaniu i miejscowych rozpustnych uciechach. Człowiek,

zmuszony do życia w otoczeniu, jakie mógłby wymyślić sam Platon, musi gdzieś szukać ukojenia i ujścia dla żądz, pogardzanych przez filozofów. Podłość i wyuzdanie to z pewnością nie jedyne wentyle bezpieczeństwa, lecz myśl o nich wydawała się kusząca.

W końcu skręciliśmy na północ, na wspaniały trakt, wykorzystywany podczas oficjalnych procesji. Przed nami wyrosło kilka skupisk imponujących budynków. Część ich otaczały blankowane mury. Podążając na północ, minęliśmy pierwszy z wielkich kompleksów po prawej stronie.

– Muzejon – objaśnił Rufus – stanowi właściwie część pałacu, ale znajduje się poza linią murów obronnych.

To był imponujący obiekt. Szerokie schody pięły się ku świątyni muz. Właśnie od nich wzięła się nazwa tego zespołu budynków. Jednak znacznie większe znaczenie przywiązywano do sąsiednich gmachów niż do świątyni. Na koszt państwa prowadziło tam badania wielu znakomitych uczonych, tam też upowszechniali swoje teksty i wygłaszali wykłady, jeśli tylko mieli na to ochotę. Nie było w świecie drugiego takiego miejsca. Swoją nazwę zawdzięczało ono świątyni, lecz zakładane w późniejszych latach podobne instytucje zwano również muzejonami, a potem muzeami, na wzór rzeczonyj instytucji.

Jeszcze większą estymą niż sam Muzejon cieszyła się przylegająca do niego gigantyczna biblioteka. Przechowywano w niej największe dzieła świata. Tutaj je przepisywano i stąd rozsyłano po cywilizowanym świecie. Na tyłach Muzejonu dominował wielki, pochyły dach biblioteki. Przy nim wszystkie okoliczne budynki wydawały się małe. Zachwyciłem się jego wspaniałością, lecz Rufus, zniecierpliwiony, tylko machnął ręką, jakby chodziło o błahostkę.

– Ta tutaj to mniejsza biblioteka. Nazywamy ją biblioteką-matką, bo była pierwsza. Założył ją sam Ptolemeusz Soter. Mamy też bibliotekę-córkę, jest większa i przytyka do Serapeum. Podobno w obu znajduje się łącznie ponad 700 tysięcy dzieł.

Było to wprost niewiarygodne. Próbowałem sobie unaocznic, jak wygląda 700 tysięcy tekstów. Wyobraziłem sobie legion wraz z kohortą oddziałów pomocniczych. Razem byłoby to 7000 mężczyzn. Przedstawiłem sobie jak taka masa ludzi, łupiąc Aleksandrię, wynosi po sto tomów. Każdy musiałby nieść sto woluminów! Jednak nadal to jakoś niezbyt dobrze oddawało rzeczywistość. W tym procesie myślowym wino zapewne nie pomagało.

Minęliśmy Muzejon, przekroczyliśmy jeszcze jedną bramę i znaleźliśmy się wewnątrz kompleksu pałacowego. Pałac aleksandryjski bez wątpienia odzwierciedlał ambicje diadochów – wszystko budowali większe niż poprzednicy. Wzniesione przez nich skromniejsze domy odpowiadały wielkością przeciętnym pałacom stawianym w innych rejonach świata. Ich ogrody miały rozmiary miejskich parków, a sanktuaria przypominały wprost świątynie. Było to istne miasto w mieście.

– Dobrze się przysłużyli barbarzyńcom – zauważyłem.

Lektyki postawiono przed schodami kolumnowego portyku, który biegł wzdłuż niebywale długiego budynku. U szczytu schodów pojawił się tłum dworskich urzędników. Pośród nich znajdował się postawny mężczyzna o przyjemnym wyrazie twarzy: Ptolemeusz Flecista. Poznałem go, kiedy odwiedzał Rzym. Począł schodzić w dół, gdy tylko Kretyk opuścił swoje eksponowane siedzisko. Ptolemeusz wiedział, że zostanie to lepiej przyjęte niż oczekiwanie na nas u szczytu schodów. Mogłoby to przecież wyglądać tak, że oto rzymski urzędnik wspina się po schodach, aby spotkać wyższego rangą rzymskiego urzędnika.

– Stary Ptolemeusz nigdy się jeszcze tak nie spał – zauważyłem.

– I nigdy nie był aż tak zadłużony – rzekł Rufus, gdy chybotliwie zmierzaaliśmy ku wyłożonej mozaiką ścieżce. Niezmiennie nas zdumiewało, że władca najbogatszego kraju w świecie był ewidentnie również żebrakiem. Owszem, próbowaliśmy to wykorzystać.

Poprzednie pokolenie Ptolemeuszów wyrzynało się wzajemnie tak zawzięcie, aż niemal wyrznęli dynastię do zera. Rozwścieczony aleksandryjski motłoch mógł tylko dokończyć dzieła. Odnaleziono wówczas królewskiego bękarta, Ptolemeusza XII Neosa Dionizosa, który był, nie sposób ukryć, *flecistą*. Powierzono mu opustoszały tron. Przez ponad wiek Rzym pośrednio sprawował władzę w Egipcie. Faraon skarżył się Rzymowi i prosił o pomoc, o wsparcie swoich niewygórowanych roszczeń, my zaś na to przystawaliśmy. Rzym bowiem zawsze wolał wspierać słabych władców, niż porać się z potężnymi.

Ptolemeusz dotarł ścieżką do Kretyka i wyściskali się. Kretyk zmarszczył nos, gdy poczuł zapach Ptolemeusza. Wyglądało też na to, że władca nie dba o miejscowe obyczaje, tak hołubione na dworze. Nosił grecki strój, a resztkę włosów, która mu pozostała, zaczesał pod opaską na grecką modłę. Jednakże obficie używał kosmetyków do twarzy, aby zamaskować spustoszenie, jakie

poczyły czas i rozpusta.

Gdy Kretyk zniknął wraz z królem w pałacu, gdzie miała się rozpocząć oficjalna uroczystość powitalna, wymknąłem się z Rufusem i paru innymi do rzymskiej placówki dyplomatycznej, miejsca mego zakwaterowania. Zajmowała ona pałacowe skrzydło. Było tam sporo pokoi gościnnych, komnat, gdzie odbywały się uczyty, a także łaźnie, gimnazjon, ogrody, stawy, a ponadto tłum niewolników, zdolnych do obsłużenia największej plantacji w Italii. Moja kwatera okazała się przestronniejsza niż moje mieszkanie w Rzymie. Przydzielono mi też do pomocy dwudziestu niewolników.

– Dwudziestu? – zaprotestowałem, gdy prezentowano mi personel. – Mam ze sobą Hermesa i nawet ten mały urwis niewiele ma do roboty.

– Po prostu weź ich sobie, Decjuszu – nalegał Rufus. – Wiesz, jacy są niewolnicy; znajdą sobie coś do roboty. Czy pokoje ci odpowiadają?

Rozejrzałem się po obszernej siedzibie.

– Ostatnio widziałem coś takiego, kiedy odwiedziłem Lukullusa w jego nowej miejskiej rezydencji.

– Masz tu nieco lepiej niż pośledni urzędnicy w rodzimym kraju, nieprawdaż? – rzucił Rufus z satysfakcją w głosie. Bez wątpienia znalazł sobie idealne zwieńczenie kariery.

Udaliśmy się na niewielki dziedziniec, aby posmakować miejscowego cenionego wina i wymienić się informacjami o najnowszych wydarzeniach w naszych, jakże różnych krajach. Pod palmami było przyjemnie chłodno. Oswojone mały hasały wśród ich koron. W wyłożonym marmurem basenie podpłynął spasiony karp, żądny kolejnej porcji karmy. Rozdziawiał pyszczek tak, jak ptaszęta rozdziawiają dzioby.

– Czy zatrzymałeś się w Rzymie po drodze do nas? – dopytywał się niecierpliwie sekretarz.

– Nie, płynęliśmy przez Sycylię i Krete. Zapewne masz świeższe wieści z Kapitolu niż ja.

– W takim razie powiedz, co z Galią? – chciał wiedzieć Rufus.

– Same problemy. Helweci gardłują, że wypowiedzą nam wojnę. Doskwiera im obecność Rzymian i przebąkują, że niebawem odzyskają rzymską prowincję.

– Nie możemy im na to pozwolić! – wtrącił ktoś. – To nasz jedyny lądowy łącznik z Iberią!

– Toteż próbujemy temu zapobiec... – zauważyłem. – Zebraliśmy wielu

przywódców plemiennych. Przypomnieliśmy im o naszej dawnej przyjaźni i przymierzach. Daliśmy też parę łapówek.

– Sądziś, że nie naruszają pokoju? – dopytywał się Rufus.

– Z Galami nigdy nic nie wiadomo – przyznałem. – To porywczy ludzie, skorzy do bitki. Może być i tak, i siak. Kiedy wyjeżdżaliśmy, większość wyglądała na ukontentowanych, lecz już choćby nazajutrz jakiś podżegacz mógł wygłosić płomienne przemówienie, judząc, że zachowują się jak baby, uznając zwierzchność Rzymu. A gdyby do tego doszło, następnego dnia cała Galia mogła podnieść bunt po to tylko, żeby dowieść swego męstwa.

– Cóż, wcześniej wielokrotnie ich pokonaliśmy – odparł pisarz, na co dzień wiodący beztroski żywot w bezpiecznej odległości od Galii.

– Lecz i oni nam kilka razy złupili skórę – przypomniałem mu. – Jedno plemię czy dwa nie stanowi jeszcze zagrożenia. Lecz jeśli wszystkie galijskie plemiona postanowią nas wyrzucić, nie sądzę, abyśmy wiele mogli wskórać. Ich przewaga liczebna wynosi blisko pięćdziesięciu na jednego, no i są na własnym terenie.

– Potrzebujemy kolejnego Mariusza – wtrącił ktoś. – On wiedział, jak sobie radzić z Germanami i Galami.

– Wiedział też, jak radzić sobie z Rzymianami – dorzuciłem z goryczą. – Najczęściej ich po prostu wyrzynał.

– Tylko tych w randze senatorów – zauważył obrzydliwy asystencik. – Lecz w owych czasach wy, Metellowie, wspieraliście Sullę, nieprawdaż?

– Nie zwracaj na niego uwagi – zauważył Rufus przyjaźnie. – Jest synem wyzwolenca. Tacy jak on masowo zaciągali się do sfory Mariusza. A teraz na poważnie. Kiedy zmienia się prokonsul Galii Zaalpejskiej?

– W przyszłym roku – odparłem. Będzie nim jeden z konsulów. Ten usłużny cymbał znajdzie się na celowniku, kiedy Galowie w końcu się zbuntują i zaczną wymiatać ze swych ziem wszystkich rzymskich obywateli, jakich zdołają dorwać.

Gdybym tylko wiedział, co się wydarzyło tego roku w Rzymie, nie byłbym aż tak niefrasobliwy. Musieliśmy stawić czoło czemuś o wiele gorszemu niż nieistotna porażka wojskowa w Galii. Lecz tymczasem trwałem w błogiej nieświadomości co do wydarzeń zachodzących w Rzymie.

– No dobrze, a co tam w Egipcie? – spytałem. – Coś musi być na rzeczy, skoro senat odwołał Kretyka aż z Galii, żeby go tu przysłać.

– Tutejsze sprawy? Ot, knowania paru kombinatorów, jak zwykle –



odpowiedział Rufus. – Ptolemeusz jest ostatnim żyjącym męskim potomkiem rodu. Kwestia dziedziczenia tronu staje się paląca, gdyż rychło zapije się na śmierć. Wtedy musimy już mieć dziedzica, którego będziemy wspierać, albo trzeba się będzie zmierzyć z wojną domową. Ta zaś mogłaby trwać wiele lat i zaangażować wiele legionów.

– Kim są rywale? – zaciekawilem się.

– Jest tylko jeden. Małeństwo, urodzone kilka miesięcy temu, w dodatku chorowite – wyjaśnił pisarz.

– Niech zgadnę. Ma na imię Ptolemeusz – oprócz tego używali tylko imienia Aleksander.

– Jak zdołałeś to wydedukować? – złośliwie spytał Rufus. – Tak, to kolejny mały Ptolemeusz, któremu bardzo daleko jeszcze do pełnoletności. Tak się właśnie rzeczy mają.

– A dziewczynki? – spytałem świadom, że kobiety z tego rodu były zwykle bardziej inteligentne i silniejsze od mężczyzn.

– Są trzy księżniczki. Berenika ma około dwudziestu lat i jest ulubienicą władcy. Dalej jest mała Kleopatra, lecz ta ma najwyżej dziesięć lat. W końcu jest Arsinoe, ma z osiem lat.

– Żadnej Selene w tym pokoleniu? – było to jedyne inne imię, jakie nadawano córkom Ptolemeuszów.

– Była jedna, lecz zmarła. Teraz, jeśli nie narodzą się inne dziewczynki, zapewne wydadzą Kleopatę za Ptolemeusza, o ile on zdoła tego dożyć. Właściwie jest nawet dworska frakcja, która ją wspiera.

Dawno temu Ptolemeusze przyswoili sobie osobliwy egipski zwyczaj poślubiania własnych sióstr.

– Z drugiej strony – dodał – jeśli król zejdzie z tego świata wcześniej, to pewnie Berenika poślubi niemowlaka i zostanie regentką.

– A czy to takie złe rozwiązanie? – próbowałem zrozumieć. – Z reguły Bereniki oraz Kleopatry z tego rodu okazują się całkiem pojętymi stworzeniami, nawet jeśli mężczyźni na ogół przypominają błaznów.

– Akurat ta Berenika to zupełnie bezmózgowie – ocenił Rufus. – Zajmuje się wszelkimi obrzydliwymi kultami, jakie się pojawiają. W ubiegłym roku popularnością cieszyły się obrządki babilońskie, oddała się więc jakiemuś azjatyckiemu maskaronowi o głowie orła, jakby egipcyscy bogowie nie byli dość odrażający. Z tym maskaronem zapewne już skończyła, toteż pewno już wynalazła sobie kolejnego, jeszcze bardziej parszywego.

Układy na dworach rzadko bywają proste, lecz tutaj wyglądało to naprawdę fatalnie.

– No a kto wspiera Berenikę?

– Za Bereniką jest większość dworskich eunuchów. Satrapowie z różnych nomów są podzieleni. Niektórzy marzą jedynie o końcu dynastii Ptolemeuszów. Rządzą w swoich małych krainach jak udzielni władcy, mają prywatne armie.

– A więc musimy mieć kogoś takiego, na kogo senat mógłby głosować, żeby się dało uzasadnić interwencję na rzecz naszego kandydata? – upewniłem się.

Westchnąłem głęboko i zadałem kolejne pytanie:

– Dlaczego po prostu nie zaanektujemy tego kraju? – wpadłem na pomysł.

– Rozsądne imperialne rządy w Egipcie wyświadczyłyby tylko światu przysługę – zauważyłem.

Tego dnia odbył się wystawny bankiet, którego główną atrakcją był pieczony w całości hipopotam. Wówczas to samo pytanie zadałem Kretykowi, a on wyjaśnił mi kilka spraw.

– Przejąć Egipt? Przez ostatnie sto lat mogliśmy tak uczynić w dowolnym momencie, jednak się powstrzymywaliśmy, bo było to uzasadnione.

– Nie rozumiem – odparłem. – Czy kiedykolwiek odrzucamy sposobność, aby móc plądrować i zagrabić kolejne terytoria?

– Nie ogarniasz całości spraw – ocenił, kiedy niewolnik nalewał chochlą zupy z ucha słonia do solidnej, złotej misy, wspartej na kryształowej podstawie w kształcie pijanego Herkulesa. Zanurzyłem łyżkę z kości słoniowej w tę paćkę i spróbowałem. Daleko jej było do zupy na kurczaku.

– Egipt to coś więcej niż łupy czy terytorium – wyjaśniał cierpliwie Kretyk. – To najbogatsza i najaktywniejsza ludność świata. Ptolemeusze byli zawsze ubodzy wyłącznie dlatego, że kiepsko wszystkim zarządzali. Wydawali krocie na zbytkowne kosztowności albo na przedsięwzięcia, które gwarantowały im co prawda prestiż, lecz nie dobrobyt czy potęgę.

*Flecista* chrapał już łagodnie, wsparty na ramieniu Kretyka, więc nie dąsał się na takie uwagi.

– To jeszcze jeden powód, aby przeorganizować tu wszystko na wzór rzymski – zauważyłem.

– A komu powierzyłbyś to zadanie? – spytał Kretyk. – Pozwól, że ci to uświadomię... Dowódca, który podbija Egipt, w tej samej chwili stanie się

najbogatszym człowiekiem w świecie. Czy potrafisz sobie wyobrazić spory i knowania wśród naszych dowódców, gdyby senat zaczął im wymachiwać przed nosem takim kąskiem?

– Rozumiem.

– Jest coś jeszcze. Egipt produkuje wielokrotnie więcej zboża niż pozostałe krainy, co przekracza granice ludzkiego pojmowania. Każdego roku Nil uczynnie dostarcza nowy ładunek mułu, chłopci zaś pracują tu znacznie wydajniej niż nasi niewolnicy. Zwykle pora zbiorów przypada dwa razy do roku, ale zdarza się, że i trzy. Gdyby inni cierpieli głód, Egipt zdołałby wyżywić całe nasze cesarstwo, nieco tylko modyfikując racje.

– A więc ci, którzy władaliby wówczas Egiptem, mieliby w garści całe imperium?

– Nic nie stałoby też na przeszkodzie, aby ogłosili siebie niezawisłymi władcami. Administrowaliby bogactwem, pozwalającym wynająć takie oddziały, jakich by potrzebowali. Czy chciałbyś ujrzeć Pompejusza, dysponującego taką mocą? Albo Krassusa?

– To rozumiem. Dlatego zawsze staramy się wspierać kolejnych degeneratów z grona kandydatów do egipskiego tronu?

– Właśnie. Zawsze służymy im pożyczkami, wsparciem wojskowym i radą. Nie idzie o to, żeby dobrze przyjmowali nasze rady. Gajusz Rabiriusz przecież dzielnie się stara zapanować nad problemami finansowymi Ptolemeusza, lecz mogą minąć lata, zanim będzie widać jakiegokolwiek efekty.

Rabiriusz był słynnym rzymskim lichwiarzem, który pożyczał Ptolemeuszowi znaczne sumy. Ten w zamian mianował go zarządcą finansów Egiptu.

– Kogo więc tym razem wspieramy?

– Pozostaje nam niemowlę – odparł, jeszcze bardziej ścisząc głos. – Lecz nie ma potrzeby mówić o tym zbyt wcześnie. – Zrobił minę świadcząca o poufnym charakterze konwersacji. – Inne stronnictwa będą usilnie o nas zabiegać tak długo, jak długo utrzymamy je w przekonaniu, że mogą liczyć na przychyłność Rzymian.

– Królewskie córki nie wchodzą w grę? – dociekałem. Musiałem zobaczyć się z tymi młodymi damami, choć o tej porze roku mieszkały pewnie w wiejskich rezydencjach.

– Senat nigdy nie sprzyjał faworyzowaniu kobiet na tronie. Otacza je bowiem zbyt wielu zaborczych krewnych i dworzan. Zakładam, że bachor

będzie musiał jedną z nich poślubić, lecz to wyjdzie jego egipskim poddanym tylko na dobre. Jeśli chodzi o wolę senatu, równie dobrze mógłby poślubić jednego ze świętych krokodyli.

– A więc wszystko już postanowiono – zauważyłem. – W takim razie jak zagospodarujemy nasz czas tutaj?

– Jak wszyscy inni Rzymianie – odparł z uśmiechem. – Postaramy się dobrze bawić.

## Rozdział 2

**P**rzez dwa miesiące wiodłem cudownie próżniaczy żywot rzymskiego urzędnika przebywającego z misją w Egipcie. Powodowany ciekawością, udałem się do wszystkich najświetniejszych miejsc. Obejrzałem piramidy i gigantyczną głowę, wspartą na równie ogromniastym ciele lwa. Widziałem pomnik Memnona, który przywołuje wschód słońca dźwiękami muzyki. Obszedłem pewne osobliwe świątynie i napotkałem nie mniej osobliwych kapłanów. Dokądkolwiek się udawałem, królewscy urzędnicy służalczo zajmowali się wszystkim, aż zacząłem podejrzewać, że wniosą na moją cześć przynajmniej sanktuarium. A może i wzniesli.

Jednak dopiero po opuszczeniu Aleksandrii, wkracza się do właściwego Egiptu – Egiptu faraonów. Ten kraj to miejsce zdumiewające – jakby zastygłe i niezmiennie. W każdym nomie widać świątynie, wzniesione przez Ptolemeuszów pradawnym bogom. Milę czy dwie dalej można było zobaczyć właściwie identyczne świątynie, tyle że starsze o dwa tysiące lat. Jedyna różnica dotyczyła malunków – na ogół w starszej świątyni były nieco wyblakłe.

W wielkim centrum obrzędowym w Karnaku znajduje się kompleks świątynny rozmiarów miasta. Jego rozległy dziedziniec-perystyl zapełnia gęstwa kolumn tak masywnych i wysokich, że aż męczy ich podziwianie. Całą ich powierzchnię zdobią rzeźbienia i zapomniane pismo obrazkowe, które tak uwielbiali Egipcjanie. Przez stulecia faraonowie i kapłani Egiptu zmuszali społeczeństwo do finansowania i wznoszenia tych absurdalnych

kamiennych konstrukcji, nie słysząc w zamian ani pomruku protestu. Kto potrzebuje niewolników, kiedy chłopom tak brakuje własnego zdania? Italikowie na znak protestu obróciliby to miejsce w perzynę, zanim by pilary sięgnęły wysokości głowy.

Nie ma przyjemniejszego sposobu podróżowania niż rejs barką po Nilu. Wody nie są tak nieprzewidywalne jak morskie odmęty, a ląd jest tak blisko, że niemal wszystko widać z pokładu. Wystarczy przejść milę od brzegu, żeby znaleźć się na pustyni. Spływanie w dół rzeki przy pełni księżyca ma w sobie coś ze snu, nocną ciszę zakłóca tylko od czasu do czasu wrzask hipopotama. W takie noce pradawne świątynie i grobowce świecą w księżycowym blasku niczym klejnoty i łatwo uwierzyć, że świat jest taki, jak ongiś, kiedy bogowie żyli wśród ludzi.

Jak uczy doświadczenie, po okresie beztroski i spokoju nieuchronnie następuje czas chaosu i zagrożeń. Moja przedłużająca się sielankowa podróż rzeką nie była tu wyjątkiem. Idylliczny czas leniwych przyjemności minął, gdy tylko wróciłem do Aleksandrii.

W Egipcie zaczynała się właśnie zima. Wbrew temu, co się często mówi, ta pora roku tam występuje. Wiatr staje się mroźny i porywisty, a w niektóre dni nawet pada deszcz. Moja barka wpłynęła do Deltę i skręciła w kanał, łączący ten bagnisty bogaty teren z Aleksandrią. Podobał mi się pobyt w kraju, gdzie mało kto musi pokonywać znaczne dystanse lądem, a nawet jeśli, to brak stromych zboczy ułatwia podróżowanie.

Pozostawiłem barkę w dokach na brzegu jeziora i nająłem lektykę, aby dotrzeć do pałacu. Dźwigało ją czterech mikrych tragarzy. Aleksandria to piękne miasto, nawet jeśli się je podziwia z poziomu ulicy.

Trasa wiodła wzdłuż koszarów Macedończyków. Zarządziłem postój i się rozejrzałem. W przeciwieństwie do Rzymu, tu, w Aleksandrii, żołnierzom wolno było przebywać w mieście. Kolejni władcy wywodzili się z rodów obcych despotów, toteż nie uważali, aby było coś niewłaściwego w przypominaniu podwładnym, kto sprawuje władzę.

Koszary składały się z dwóch rzędów długich, trypoziomowych budynków, wzniesionych naprzeciwko siebie po obu stronach placu ćwiczeń. Jak należało się spodziewać, były to okazałe obiekty, a sprawna musztra i ćwiczenia żołnierzy wzbudzały podziw. Jednak w opinii Rzymianina mieli przestarzałe wyposażenie. Niektórzy dźwigali masywne pancerze z brązu, u nas noszone już tylko przez rzymskich dowódców, inni sztywne koszule

z wielowarstwowego lnu, pokryte tylko łuską. Rzymscy legioniści, którym powodziło się lepiej, już pokolenia wcześniej przestawili się na galijskie koszule z kółek, a za sprawą Mariusza w legionach noszono je powszechnie. Niektórzy Macedończycy zachowali długie włócznie, mimo że minął już ponad wiek odkąd porzucili falangę – przestarzały, nieelastyczny szyk i praktykowali szyk otwarty jak Rzymianie.

Na jednym końcu placu ćwiczył manewry oddział kawalerii. Macedończycy uważali, że jest to formacja użyteczna. Rozległe wschodnie rubieże stanowiły znaczną część dawnego imperium perskiego, jakie niedawno podbili. My, Rzymianie, dysponowaliśmy tylko niewielkim oddziałem kawalerii, a jeśli pojawiała się nagła potrzeba, wynajmowaliśmy jeźdźców.

Na drugim krańcu placu jacyś zapaleńcy konstruowali z lin i drewna coś w rodzaju masywnej maszyny oblężniczej. Nigdy takiego urządzenia nie widziałem. Kazałem lektykarzom podejść bliżej. W Rzymie byłoby nie do pomyślenia, aby jakiś obcy łąził po terenie obozu wojskowego czy koszar. Tu jednak tak nawykłem do ciągłej unizoności Egipcjan, że nie przyszło mi nawet przez myśl, że mógłbym przeszkadzać.

Gdy się zbliżyliśmy, mężczyzna, który dopiero co wydzierał się na konstruktorów, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył ku nam. Słońce odbijało się w jego wypolerowanych nagolennikach i pancerzu. Pod pachą taszczył hełm z czubem.

– Czego tu chcesz? – zażądał wyjaśnień. Znałem ten typ ludzi: zawodowy żołnierz od wielu lat na służbie, szparki zamiast oczu i wąskie, zaciśnięte usta. Wyglądał tak samo jak ci wszyscy centurioni, których nienawidziłem. Ślady po grotach strzał i włócznie na jego zbroi współgrały ze szramami na twarzy i ramionach, tak jakby specjalnie zamówił ją u płatnerza.

– Nazywam się Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy. Przybyłem z Rzymu z misją dyplomatyczną – odrzekłem możliwie najwynioślej. – Twoja machina przyciągnęła moją uwagę. Podszedłem, aby jej się przyjrzeć.

– Ach tak? Wynoś się stąd! – odpowiedział, nie siląc się na uprzejmości.

Sprawy przybrały niedobry obrót.

– Momencik – zaprotestowałem. – Sądzę, że nie doceniasz wyjątkowo bliskich stosunków pałacu z rzymskim poselstwem.

– Pogadamy o tym, jak ściągniesz tu tego starego *flecistę* – odparł dowódca. – Zanim to nastąpi, wynoś się z moich koszarów i odtąd trzymaj

się z daleka!

– Jeszcze do tego wrócimy – obiecałem. Tak mówią zawsze ci, którzy właśnie zostali skutecznie zastraszeni. – Zanieście mnie do pałacu – chłodno rozkazałem lektykarzom.

Gdy już truchtali we wskazanym kierunku, fantazjowałem, obmyślając kary dla krnąbrnego dowódcy. W żaden sposób nie przekroczył swoich uprawnień, przeganiając obcokrajowca cywila, lecz moim zdaniem to go nie usprawiedliwiało. Byłem w końcu rzymskim urzędnikiem, no, tylko poniekąd, a Egipt należał do rzymskich dóbr, no, też tylko poniekąd. Jednak całkiem zapomniałem o tym bezczelnym człowieku, gdy dotarłem do placówki i usłyszałem najnowsze wieści.

W atrium spotkałem Kretyka. Natychmiast pochylił się ku mnie i rzekł:

– Och, Decjuszu, jak dobrze, że jesteś. Mamy gości z Rzymu. Właśnie zamierzałem ich powitać, lecz skoro przybyłeś, ty możesz to zrobić.

– Ty zamierzałeś ich powitać? A cóż to za ważna osobistość?

– Niewolnik dopiero co przyniósł to z królewskiego portu – wręczył mi niewielki zwój. – Coś mi się wydaje, że dwie kobiety ze znamienitych rodów przybyły do Aleksandrii w poszukiwaniu zdrowego klimatu.

– Klimatu? – zdumiałem się, wysoko unosząc brwi.

– To list od Lukullusa. Pisze, że klimat w Rzymie jest niezdrowy, co pewnie jakoś się łączy ze starciami politycznymi i rozlewem krwi na ulicach. Posyła więc swoją podopieczną, Faustę Kornelię, i jej towarzyszkę podróży, również wysoko urodzoną, i prosi mnie o wszelką pomoc i gościnę dla nich.

– Fausta! – wykrzyknąłem. – Córka Sulli?

– A jakąż inną kobietą nosiła kiedykolwiek to imię? – sarknął zniecierpliwiony.

– Po prostu nie mogłem powstrzymać okrzyku zdumienia – tłumaczyłem się. – Znam tę panią. To narzeczona mojego przyjaciela, Tytusa Milona.

– Tym lepiej. Zabierz paru niewolników. Pewnie będą miały mnóstwo bagażów. I zajmij się lokum dla nich. Ja tymczasem omówię z pałacowymi eunuchami ceremoniał ich przyjęcia.

Rzymianie nigdy by się aż tak nie przejmowali powitaniem kobiet, choćby pochodziły z nie wiem jak znamienitych rodów, lecz egipski dwór, zdominowany przez eunuchów i królewskie córki, podchodził do tego inaczej.

– A kim jest ta druga kobieta? – Nagle coś mnie tknęło. – To nie Klodia, prawda? Są z Faustą w dość bliskich stosunkach.



Uśmiechnął się szeroko:

– Nie, Decjuszu. Widok drugiej kobiety cię nie rozczaruje. A już teraz leć. W dokach pewnie się niepokoją.

Ledwo zawołałem głośniejsze, a tu jak spod ziemi wyłoniło się stadko niewolników. Gdy kazałem się nieść lektykarzom, pojawiali się nagle niczym za sprawą czarów. To miejsce było naprawdę niezwykle. Wsiadłem do najbliższej lektyki i pomaszerowaliśmy ku portowi. W obrębie Wielkiego Portu wydzielono nieduży obszar, gdzie cumowano jachty i barki władcy. Otaczał je kamienny falochron, a wyjścia z królewskiej maryny strzegła wysepka z cudnym jak klejnot *pałacem na wyspie*, osłaniając ją od najgroźniejszych sztormów.

Wśród ptolemejskich jednostek niewielki stateczek handlowy prezentował się skromnie. Jednak kobiety, stojące przy relingach, tak emanowały arogancją, jak słońce światłem. Były przecież nie tylko Rzymiankami, lecz także patrycjuszkami, miały więc to szczególne poczucie wyższości, jakie dają koneksje sięgające wielu pokoleń wstecz.

Niewolnicy postawili lektyki. Wygramoliłem się ze swojej, oni zaś skłonili się unieźenie przed kobietami, schodzącymi właśnie po trapie. Fausta Kornelia, jasnowłosa jak Germanka, była piękna. Promieniała urodą typową dla Korneliuszy, w czym przypominała ją wyłącznie jej brat bliźniak Faustus. Druga kobieta była niższa i ciemniejsza, lecz nie mniej promienna. A może nawet i bardziej, przynajmniej tak mi się wydawało.

– Julia! – zawołałem, nie wierząc własnym oczom. I rzeczywiście, była to Julia Mniejsza, młodsza córka Lucjusza Cezara. Niedawno doszło do spotkania naszych rodów i zostaliśmy formalnie zaręczeni. Oczywiście zaręczyny te nie miały żadnych realnych następstw, lecz w kontekście powiązań między rodami uznano je za niezwykle pomyślne wydarzenie. W obecnych czasach Metellowie zdecydowanie odwrócili się od konkurencyjnych stronnictw. Kretyk wydał córkę za mąż za młodszego Marka Krassusa. Gajusz Juliusz Cezar był wschodzącą gwiazdą ugrupowania popularów i pragnął się związać z pradawnym rodem, i to nawet o mrocznej przeszłości. Gajusz Juliusz przyrzekł już rękę swojej córki Pompejuszowi, lecz jego brat Lucjusz miał jeszcze niezamężną młodszą córkę. I oto tak właśnie zostaliśmy sobie przyobiecani.

– Witaj w Aleksandrii! – powitałem najpierw Faustę, na moment ujmując jej dłoń, a następnie Julia nadstawiła policzek, więc ją oczywiście

pocałowałem.

– Przytyło ci się, Decjuszu – zauważyła.

– Ależ z ciebie pochlebczyni – odparłem. – Ci Egipcjanie uważają, że zawiodą swoich bogów, jeśli pozwolą Rzymianinowi pójść o krok dalej niż to absolutnie konieczne. A kimże ja jestem, aby ingerować w ich żarliwą pobożność? – zwróciłem się ku Fauście.

– Pani, twoja uroda zdobi to miasto jak korona. Mam nadzieję, że podróż była przyjemna.

– Flaki podchodziły nam do gardła, odkąd wyruszyliśmy z Ostii – odparła nie mniej uroczo.

– Zapewniam cię, pani, że tutejsze lokum wynagrodzi wszelkie niedogodności, wiążące się z zimowymi podróżami.

Gdy tak gawędziliśmy, niewolnicy rozpakowywali ich bagaże. Kiedy już wszystkie znalazły się na brzegu, statek wynurzył się z wody o stopę. Oczywiście, kobietom towarzyszyły poza tym prywatne służące oraz niewolnicy. Lecz ci z pewnością wtopią się w tłumy, nieustająco przelewające się przez placówkę dyplomatyczną.

– Czy Aleksandria rzeczywiście jest tak bajeczna, jak zawsze słyszałam? – spytała Julia, wyraźnie podekscytowana, choć twarz miała zmęczoną i wymizerowaną.

– Ponad najśmielsze wyobrażenia – zapewniłem. – Z największą przyjemnością pokażę wam wszystko.

Fausta uśmiechnęła się krzywo.

– Nawet te speluny, w których bez wątpienia się afiszowałeś?

– Nie ma takiej potrzeby – odparłem. – Najplugawsze rozrywki oferuje pałac.

Fausta wyglądała na nieco skonsternowaną na takie dictum, choć słynęła z opanowania.

– Cóż, ja mam ochotę na coś bardziej ambitnego – skonstatowała Julia i, wyraźnie zmęczona, wsiadła do swojej lektyki. Mimowiednie uraczyła mnie widokiem najbielszego uda, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. – Chcę zobaczyć Muzejon i porozmawiać z uczonymi, posłuchać wykładów najsłynniejszych i najmędrszych z nich – oznajmiła. Odznaczała się bowiem tą męczącą miłością do kultury i edukacji, która była istną plagą wśród rzymskich niewiast.

– Niech mi będzie wolno przedstawić cię tym ludziom. Ośrodek ten jest

mi bliski.

Właściwie byłem tam tylko raz, aby odwiedzić dawnego przyjaciela. Kto chciałby marnować czas na obcowanie z grupką nudnawych podstarzałych mistrzów, gdy jedne z najsłynniejszych wyścigów konnych odbywają się właśnie na torach hipodromu?

– Doprawdy? – podniosła brwi. – W takim razie musisz mnie przedstawić logikowi Eumenesowi z Karii oraz astronomowi Sosigenesowi, no i matematykowi Ifikratesowi z Chios. Lecz przede wszystkim muszę zwiedzić bibliotekę!

– Biblioteki – poprawiłem odruchowo. – Są dwie, jak zapewne wiesz.

Postanowiłem zmienić niewygodny temat, więc zwróciłem się do Fausty:

– A jak się ma mój serdeczny przyjaciel Milon?

– Jak zawsze, zapracowany. Nieustannie zwalcza Klodiusza. Dostał posadę kwestora, jak wiesz.

– Słyszałem – potwierdziłem ze śmiechem. – A jednak nie potrafię sobie wyobrazić Milona na etacie w skarbcu czy spichlerzu.

Milon był najbardziej utalentowanym kryminalistą, jakiego kiedykolwiek miał Rzym.

– Nie martw się o niego. Jak zwykle, kieruje wszystkim ze swoich salonów. Sądzę, że kogoś najął, aby pełnił jego kwestorskie obowiązki. A tak przy okazji, pozdrawia cię gorąco. Twierdzi, że nigdy niczego nie osiągniesz, jeśli będziesz wiódł żywot próżniaka w odległych krajach, zamiast popracować trochę w Rzymie.

– Cóż, drogi Tytus zawsze wychwalał korzyści, jakie daje ciężka praca i wytrwałość. Ja zaś uważałem, że to zalety odpowiednie dla niewolników i wyzwolenców. Spójrz tylko, jak ciężko pracują ci lektykarze. Ale czy to jakoś poprawi ich los?

– Wiedziałam, że powiesz coś w tym rodzaju – rzekła Julia. Siedziała wyprostowana i wyciągała z zaciekawieniem szyję, kontemplując mijane widoki.

– Wszyscy mężczyźni, których przeznaczeniem jest wielkość, walczą o nią w Rzymie – dorzuciła Fausta.

– I wszyscy oni zginą na polu bitwy, zostaną otruci bądź zadźgani sztyletem skrytobójcy – trzymałem się swego. – Ja zaś, dla równowagi, zamierzam umrzeć w zaawansowanym wieku jako senator.

– No cóż, jaki człowiek, takie ambicje – sarknęła.

– Ojej! Spójrzcie! – krzyknęła Julia. – Czy to Panejon?

W oddali ukazało się dziwaczne, sztuczne wzgórze ze spiralną ścieżką i okrągłą świątynią.

– Owszem, w całej swojej krasie – potwierdziłem. – Wewnątrz jest najbardziej ekstrawagancka rzeźba, jaką widziałem. Lecz oto i nasza placówka.

– Stanowi część pałacu? – dociekała Julia, gdy pomagałem jej wysiąść z lektyki. Musiałem kopniakiem odsunąć niewolnika, aby wykonać tak proste, sympatyczne zadanie.

– Część pałacowego kompleksu, ale to my podejmujemy wszelkie decyzje i rzeczywiście sprawujemy władzę. rzymska placówka jest prawdziwym dworem. Chodźcie. Pokażę wam przygotowane pokoje.

Lecz nawet to mi odebrano. Gdy tylko weszliśmy do atrium, pojawił się tłum dworzan wraz z hałaśliwymi muzykami oraz naoliwionymi Nubijczykami, wiodącymi na smyczkach gepardy, tresowanego lwa i stado pawianów, ubranych w liberie. Nastoletnie dziewczęta, odziane w chitony, dźwigały kosze płatków róż, które chaotycznie rozsypywały dokoła. Wśród nich wszystkich szła młoda kobieta, do której wszyscy odnosili się z respektem.

– Usłyszałam, że mamy gości – rzekła. – Gdybym wiedziała wcześniej, pojawiłabym się w królewskim porcie, aby was powitać.

Skłoniłem się na tyle nisko, na ile pozwalał mi honor Rzymianina i powiedziałem:

– Twoja obecność to dla nas zaszczyt, księżniczko Bereniko. Niech mi będzie wolno przedstawić obecne tu damy: Fausta Kornelia, córka uprzedniego znakomitego dyktatora Lucjusza Korneliusza Sulli, oraz Julia Mniejsza, córka znamienitego senatora Lucjusza Juliusza Cezara.

Witając się, uściskała obie kobiety. Dwór tymczasem plotkował, prowadząc pogawędki. Rzymianki wykazały się godnym uznania opanowaniem. Przyjęły królewskie uściski z dystansem i godnością. Powściągliwość taka była konieczna, gdyż Berenika należała do tej części rodu Ptolemeuszów, który preferował obyczaje egipskie. Górną część jej ciała zakrywała jedynie całkiem przezroczysta narzutka. Tego, co nosiła pod spodem, nie założyłaby nawet tancerka wydalona z Rzymu za obrazę moralności. Z kolei obfitość jej biżuterii mogłaby rywalizować z mnogością ozdób rzymskiego legionisty.

– Wybacz zakłopotanie, wasza wysokość, ale nie jesteśmy gotowe na spotkanie z rodziną monarchy – zaprotestowała Fausta.

– Och, nie przesadzajcie – rzekła Berenika. – Brak mi towarzystwa interesujących kobiet. Wciąż tylko ci nudni mężczyźni z ich polityką i durnymi intrygami. – Machnęła dłonią, obejmując tym gestem całą rzymską placówkę, ze mną włącznie.

– A znów te obce królowe i księżniczki, które przybywają tutaj – mówiła dalej – to co do jednej niepiśmienne prostaczki. Nie różnią się niczym od lepiej ubranych wieśniaczek. Lecz tym razem mam okazję obcować z dwiema prawdziwymi patrycjuszkami! Chodźcie ze mną, nie zostawię was tutaj. Będziecie mieszkać w moim pałacu.

Wewnątrz pałacu znajdował się kolejny pałac, który należał do Bereniki. Powiodła je ze sobą w głąb, beztrosko zamierzając dołączyć jako dwie nowe atrakcje do swojej menażerii. Zastanawiałem się, czy spróbuje wziąć je również na smycz.

Kretyk nadszedł właśnie w tym momencie, gdy tłum zniknął.

– Co się tu dzieło?

– Berenika zaanektowała nasze damy – poinformowałem go. – Może już nigdy nie ujrzą Rzymu.

– Cóż – podszedł do tego praktycznie – no to mamy jeden problem mniej. Nowe zabawki księżniczki oszczędzą nam bólu głowy. Potrzebny będzie jednak dobrze urodzony Rzymianin, aby im towarzyszył w trakcie wycieczek po mieście. Inaczej nie wypada. To będzie twoje zadanie.

– Myślę, że mu sprostam – zapewniłem.

Berenika była na tyle rozsądna, że zostawiła swoim nowym nabytkom wolny wieczór, aby odetchnęły po trudach podróży przez królestwo Neptuna. Później wydała dla nich przyjęcie powitalne, na które zaprosiła wszystkie znakomitości Muzejonu oraz śmietankę towarzyską Aleksandrii. Jak można było się spodziewać, powstała w ten sposób dość osobliwa kombinacja. Ponieważ Muzejon stanowił własność pałacu i był wyłącznie przezeń finansowany, zaproszenie Bereniki było równoznaczne z rozkazem. Dlatego też na przyjęciu pojawił się każdy mieszkaniec Aleksandrii, który wgapił się w gwiazdy, znęcał nad liczbami czy gryzpiórek, który tworzył przypisy do tekstów. Oprócz nich pojawili się aktorzy, woźnice rydwanów, przedstawiciele obcych imperiów, najwyżsi kapłani, a do tego z połowa egipskiej arystokracji – deprymujący tłum pomyleńców.

Dostrzegłem jednak w tym zgromadzeniu znajomą twarz. To był Asklepiodes, medyk gladiatorów z rzymskiej szkoły Statiliusza Taurusa. Wiele razem przeszliśmy. Ten niewysoki człowiek o gładko ogolonych policzkach i brodzie, jaką noszą Grecy, ubrany był w taką szatę i opaskę, że jego profesja była oczywista. Tego roku wykładał w Muzejonie anatomię. Wziąłem go na bok.

– Asklepiodesie, mów szybko, kim są ci ludzie! Julia sądzi, że znam ich wszystkich!

Uśmiechnął się szeroko.

– Ach... a więc w końcu spotkam Julię, tę niebywałą piękność! Czy ona widzi świat tak opacznie, że nie zauważyła, iż nie jesteś erudytą?

– Wierzy, że robię postępy. Kim są ci tutaj?

Rozejrzał się dokoła.

– Zacznę od najbardziej zasłużonych... – wskazał głową wysokiego, charakterystycznego mężczyznę. – To znamienity Amfitrion, kierownik biblioteki. To on zawiaduje wszelkimi sprawami Muzejonu oraz pismami.

– To na początek. A pozostali?

Wskazał krzepkiego, rozczochranego faceta, który rozglądał się z miną zapaśnika, wyzywającego na pojedynek wszystkich obecnych. – To Ifikrates z Chios, matematyk, lecz przede wszystkim mistrz szkoły Archimedesesa.

– Świetnie. Ona bardzo chce go poznać.

– Może kobiecie wdzięki pomogą jej tam, gdzie wiele innych zalet zawiodło. To straszliwie temperamentny człowiek, skory do gniewu. Kogo my tu jeszcze mamy...

Wskazał na kolejnego sędziwego Greka.

– To sceptyk Dason, a tam astronom Sosigenes...

I wymieniał bez końca. Zakarbowałem sobie w pamięci tyle imion, ile zdołałem. Dość, aby udawać zorientowanego w nauce. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, podszedłem do Julii i przedstawiłem jej Asklepiodesa. Była uprzejma, lecz obojętna. Jak wiele wykształconych osób jedynie wrywkowo interesowała się medycyną, o ile ta miała związek z życiem codziennym.

– A może miałybyś ochotę poznać kilku wielkich uczonych? – spytałem.

– Prowadź – przystała na propozycję z tym irytującym, typowym dla niej uśmiechem wyższości. Podprowadziłem ją do matematyka o wyglądzie dzikusa.

– Julio, oto sławny Ifikrates z Chios, najznamienitszy przedstawiciel

szkoły archimedejskiej.

Ifikrates odwrócił się ku nam, ujął dłoń Julii i ucałował.

– Pani, jestem oczarowany.

Następnie zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, zmarszczywszy czoło tak, że nie powstydziliby się tego sam Jupiter, i powiedział:

– Nie sądzę, żebyśmy się znali.

– Może umknęło to twojej pamięci, zajętej bardziej wzniosłymi tematami. Byłem na twoim wykładzie dotyczącym oblężenia Syrakuz. – Wymyśliłem to sobie na poczekaniu, wiedząc, że Archimedes zaprojektował maszyny oblężnicze, wykorzystane pod Syrakuzami. Okazało się, że trafiłem.

– Ach... – wyglądał na zakłopotanego – może i tak. Na tym wykładzie było mnóstwo słuchaczy.

– A ja czytałam twoją pracę *Praktyczne zastosowanie geometrii* – odezwała się Julia. Miała w oczach uwielbienie. – Cóż za pobudzające do myślenia, kontrowersyjne dzieło!

Uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową, jak jeden z tych tresowanych gibbonów.

– Tak, tak... powiem wam, że i tutaj dało do myślenia kilku osobom.

Co za nieznośny bałwan, pomyślałem. Lecz przecież była tu Julia. Pochylała się nad nim, jakby był jakimś zwycięzcą w wyścigach rydwanów czy kimś takim. Zainteresowałem ją więc innym wielkim człowiekiem i zaciągnąłem do głównego bibliotekarza. Amfitrion był równie wytworny, jak Ifikrates nieokrzesany, poszło mi więc z nim znacznie lepiej. Wtedy jednak porwała ją Berenika, żadna towarzystwa podczas spotkania z jakimiś uperfumowanymi głupkami, a ja pozostałem z przełożonym bibliotekarzy.

– Zauważyłem, że rozmawiałeś z Asklepiodesem – napomknął. – Czy znacie się z Rzymu?

– Tak, znam go od lat.

Amfitrion skinął głową.

– To godny podziwu człowiek, lecz nieco ekscentryczny.

– Jak to?

– Cóż... – rozejrzał się dokoła, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. – Chodzą słuchy, że praktykuje chirurgię. Przysięga Hipokratesa jednoznacznie zakazuje krojenia ludzi nożem.

– Apollo tego zakazał! – zauważyłem oburzony.

– Co więcej – jeszcze bardziej ściszył głos – chodzą słuchy, że sam

zszywa pacjentów. Przecież tę czynność nawet najpośledniejsi chirurdzy pozostawiają niewolnikom!

– Nie! To z pewnością jakieś plugawe pomówienia, szerzone przez jego wrogów!

– Może i masz rację, lecz świat nie jest już taki jak dawniej. Zauważyłem, że poznałeś Ifikratesa. Ten dzikus także wierzy w *praktyczne* zastosowania.

Wypowiedział to słowo tak, jakby zakazywały go jakieś święte obyczaje. Szczerze mówiąc, wiedziałem, że plotki o Asklepiodesie są prawdziwe. Przez te wszystkie lata zszył jakąś miłą mojej skóry. Zawsze jednak zachowywał całkowitą dyskrecję, ponieważ zwariowani na punkcie Platona starzy zwolennicy teorii Iona uważali za ujmę dla zawodowych filozofów (w tym medyków, zaliczanych również do myślicieli), gdy ci cokolwiek *robili*. Człowiek mógł poświęcić swoją karierę rozważaniom możliwości zastosowania dźwigni, lecz już podniesienie patyka, znalezienie dla niego punktu podparcia oraz podniesienie za pomocą takiej dźwigienki kamyka było nie do przyjęcia. Oznaczałoby to bowiem *zrobienie* czegoś. Od filozofów oczekiwano jedynie myślenia.

Uwolniłem się od towarzystwa księgarza i rozejrzawszy się, dostrzegłem Berenikę, Faustę i Julię. Rozmawiały z mężczyzną, który taszczył, wśród wielu innych rzeczy, ogromnego pytona. Purpurowa szata ze złotymi gwiazdami i wysoki diadem z półksiężycem wyglądały znajomo. Nawet w Aleksandrii rzadko widuje się takich oryginałów. Był to Ataksas, jasnowidz, dokonujący cudów prorok z Azji Mniejszej.

– Decjusz Cecyliusz – zawołała Berenika – chodź do nas! Musisz poznać świętego Ataksasa, ziemskie wcielenie Baala-Arymana.

Jeśli w ogóle pojmowałem coś z tego, to chodziło o połączenie dwóch, jeśli nie więcej, azjatyckich bóstw. Z Azji Mniejszej docierały do nas zawsze takie osobliwości.

– Jako przedstawiciel senatu i ludu rzymskiego, witam cię, Ataksasie.

Wykonał jeden z tych wschodnich ukłonów, wymagających skomplikowanej gestykulacji rękoma.

– Cały świat drży przed potęgą Rzymu – zaintonował. – Cały świat zdumiewa się jego mądrością i sprawiedliwością.

To akurat było bezdyskusyjne.

– Jak rozumiem, masz tu w Aleksandrii... hm... placówkę? – zagaiłem nieprzekonująco.



– Jego świątobliwość ma wspaniałą, nową świątynię nieopodal Serapeum – wyjaśniła Berenika.

– Jej Wysokość, ku swej wiekuistej chwale, łaskawie wspomogła finansowo świątynię Baala-Arymana – przymilił się Ataksas, pieszcząc węża.

I wykorzystwała w tym celu napływające z Rzymu pieniądze, co do tego nie miałem wątpliwości. To brzmiało złowieszczo. Najwyraźniej Ataksas był ostatnim z długiej linii religijnych objawień Bereniki.

– Jutro składamy ofiarę z pięćdziesięciu byków, aby uczcić inaugurację nowej świątyni – dodała księżniczka. – Przyjdź koniecznie.

– Niestety – odparłem – przyrzekłem już, że zabiorę Julię na spacer i pokażę jej Muzejon.

Spojrzałem na nią nerwowo, oczekując potwierdzenia.

– Ach, rzeczywiście – rzuciła w końcu ku mojej wielkiej uldze. – Decjusz zna tych wielkich uczonych. Obiecał mnie skrupulatnie oprowadzić po przybytku.

– No to może spotkajmy się pojutrze – nalegała Berenika. – Kapłanki odprawiają wówczas rytuał samobiczowania i będą się modlić do boga w ekstatycznym tańcu.

To już brzmiało bardziej interesująco.

– Sądzę, że moglibyśmy...

Julia stanęła mi na palec u nogi.

– Tyle że Decjusz obiecał mi już pokazać tego dnia najsłynniejsze atrakcje miasta: Panejon, grobowiec Aleksandra, groblę...

– Jaka szkoda – jęknęła Berenika. – To takie wysmakowane przedstawienie.

– Zobacz, tam jest Fausta! – zmieniła temat Julia. – Muszę z nią pomówić. Chodź ze mną, Decjuszu.

Wzięła mnie pod ramię i odciągnęła na bok. Ataksas patrzył za nami z sardonicznym uśmiechem.

– Nigdzie nie widzę Fausty.

– Ja też nie. Lecz miałam wrażenie, że nie zdołalibyśmy już dłużej odrzucać zaproszeń do tej obrzydliwej, kuglarskiej świątyni.

– Cóż za okrucieństwo! Pięćdziesiąt byków! Sam Jupiter domaga się każdorazowo tylko jednego.

– Zauważyłam jednak, że nie byłeś wcale przeciwny oglądaniu grupki barbarzyńskich kapłanek chłostających się w szale i tańczących nago jak

bachantki.

– Skoro mnie pytasz, co wolę, burdel czy rzeźnię, to rzeczywiście wolę burdel. Szczerze to mogę wyznać. Co oznacza, że nie brak mi smaku.

Tego wieczora zaproszono nas na ceremonie, związane przynajmniej z tuzinem odrażających orientalnych bóstw. Większości kultów przewodzili naciągacze pokroju Ataksasa. Jak trafnie przewidział Rufus, stopniowo odkrywałem, jak dalece odmienną rolę odgrywały w Aleksandrii religijne szalbierstwa. W Rzymie wyznawcy dziwacznych obrządków rekrutowali się niemal wyłącznie z niewolników i najbiedniejszych warstw plebejuszy. W Aleksandrii natomiast najbogatsi i najznaczniesi mieszkańcy poświęcali tym niegodziwym bzdurcom uwagę i pieniądze. Przyswajali kulty i je odrzucali, jedne były modne, a inne już nie. Wciąż bredzili o jakimś brudasie, nowo odkrytym proroku, mającym rzekomo stanowić jedyną ścieżkę wiodącą ku oświeceniu, po czym, gdy minęło parę miesięcy, całkiem o nim zapominali. Ledwie kilka osób z egipskiej arystokracji miało umiejętność skupienia uwagi na poziomie rzymskiego dziesięciolatka.

Uczeni byli zresztą równie męczący. Nim skończyła się uczta powitalna, Ifikrates z Chios już wdał się w sprzeczkę z przynajmniej sześcioma gośćmi. Umknęło jedynie mojej uwadze, dlaczego w ogóle wszyscy kłócili się o jakieś abstrakcyjne założenia. My, Rzymianie, też byliśmy skorzy do kłótni, lecz zawsze spieraliśmy się o rzeczy ważne, takie jak własność czy władza.

– Nonsens! – usłyszałem, jak Ifikrates wydzierał się takim paskudnie wysokim głosem. Prowadzoną przez niego rozmowę dało się usłyszeć w całej sali bankietowej i jeszcze w przyległych pokojach. – Cała ta opowieść o żurawiu, za którego pomocą podniesiono rzymskie statki, aby następnie postawić je wewnątrz murów, to ewidentne bzdury! – Przyparł w kącie armeńskiego dyplomatę. – Masa przeciwwagi byłaby tak duża, że wszystko działałoby powolnie. Każdy statek zdołałby uciec!

I już wdali się w dyskusję o masach, wadze, równowadze, a pozostali uczeni przyglądali się im w zamyśleniu.

– Dlaczego oni go w ogóle tolerują? – zapytałem ostatnią zdobycz Julii, redaktora dzieł Homera o imieniu Neleus.

– Muszą. Jest ulubieńcem władcy. Ifikrates tworzy dla niego zabawki: wycieczkową barkę, napędzaną obracającymi się łopatomami zamiast wiosł, ruchome podium w sali tronowej, które wynosi króla ponad tłum, i tym

podobne błażostki. W ubiegłym roku obmyślił nowy system zadaszania na hipodromie, który można rozciągać, przesuwać czy zwijać, stosownie do ruchu słońca po niebie. A wszystkim tym zawiaduje się z ziemi. Nie trzeba posyłać żeglarzy na liny, aby je ściągali.

– To ma sens – zauważyłem. – Skoro król finansuje Muzejon, równie dobrze może oczekiwać od niego wymiernych korzyści.

– Decjuszu... – zaprotestowała łagodnie Julia – to go sprowadza do roli zwykłego konstruktora. Taka praca jest niegodna filozofa.

Parsknąłem wprost w swoje wyśmienite wino.

– Gdyby nie ci *zwykli konstruktorzy*, do dziś zasuwałabyś z wiadrami po wodę do rzeki, a tak płynie ona akweduktami prosto z górskich zboczy do twojego domu.

– Rzymskie osiągnięcia na polu filozofii stosowanej to naprawdę cud świata – dorzucił Neleus. Grecy mogą sobie nami gardzić, uważając za ostatnich uczonych, lecz zarazem muszą nam się podlizywać, ponieważ dzięki praktycznym rozwiązaniom sprawujemy władzę.

– A poza tym – zwróciłem się do Julii – sądziłem, że podziwiasz Ifikratesa.

– Podziwiam. Bez wątplenia jest największym ze współczesnych matematyków.

– Ale chyba spotkanie z nim nieco ugasiło twój entuzjazm?

– Nie jest przyjemny w obejściu – przyznała. On zaś właśnie w tej chwili rozmawiał z Ataksasem. Tym razem, dla odmiany, ściszył głos. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, o czym mogłaby rozmawiać ta dwójka. Znałem jednak w Rzymie kilku pitagorejczyków, którzy dokonali wprost niebywałego wyczynu, myląc matematykę z religią. Zastanawiałem się, jaka potworność, coś jak kult Minotaura, mogła powstać z połączenia Archimedesza z Baalem-Arymanem.

Wreszcie spotkaliśmy Faustę. Oczywiście znajdowała się w centrum zainteresowania. Wszyscy chcieli poznać córkę sławnego dyktatora, którego imię wciąż wprawiało w drżenie większość świata. Julii, spokrewnionej z Cezarem, aż tak nie nadskakiwano. Gdyby tylko wiedzieli...

A był to właśnie rok słynnego pierwszego triumwiratu. Gdzieś w dalekim Rzymie Cezar, Pompejusz i Krassus postanowili, że zawładną i Rzymem, i światem. Dziś pisze się o tym jak o wielkim wydarzeniu, które zatrzęsło światem w posadach. W istocie poza trójką samych uczestników nikt o tym

nawet nie wiedział. Było to zwykłe, z natury nieoficjalne porozumienie mężczyzn, którzy postanowili wzajemnie chronić swoje interesy, gdyby jeden lub więcej musiał opuścić Rzym. Była to jednak również zapowiedź nadciągających wydarzeń.

Tego wieczoru jednakowoż trwaliśmy w błogiej nieświadomości rozgrywających się intryg. Wolni od nużącej polityki, mieliśmy w bród wolnego czasu i całą Aleksandrię dla siebie. Nic, tylko korzystać.

## Rozdział 3

**M**uzejon – opowiadałem – został ufundowany za panowania Ptolemeusza I Sotera, czyli „Zbawcy”, dwieście trzydzieści pięć lat temu.

Przekupiłem lokalnego przewodnika, aby nauczył mnie swoich kwestii, i teraz mogłem bez ustanku trąkotać Julii do ucha. Weszliśmy po schodach do głównej sali.

– Plany stworzył Demetrios z Faleronu i jako pierwszy zarządzał tym przybytkiem. Światowej sławy biblioteka to właściwie uzupełnienie Muzejonu. Od czasów Demetriosza bibliotekarze nieprzerwanie troszczyli się o tę instytucję i jej zbiory. Następcami Demetriosza byli Zenodot z Efezu, Kallimach z Cyreny, Appoloniusz z Rodos, Eratostenes z Cyreny, Arystofanes z Bizancjum, Appoloniusz Eidograf, Arystarch z Samotraki...

– Potrafię czytać, Decjuszu – przerwała mi Julia tę wyliczankę w połowie.

– Chciałbym wymienić jeszcze zarządców z całego stulecia – zaprotestowałem. Był to nie lada wyczyn zapamiętać tę listę, lecz w nas, rzymskiej arystokracji, już w młodości za pomocą chłosty wykształcano umiejętność szybkiego uczenia się na pamięć.

– Na statku przeczytałam wszystko, co tylko znalazłam na temat Muzejonu i biblioteki. Pomiędzy nawrotami choroby morskiej wiele się można nauczyć.

Na szczycie schodów ktoś przemknął między dwoma gigantycznymi obeliskami. Za nimi znajdował się dziedziniec, wyłożony fioletowym, polerowanym marmurem. Jego przestrzeń zdominowały piękne posągi

Ateny, Apolla i Hermesa. Najwspanialsze budynki kompleksu zabudowań Muzejonu przylegały do tego dziedzińca: biblioteka, piękna jadalnia uczonych i sama świątynia – skromny, lecz znakomity obiekt, poświęcony muzom. Dalej znajdowało się jeszcze mnóstwo innych budynków: mieszkania, sale wykładowe, obserwatoria, a ponadto kolumnady...

Julię zachwycały te architektoniczne cuda. Prawdę mówiąc, w Rzymie nie było nic, co mogłoby się z nimi równać. Może tylko Kapitol dorównywał splendorem cudownym zabudowaniom Aleksandrii, no i nasz *Circus Maximus* był zdecydowanie większy od tutejszego hipodromu. Lecz ten ostatni wzniesiono z marmuru, a *Circus Maximus* głównie z drewna.

– Jakie to wysmakowane! – zachwycała się rozentuzjasmowana.

– Ja też użyłbym tego słowa – zapewniłem ją. – Co chciałabyś najpierw zobaczyć?

– Sale wykładowe i jadalnię – odparła. – Chcę zobaczyć uczonych zajmujących się swoimi codziennymi pracami filozoficznymi.

Ktoś musiał donieść o naszej wizycie, ponieważ nagle pojawił się przed nami Amfitrion.

– Będę niezmiernie szczęśliwy, mogąc oprowadzić naszych szacownych gości. Muzejon jest do pani dyspozycji.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było towarzystwo jakiegoś przykurzonego starego Greka, który wejdzie między mnie a Julię, ona jednak przyklasnęła pomysłowi i uznała go za niewymowny zaszczyt. I tak oto odarty przez owo niespodziewane najście z nadziei na uroczą wędrowkę u jej boku, ruszyłem za nimi wprost do wielkiego gmachu. W wejściowym perystylu wskazał na wyrzeźbione w kamiennych ścianach napisy.

– Tu można odnaleźć imiona wszystkich zarządzających biblioteką oraz najsłynniejszych uczonych i filozofów, którzy swoją obecnością uświetniali Muzejon od czasów jego założenia. A tu mamy popiersia najznamienitszych postaci.

Za perystylem znajdowała się wdzięczna kolumnada, okalająca basen, w którym ustawiono grupę rzeźb, przedstawiającą Orfeusza, poskramiającego pieśnią dzikie bestie.

– To kolumnada filozofów perypatetyków – wyjaśnił Amfitrion. – Lubili prowadzić dysputy i objaśniać teorie podczas spacerów. Tę kolumnadę wzniesiono dla ich wygody. Orfeusza wyrzeźbiła ta sama ręka, która stworzyła słynną *Gigantomachię* przy ołtarzu Zeusa w Pergamonie.

Ten rodzaj sztuki gotów byłam szczerze podziwiać. Był to przykład późnego greckiego rzeźbiarstwa, który zawsze wolałam od pozbawionych wyrazu dzieł z Aten okresu Peryklesa. Te ich mizerne postacie Apolla i przesadnie skromne Afrodyty... Orfeusz, uchwycony w pół tonu, każdą cząstką ciała uosabiał muzykę, gdy tak brzdąkał na lirze. Bestie, zatrzymane właśnie w tej chwili, w której miały na niego się rzucić, wyrzeźbiono z nadzwyczajną dbałością o szczegóły. Obnażone kły w paszczy lwa zamarły w połowie groźnego warkotu, wilk przez omyłkę zachował się przyjaźnie wobec człowieka, niedźwiedź stanął na dwóch łapach, całkiem skonfundowany. W rzeczywistym świecie taka menażeria nie zaatakowałaby jednocześnie, lecz przecież chodziło o mit, a scena była doskonała.

Julia tymczasem chciała zobaczyć filozofów przy pracy, więc ruszyliśmy dalej, aby jakichś znaleźć. Kłopot polegał na tym, że filozofowie, o ile nie dysputują, w zasadzie niewiele robią. Zwykle gdzieś stoją czy się rozsiadają, a w wypadku perypatetyków – spacerują sobie, dumając nad różnymi sprawami z mądrym wyrazem twarzy.

W sali wykładowej natknęliśmy się na Asklepiodesa. Przemawiał do licznej grupy medyków. Opowiadał o swoich odkryciach. Dowodził przewagi zszywania ran nad ich przypalaniem rozgrzanym żelazem. Jeden z uczestników zgromadzenia zaryzykował pytanie, czy właściwie w ogóle powinno to zajmować medyków. Asklepiodes zgrabnie odparował cios.

– Nim nastały czasy boskiego Hipokratesa, mieliśmy jeszcze boga Asklepiosa, zajmującego się zdrowiem. A czy nie czytamy w *Iliadzie*, że jego syn Machaon własnoręcznie opatrywał rany greckich bohaterów? W jednym przypadku usunął nawet grot włóczni.

Z przekonaniem przyklasnałam temu argumentowi, również inni szeptali, że jest to właściwe podejście.

Z sali wykładowej przeszliśmy na wielki dziedziniec, pełen osobliwych kamiennych obiektów: wysokich iglic, pochylni, kręgów z oznaczonymi kolejnymi stopniami, lecz niepodpisanymi. Kilka pomniejszych przyrządów udało mi się rozpoznać. Były to *gnomony*, służące do wyznaczania zarysów budynków oraz wytyczania obozowisk dla legionów.

– Witajcie w moim obserwatorium – powitał nas mężczyzna, w którym rozpoznałem astronoma Sosigenesa. Uśmiechnął się zachęcająco, kiedy Julia znów w typowy dla siebie sposób okazała entuzjazm.

– Z prawdziwą radością w stosownej chwili wyjaśnię ci, o pani, niektóre

założenia moich teorii. Sądzę jednak, że niewiele jest tu osób mniej użytecznych niż astronom w świetle dnia.

Następnie wrócił do swoich zajęć. Sosigenes miał to realistyczne poczucie humoru, jakiego brakowało większości tutejszych myślicieli. Nagle spostrzegłem, że słucham go z prawdziwym zaciekawieniem. Wyjaśniał, do czego służą jego przyrządy, dlaczego tak ważne jest obserwowanie ruchu gwiazd i planet, gdy oblicza się położenie statku na morzu oraz określa dokładnie dzień, a ten nie zawsze pokrywa się z datą w oficjalnym kalendarzu. Stosowany obecnie kalendarz, na którym można polegać, stanowił właśnie wynalazek Sosigenesa, choć przypisywano go Cezarowi. Ten ostatni bowiem, mocą swego urzędu jako Pontifex Maximus uprawomocnił ten kalendarz. Postanowiłem wrócić do obserwatorium nocą, kiedy astronom mógłby mi lepiej wyjaśnić tajemnice gwiazd.

Na kolejnym dziedzińcu spotkaliśmy budzącego strach Ifikratesa z Chios. Pokrzykiwał na ekipę rzemieślników, konstruujących wymyślny model z kamienia, drewna i drutów. Gdy weszliśmy, odwrócił się zagniewany, lecz gdy zrozumiał, że to Rzym przybył z wizytą, uśmiechnął się i uklonił.

– Nad czym teraz pracujesz, Ifikratesie? – zagał Amfitrion.

– Jego Wysokość poprosił mnie, abym rozwiązał trudną sprawę zamulenia wielkiego kanału, łączącego Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym – odparł z dumą.

– Syzyfowy trud – skomentowałem. – Rozwiązanie tej sprawy zdecydowanie ułatwiłoby podróże między Zachodem a Indiami.

– Miło widzieć, że ktokolwiek spoza tych murów ma jakieś pojęcie o geografii.

– To jedna z dziedzin uważanych przez Rzymian za ważne – rzekłem. – W czym kryje się tajemnica twojego rozwiązania?

– Głównym problemem jest położenie kanału na poziomie morza. To dlatego silny prąd morski płynie przezeń z zachodu na wschód, tak jak woda wpada do Morza Śródziemnego przez Bramę Heraklesa, a ze wschodu na zachód przez Hellespont.

Gdy wyjaśniał tajniki swej sztuki, jego głos stracił tak charakterystyczną wojowniczość. Po prostu przekazywał własne emocje, gdy opowiadał, jak stara się rozwiązać ów trudny problem i wygrać nierówną walkę z naturą.

– Zaprojektowałem szereg wodoodpornych bram i suche doki u wylotów kanału. Przez te bramy będzie można zalewać suche doki, w ten sposób



podnosząc lub obniżając statki do właściwego poziomu. W kanale będzie można żeglować, wiosłować bądź holować statki, w razie konieczności, i to mimo braku stałego nurtu. Ilość wpuszczanego namułu będzie minimalna, dzięki czemu będzie można udrażniać kanał nie częściej niż co cztery, pięć lat.

– Błyskotliwe – przyznałem. – Godne następcy Archimedesesa.

– Dziękuję – rzekł bez specjalnego entuzjazmu. – Szkoda, że szacowny Archimedes nie miał okazji bardziej się wykazać, bo wpadł w łapy Rzymian. – Grecy zawsze muszą przemycić jakąś uszczypliwość.

– No, tak... cóż... to rzeczywiście niefortunny wypadek, lecz była w tym również jego wina. Widzisz, gdy rzymscy żołnierze w końcu po długim oblężeniu zdobyli wasze miasto, poczęli siać zniszczenie. Plądrowali budynki i wyrzynali wszystkich, którzy stawiali opór. W takich sytuacjach ostatnią rzeczą, jaką trzeba zrobić, jest zuchwale do nich przemawiać. Gdyby tylko się zamknął i ukorzył, oszczędzono by go. Szczerze mówiąc, Marcellus źle się czuł z tym, co się stało, i wystawił staruszkowi bardzo ładny grobowiec.

– W samej rzeczy – wycedził Ifikrates przez zaciśnięte zęby.

– Zdradz nam, uczony Ifikratesie – pośpiesznie wtrąciła Julia – jakie jeszcze wspaniałe dzieła zajmują twój umysł. W książkach przekonujesz czytelników, że zawsze tworzysz kilka projektów jednocześnie...

– Chodźcie za mną – wprowadził nas do przestronnego pomieszczenia, przyległego do dziedzińca, na którym jego pracownicy montowali zastawkę wodną. Znajdowało się w nim mnóstwo kredensów i stołów. Na blatach zalegały modele prac zaawansowanych w różnym stopniu. Gdy je opisywałem, zdałem sobie sprawę, że większość konstrukcji ma coś wspólnego z podnoszeniem ciężarów lub wodą. Wskazałem jeden z modeli – długie ramię z przeciwwagą, zwieńczone czymś w rodzaju procy.

– To katapulta? – spytałem.

– Nie. Z zasady nie projektuję machin wojennych. To udoskonalona wersja dźwigu do podnoszenia wielkich skał. Wielu konstruktorów z Rzymu wyraziło zainteresowanie tym wynalazkiem. Mógłby się naprawdę przydać do budowy waszych znakomitych mostów i akweduktów.

Mówił dalej do Julii i bibliotekarza, a ja przechadzałem się po pokoju, podziwiając jego niezwykle czytelne rysunki i tabele. Wszystkie one dotyczyły praktycznych zastosowań geometrii i matematyki do realizacji określonego zadania. Był to ten rodzaj nauki, który ceniłem, nawet jeśli

Ifikratesa uważałem za obrzydliwca. Z otwartych szaf wyzierały papirusy i zwoje. Na jednym ze stołów rozciągnięto ogromny zwój oprawny w ciemne, naoliwione deszczułki. Jego uchwyty nosiły cynobrowe plamy. Rzut oka wystarczył, abym miał pewność, że nie był to egipski papirus, lecz rodzaj cienkiego papieru z Pergamonu. Uniosłem ciężkie dzieło i zacząłem je rozwijać, lecz Ifikrates nagle wydał ogłuszający charkot.

– Przykro mi, senatorze – wydusił w końcu, wrywając mi znalezisko z rąk – ale to nieskończona praca kolegi. Pożyczył mi ją, abym zdołał lepiej zrozumieć pewne sprawy. Zastrzegł jednak, że nikomu innemu nie wolno na nią patrzeć, dopóki dzieło nie zostanie ukończone i sam nie zdecyduje o jego upublicznieniu.

Zamknąłem przedmiot w zdobionym kredensie. Zastanowiłem się, co to za wyjątkowy kolega, który zdołał zaufać Ifikratesowi z Chios w czymkolwiek.

– Ten zwój przypominał mi – Julia zręcznie łagodziła sytuację – że muszę jeszcze zobaczyć słynną bibliotekę. A kto zdoła mnie po niej lepiej oprowadzić niż sam jej zarządca?

Pozegnaliśmy słynnego matematyka, na co odpowiedział grubiańskim *do zobaczenia*.

Już wcześniej zwiedziłem bibliotekę, a kiedy już się obeszło jeden gigantyczny zbiór książek, to jakby się je widziało wszystkie. Poza tym było to miejsce gwarne. Setki uczonych czytało na głos, niemiłosiernie zdzierając płuca. Rzymianie czytają kulturalnym, godnym szeptem, w przeciwieństwie do Greków czy – co gorsza – Azjatów. Pozostawiłem więc Julii oraz Amfitrionowi wątpliwą przyjemność krążenia po bibliotece i wałęsałem się po rozległym zewnętrznym dziedzińcu. Podziwiałem cudowne rzeźby. Nie minęło kilka minut, gdy pojawił się mój służący Hermes. Ucieszył mnie swoim widokiem – niósł bulgoczący bukłak z winem i dwa kubki. Pozostawiłem go przy lektyce, surowo zakazując ruszania się dokądkolwiek. Oczywiście mnie nie posłuchał. Był przykładem niezsocjalizowanego młodego kryminalisty, lecz rekompensowała to jego umiejętność: z niemal nadprzyrodzoną precyzją zaspokajał moje niewypowiedziane pragnienia.

– Tak sądziłem, że za wiele kultury na raz nie dasz rady – usiadł obok i nalał mi do kubka. – Kupiłem nieco wina i poznałem fantastyczne lesbijki.

Z wdzięcznością przyjąłem kubek.

– Przypomnij mi, żebyś cię wychłostał za nieposłuszeństwo.

Uniosłem kubek w geście pozdrowienia do pomnika Safony, ustawionego

w portyku świątyni. Zajęła tak zaszczytne miejsce, ponieważ dawniej Grecy nazywali ją „dziesiątą muzą”. Pociągnąłem spory łyk wina i wypięm za jej zdrowie.

– Teraz już wiem, co cię inspirowało, stara dobra znajoma.

Jakaś większa grupka turystów komentowała z oburzeniem picie w takim miejscu. Całkiem słusznie, lecz rzymski senator może robić, co mu się żywnie podoba. Nawykliśmy już do przemądrzałych cudzoziemców, wymyślających nam od barbarzyńców. Hermes też nalał sobie wina.

– Wierzę, że masz dla mnie jakieś wartościowe informacje – rzekłem. – W końcu są jakieś granice zuchwalstwa, które jestem skłonny tolerować.

– I to prosto od osobistych służek królowej – zapewnił mnie. – Ona znów jest w ciąży.

To był właśnie jeden ze sposobów, w jaki Hermes mi służył.

– Kolejny bachor w kolejce do tronu! To skomplikuje sprawy, zwłaszcza gdy się okaże, że to chłopak. Jeszcze jedna księżniczka nie będzie miała większego znaczenia, skoro i tak są już trzy.

– Mawiają, że Potinus, eunuch numer jeden, nie jest zadowolony. – Hermes prywatnie zdobywał więcej informacji niż cały korpus dyplomatyczny.

– Bo też nie ma po temu powodu. To tylko skomplikuje jego życie. Że nie wspomnę o tym, że z reguły eunuchowie nie czerpią satysfakcji z ludzkiej płodności. Który to miesiąc?

– Trzeci. Berenika jest wściekła, Kleopatra wydaje się zadowolona z takiego obrotu spraw, Arsinoe zaś jest zbyt młoda, żeby w ogóle zawracać sobie tym głowę. O ile mi wiadomo, młody Ptolemeusz jeszcze nie wie.

– A co z królem? – indagowałem dalej.

– Nie obracam się w tak wysokich sferach. To ty tu jesteś wielkim rzymskim urzędnikiem.

– No i wiele mi z tego przyszło. Jestem szanowanym przewodnikiem turystycznym. Tyle w tych dniach mogę...

– Przynajmniej masz zapewnione sympatyczne towarzystwo. Wolałbyś być w Rzymie, unikać Klodiusza i zostać otrutym przez jego siostrę? Martwić się, co też szykuje dla ciebie Cezar? Ciesz się wakacjami, takie jest moje zdanie.

– Hermesie – oznajmiłem – jesteśmy tu w największym zgromadzeniu naukowców w świecie. Nie potrzebuję twoich prostackich rad.

Parsknął.

– Już ja sobie dobrze obejrzałem tych uczonych, od kiedy tu jesteście. Wiesz, dlaczego wszyscy mają niewolników do podcierania im tyłków? Ponieważ mają zbyt nasrane w głowach, żeby zająć się tym osobiście.

– Nie powinieneś się tak wyrażać o lepszych od ciebie – wręczyłem mu pusty kubek. – Zabieraj to już do lektyki. Lepiej nie opróżniajmy dalej tego bukłaka, zanim stąd nie wyjdziemy.

Z braku innego zajęcia udałem się do świątyni. Nigdy w niej jeszcze nie byłem, toteż okazałem się całkiem nieprzygotowany na piękno zapierające dech w piersiach. Jej okrągły kształt sprawiał, że każda z dziewięciu muz miała zapewnioną taką samą przestrzeń. Ich rzeźby stały dokoła, na obrzeżach.

W Rzymie mieliśmy ładną świątynię Herkulesa i dziewięciu muz, lecz tam naczelne miejsce przysługiwało Herkulesowi, rzymskiemu ulubieńcowi. Wizerunki muz są tam nie najlepszej jakości.

Tutaj zaś mieliśmy dzieła godne Praksytelesa. Wyrzeźbiono je w najdoskonalszym białym marmurze, upiękuszonym jedynie najsubtelniejszymi odcieniami, czym różniły się od wielu jaskrawo malowanych figur. Nadało im to widmową, niemal przezroczystą formę. Przypominały zjawy ze snów. Przed każdą muzą rozpalono w naczyniu kadzidła, które spowijały je dymem i przyczyniały się do atmosfery boskiej obecności. Jedynie ich oczy, delikatnie wyłożone muszlami i lapis-lazuli, świeciły odbitym blaskiem, mocniej niż u istot śmiertelnych.

Nagle zdałem sobie sprawę, jak niewiele wiem o muzach. Może zdołałbym nazwać dwie lub trzy po imieniu; Terpsychorę, bo każdy lubi tańczyć, Polihymnię, gdyż wszyscy wyśpiewujemy hymny ku chwale bogów, i wreszcie Erato, bo to muza wierszy miłosnych, a jej imię przypomina Erosa. Lecz inne pogubiłem w zakamarkach pamięci.

Budowla zachowywała doskonałe proporcje. Nie była porażająco wielka, tak jak liczne aleksandryjskie gmachy, lecz raczej, rzekłbym, wzniesiona na ludzką miarę. Posągi muz ledwie przewyższały żywe postacie, o tyle tylko, żeby podkreślić, że nie są to zwykli śmiertelnicy. Polerowany marmur, z którego je wykonano, choć krył wiele barw, zachowywał jasność, podkreślając eteryczną naturę miejsca.

Poza Rzymem napotkałem tylko kilka świątyń, miejsc kultów czy sanktuariów, które wydały mi się naprawdę uświęcone. Aleksandryjska

świątynia muz była jedną z nich. Przebywając w niej, czułem się, jakbym pozostawał pod urokiem niezwykłych bogiń.

– Podoba ci się nasza świątynia, senatorze? – Odwróciłem się i ujrzałem niewielkiego, brodatego mężczyznę w prostym, białym chitonie o doryckim kroju oraz w opasce z gładkiego, zwykłego materiału.

– Jest niezwykła – przyznałem ściszym głosem. Głośna rozmowa w tym miejscu byłaby świętokradztwem. – Chciałbym złożyć boginiom ofiarę.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Nie składamy tu ofiar. Podczas ich święta oferujemy boginiom pszenicę ugniecioną z miodem i lejemy dla nich mleko z miodem oraz wodę. To wszystko. Aby oddać im cześć, palimy kadzidełka. To nie są bóstwa żadne krwi ofiar. Tu pracujemy dla ich chwały.

– Czy jesteś kapłanem?

Lekko skinął głową.

– Agaton. Arcykapłan muz. Czy nasze boginie są ci znane?

– Wiem o nich trochę. Ale w Rzymie nie są zbyt popularne.

– W takim razie pozwól, że ci je przedstawię. – Podprowadził mnie do pierwszej, ustawionej na prawo od drzwi.

Spacerowaliśmy, a on wymieniał, a może raczej była to melorecytacja, ich imiona, cechy i atrybuty. Muzy niewiele różniły się od siebie rysami twarzy, figurą czy strojem, więc rozpoznawano je głównie po atrybutach.

– Klio, opiekunka historii. Jej symbole to trąbka bohaterów i klepsydra... Euterpe, opiekunka gry na flecie, więc jej atrybut to flet... Talia, opiekunka komedii, nosi komediową maskę... Melpomene, opiekunka tragedii. Jej atrybutami są maska tragiczna oraz maczuga Herkulesa... Terpsychora nosi ze sobą kitarę, opiekuje się poezją liryczną i tańcem... Erato, opiekunka poezji miłosnej. Ona jedna wśród muz nie ma własnego atrybutu ani specjalnych cech... Polihymnia, opiekunka hymnów ku chwale bohaterów, także pantomimy. Dotyka palcem warg w pozie zamyślenia... Urania, opiekunka astronomii. Jej atrybutami są kula nieba i cyrkiel... Najwspanialsza z muz to Kaliope, muza poezji epickiej i krasomówstwa. Nosi ze sobą rylec i tabliczkę.

Większość muz uwieczniono w pozycji stojącej, tylko Klio i Urania siedziały. Nigdy nie poświęciłem im głębszych studiów, na jakie zasługiwały, gdyż czasy, w których żyłem, obfitowały w wojny domowe i przemoc. Nie sprzyjały uprawianiu subtelniejszych sztuk niż sztuka

wojenna. Lecz od tego dnia miałem już nigdy nie zapomnieć ani ich imion, ani atrybutów, a gdy tylko nogi mnie niosły opodal ich świątyni przy *Circus Flaminius*, nie omieszkałem zajrzeć do nich i dorzucić nieco kadzidła do naczynia.

Podziękowałem kapłanowi z najgłębszym uznaniem. Doznałem czegoś niespodziewanego i z jakiegoś powodu wiedziałem, że będę je miłował do końca swych dni. Gdy wyszedłem ze świątyni, wydało mi się dziwne, że na zewnątrz wszystko pozostało bez zmian, takie jakie było. Kilka minut później z biblioteki wyszła Julia z Amfitrionem. Spojrzała na mnie koso.

– Jesteś pijany? Przecież jeszcze wcześniej!

– Tylko jeden kubeczek, przysięgam.

– To dlaczego tak dziwnie wyglądasz?

– Wyglądasz, panie, jak ktoś, kto doznał wizji od samych bogów – rzekł poważnie Amfitrion. – Czy tak właśnie było?

– Nie – zaprotestowałem pośpiesznie. – A przynajmniej nie sądzę, aby to było to. Julio, wracajmy do pałacu.

– Chciałam jeszcze zobaczyć wiele miejsc, lecz może rzeczywiście lepiej innym razem.

Podziękowaliśmy Amfitrionowi i wróciliśmy do lektyki. Próbowałem zamaskować swój dziwaczny nastrój pogawędką i już wkrótce Julia gadała bez końca o zdumiewających zbiorach książek w bibliotece. Było ich tyle, że całe miasto pachniało papirusem. Obiecałem, że jutro pokażę jej Panejon. Byłem tam już wcześniej, więc nie spodziewałem się żadnych nadzwyczajnych doznań.

– A tak przy okazji – wtrąciła Julia – Amfitrion zaprosił nas na ucztę, która odbędzie się jutrzejszego wieczoru w Muzejonie. To doroczne wydarzenie z okazji rocznicy założenia tej placówki naukowej.

– O, nie! – jęknąłem. – Nie mogłaś się wykręcić? Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to uczestniczenie w kolacji mędrców i wysłuchiwanie tych wszystkich wzniosłych przemówień z ust ludzi, którzy nie mają bladego pojęcia, na czym polega dobra zabawa.

– Berenika też przyjdzie – odparła po prostu – i będzie oczekiwać ode mnie oraz Fausty, że udamy się tam razem z nią. Ty zaś możesz zrobić, jak uważasz.

Wiedziałem, co ten ton oznacza.

– Oczywiście przyjdę, moja droga. A tak nawiasem, gdzie jest Fausta?

– Podziwia ofiarę z byków. Lubi rozrywki tego rodzaju.

– Nie wątpię. Hermes trochę się dowiadywał o tę świątynię. Coś mi się wydaje, że te byki zostaną najpierw wykastrowane, a z ich jąder powstanie peleryna, którą narzucą bogu na ramiona, podobnie jak to czynią z wizerunkiem Diany z Efezu.

Zrobiła niezadowoloną minę i powiedziała:

– Opowiastki, które znosi ci ten chłopak... nie mam pojęcia, czemu go tolerujesz.

– Jest zabawny, a to więcej niż można powiedzieć o większości niewolników. Zważywszy na to, ile ma sposobności, niewiele kradnie.

Kiedy wróciliśmy do pałacu, odnalazłem Kretyka. Dyskutował z innymi nad przybyłymi do placówki dokumentami. Gdy Rufus mnie dostrzegł, podniósł jeden z tekstów i zamachał nim do mnie.

– Świeżutkie! Dopiero co przyplłynęło szybką łodzią, Decjuszu. W Rzymie odbyły się wybory. W przyszłym roku jednym z konsulów będzie Gajusz Juliusz Cezar.

– Nikt w to nie wątpił – odparłem. – Jego wierzyciele będą mieli wreszcie szansę ściągnąć długi. A ten drugi to kto?

– Bibulus – oznajmił Kretyk zde gustowany. – Równie dobrze mogli wybrać ostrygę.

– W takim razie to będzie czas jednego konsula – zauważyłem. – Przynajmniej Julia będzie szczęśliwa.

Pochyliliśmy się nad wynikami wyborów, szukając przyjaciół i wrogów. Jak zwykle, było mnóstwo i jednych, i drugich. Kretyk wskazał palcem któreś imię na liście nowych trybunów.

– Watyniusz – odczytał. – To jeden z ludzi Cezara. W takim razie prawa Cezara prawdopodobnie będą głosowane przez zgromadzenie ludowe.

– A jakie dostaną prowincje prokonsularne? – Kretyk mamrotał coś pod nosem nad tekstem. Wreszcie uniósł głowę. Szczeka mu opadła.

– Mają obaj nadzorować wiejskie drogi, ścieżki do przepędzania bydła i pastwiska Italii! – Słyszając to, wszyscy zatrzęśliśmy się ze śmiechu.

– A to podła zniewaga! To oznacza wojnę między Cezarem a senatem.

Kretyk niecierpliwie machnął dłonią, odpędzając tę myśl.

– Nie, Gajusz Juliusz znajdzie sposób, żeby się z tego wywinąć. Przekona *concilium plebis*, żeby przyznało mu w głosowaniu bogatą prowincję. Ostatnio trybuni z łatwością znoszą postanowienia senatu. Pamiętaj, że

zrezygnował z prawa do triumfu, aby powrócić do Rzymu i starać się o konsulat. To wiele znaczy dla ludu. Sądzą, że został oszukany, toteż staną po jego stronie.

Fenomen ówczesnego zdumiewającego wzrostu znaczenia Gajusza Juliusza na rzymskiej scenie politycznej dyskutowano szeroko. W dość zaawansowanym wieku wyszedł z cienia, aby się objawić jako utalentowany polityk, zdolny zarządca, a ostatnio w Hiszpanii również niepośledni dowódca wojskowy. Jak na kogoś, kogo do tej pory wyróżniała tylko rozpusta i długi, jego kariera rozwijała się zdumiewająco. Miał na tyle intratną posadę w Hiszpanii, że mógł spłacić przynajmniej najpilniejsze długi. A teraz został konsulem, więc pozostali wierzyciele nie mogli go nękać. Gdyby do tego zdołał sobie zapewnić bogatą prowincję, awansowałby do grona Rzymian budzących największy respekt. Wszyscy uważali, że go świetnie znają, lecz tak naprawdę nikt nie zdołał zgłębić jego myśli.

– Może niedługo będziesz mógł wrócić do domu, Decjuszu – zauważył Rufus. – Jesteś narzeczonym bratanicy Cezara, więc dopóki będzie konsulem, dopóty będzie trzymał Klodiusza na wodzy.

– Nie obawiam się Klodiusza – zapewniłem, choć nie byłem całkiem szczery.

– Widok was dwóch walczących na Forum to kłopot dla rodu – odrzekł Kretyk. – Strach nie ma tu nic do rzeczy. Wrócisz do domu, kiedy wezwie cię rodzina.

– Cóż, więc wypijmy za to. A tak przy okazji: dowiedziałem się właśnie, że królowa jest w ciąży.

Zrelacjonowałem im plotki Hermesa.

– Dobrze urodzony mężczyzna nie powinien wysłuchiwać bajd niewolników – prychnął Kretyk.

– Te bajdy nie tylko sprawiają, że czuję się doinformowany, ale także nieraz uratowały mi życie – zaripostowałem. – Sądzę, że na tej można polegać.

Rozmawialiśmy o możliwych implikacjach tego wydarzenia. Jak było do przewidzenia, wszyscy lamentowali nad ewentualnością narodzin kolejnego syna, co skomplikowałoby stosunki Rzymu z Egiptem. I po tej gorzkiej konstatacji zgromadzenie się rozpierzchło.

Następnego dnia oprowadziłem Julię po Panejonie. Stanowiło ono jeden z osobliwszych widoków w Aleksandrii. Na sztuczne wzgórze wiodła



spiralna ścieżka, pnąca się do samego Panejonu, wzniesionego na szczycie. Nie była to prawdziwa świątynia. To znaczy, że nie było tam kapłanów i nie składano żadnych ofiar. Było to raczej sanktuarium uwielbianego powszechnie boga.

Wspinaczka krętą dróżką to był długi spacer, lecz dostarczał pięknych widoków. Równoległe do ścieżki biegł pas doskonale utrzymanej zieleni, zdobiony wysokimi topolami, usiany dziwnymi maleńkimi grotami i ożywiony figurkami leśnych towarzyszy Pana. Faunowie psocili, satyrowie gonili nimfy, driady baraszkowały wzdłuż całej trasy na wzgórzu.

Na szczycie znajdowało się sanktuarium bez ścian. Miało jedynie dach, wsparty na smukłych kolumnach, bo kto zdołałby uwięzić leśnego boga, takiego jak Pan, w zamknięciu? Pod dachem znajdowała się figura boga z brązu, wysokości połowy człowieka. Pan był rogaty, miał rozszczepione kopyta i kozie nogi, został ukazany w ekstatycznym tańcu z motylem na dłoni.

– Ale pięknie! – zachwyciła się Julia, gdy łaziliśmy między kolumnami. A chwilę później wykrzyknęła – o rany!

Wpatrywała się w sławny w świecie atrybut boga, zadziornie sterczący fallus, dłuższy od jego przedramienia.

– Zaskoczona? Każdy Hermes, zdobiący ogrody, jest podobnie wyposażony.

– Lecz nie aż tak szczerze – odparła, wytrzeszczając oczy. – Szkoda mi nimf.

– Cóż, Fausta powiedziałyby, że im zazdrości.

Dama ta postanowiła spędzić dzień wśród samobiczujących się kapłanek Baala-Arymana. Ogólnie mówiąc, miała znacznie szersze zainteresowania niż moja narzeczona.

– Fausta przywiązuje znaczną wagę do spraw ciała – odrzekła Julia. – Stąd też jej zainteresowanie twoim obrzydliwym przyjacielem Milonem.

– Milon jest inteligentny, elokwentny, przekonujący, ambitny, a ponadto jego przeznaczeniem jest dokonanie wielkich rzeczy w rzymskiej polityce – wyliczyłem jednym tchem.

– Są i inni o tych samych kwalifikacjach. On zaś jest również brutalny, pozbawiony skrupułów i na nic nie zważa, gdy może zyskać coś dla siebie. Ma więc też dość mierne przymioty, gwarantuję ci to. To, co sprawia, że jest w oczach Fausty wyjątkowy i pożądany, to twarz i ciało boga.

– Lecz czy należy go za to winić? Wymagania Korneliuszy w tym względzie są raczej wygórowane. A kto w Rzymie miałby pasować do Fausty jak nie Milon?

Prychnęła dumnie, jak przystało na patrycjuszkę.

– Czym zresztą miałyby się przejmować? Nie zanoszą się na to, aby się mieli razem pokazywać publicznie. Rzymscy mężowie nie zasiadają obok swych żon nawet w amfiteatrach. Choć, to prawda, stanowią ekscentryczną parę. Ona taka jasna i delikatna, on znów ciemny i muskularny. Zachowują się jednak oboje równie arogancko, choć on jest znacznie niższego stanu.

Uśmiechnąłem się sam do siebie. Milon podobał się nawet Julii, choć nigdy by tego otwarcie nie przyznała. Tak naprawdę podobał się wszystkim kobietom w Rzymie. Służki bazgroliły jego imię na murach, jakby był zwycięskim woźnicą rydwanów czy gladiatorem. Nazywały go Pięknym Milonem, zarzekając się, że ten afekt im rychło minie, lecz jednocześnie nieustannie roztrząsały obsceniczne szczegóły. Julia nigdy by się nie zdobyła na tak bezwstydną uwagę, lecz nie była odporna na jego urok.

– Pochodzenie niewiele już znaczy w Rzymie – zauważyłem. – Władza ostatnimi czasy należy do trybunów i zgromadzenia ludowego. Patrycjusz Klaudiusz przyłącza się do plebsu, aby móc się ubiegać o urząd trybuna. Nawet twój wuj Gajusz Juliusz, któremu tytuł patrycjuszowski należy się jak Romulusowi, brata się z pospółstwem, gdyż właśnie z ludu pochodzi władza.

– Mój wuj Gajusz pragnie odrodzić pradawną świetność senatu. Mawia, że to zadanie, które nie powiodło się Sulli. Jeśli zaś musi się zwrócić do ludu o wsparcie, aby to osiągnąć, to wyłącznie dlatego, że nastąpiły straszliwie niemoralne czasy. On zaś chciałby je przetrwać dla dobra państwa.

Jej lojalność wobec własnego rodu urzekła mnie, lecz została przez nią niewłaściwie ulokowana. Każdy najgłupszy adept polityki wiedział, że Gajusz Juliusz nie miał żadnego interesu w przywracaniu senatowi znaczenia. To już bardziej prawdopodobny był powrót monarchii z Cezarem na tronie. Lecz muszę przyznać, że wówczas nie mieliśmy pojęcia, jak daleko mógł się on posunąć w realizacji tego scenariusza.

– Stąd się rozciąga nadzwyczajny widok – zauważyła, zmieniając temat. Rzeczywiście. Właściwie Panejon nie był dumną wyniosłością, za to Aleksandria wydawała się tak płaska, że niepotrzebne było żadne wzniesienie, aby widzieć wszystko dokoła. Znów wczułem się w rolę przewodnika.

– Kompleks pałacowych zabudowań już znasz. Tam zaś – wskazałem południowo-wschodnią część miasta – widać dzielnicę żydowską. Niektórzy twierdzą, że w Aleksandrii jest więcej Żydów niż w Jerozolimie.

Następnie zwróciłem uwagę na zachodnią część miasta, gdzie dominowała straszliwa bryła Serapeum. Tylko ta budowla w całym mieście mogła rywalizować rozmiarami z Muzejonem.

– Tam masz Rakotis, dzielnicę egipską. Jej nazwa pochodzi od miejscowości, która się tu znajdowała, kiedy Aleksander zakładał miasto. Miasto dzieli się na foremne czworoboczne kwartały. Te znów, jak się przyjrzyysz, tworzą większe, regularne formy – obszary, oznaczone kolejnymi literami greckiego alfabetu.

– To wszystko takie dziwne – rzekła Julia. – Przebywam w mieście, w którym wszystkie linie są proste, a kąty dokładnie wyznaczone. Zakładam, że przyczynia się to do zachowania ładu publicznego.

– Też tak to odbieram – zapewniłem. – Jakbym się znalazł w mieście zaplanowanym przez Platona.

– Platon wolał koliste kształty – sprostowała. – Nie sądzę jednak, aby koło było przydatną formą w przestrzeni miejskiej. A co jest tam, za tymi murami na zachodzie?

– To Nekropolis. W Egipcie grobowce są bardzo ważne. Wszystkie tereny pochówku znajdują się na zachodnim wybrzeżu, *nekropole* usytuowano na zachód od miast. Przypuszczam, że to dlatego, iż tam zachodzi słońce. Ludzie umierają w Aleksandrii od stuleci, toteż teren Nekropolis jest niemal równie rozległy jak miasto.

– A jednak historia Aleksandrii w stosunku do dziejów Egiptu jest krótka. Według Herodota, lista faraonów sięga niemal trzech tysięcy lat wstecz. Nawet Rzym przy Egipcie jest młody. Myślisz, że też będzie miał tak długie dzieje?

– Oczywiście – odparłem. Co za niedorzeczne pytanie.

Nawet najprzyjemniejszy dzień musi ustąpić wieczorowi, a gdy ten nadciągnął, trzeba było się szykować do uczyty w Muzejonie. Wróciliśmy do pałacu, aby się wykąpać i zmienić szaty. Wśród Rzymian w Aleksandrii istniał mile widziany zwyczaj obywatela się bez niewygodnej togi podczas wieczery. Zamiast niej nosiliśmy lekkie, miejscowe *synthesis*. Rozwiązanie to, niebywale praktyczne, kilka lat później Cezar wprowadził w Rzymie. Zresztą odtąd Cezar stał się arbitrem w kwestii tego, co było właściwe, i to

właśnie obowiązywało.

W wieczornym chłodzie niesiono nas do Muzejonu. Niewolnicy podążali za nami, niosąc wszystko, czego mogliśmy potrzebować w trakcie uczty. Szczerze mówiąc, szła za nami ich całkiem spora gromada, gdyż razem z nami udawały się Berenika i Fausta. Szturchnąłem tragarzy, aby truchtali wzdłuż ich lektyki.

– I jakie wrażenia z biczowania? – zawołałem do Fausty.

– To było fascynujące! – odkrzyknęła. – Przynajmniej ze sto kapłanek tańczyło przed figurą Baala-Arymana i nim skończył się ceremoniał, niektóre padły z wyczerpania i upływu krwi.

– Zabawa lepsza niż podczas zamieszek na Saturnaliach – stwierdziłem, nie zważając na to, że Julia dała mi kuksańca łokciem pod żebro. – Szkoda, że rzymskie świątynie nie oferują nam takich rozrywek.

– To bardzo wyważona ceremonia religijna – oznajmiła Berenika. – Święty Ataksas objawia wysublimowaną naturę wielkiego boga oraz wartość religijnej ekstazy, wychwalając tego boga. W świętym transie łączy się w mistycznym zjednoczeniu z boską naturą. Święty Ataksas przyrzeka, że wszyscy jego wyznawcy, którzy poświęcą się bogu całkowicie, usłyszą jego głos.

– Głos? Masz na myśli to, że bóg objawi się w jakiś tajemniczy sposób, jak to bogowie mają w zwyczaju?

Księżniczka pokręciła przecząco głową.

– Nie, przemówi własnym głosem. I wszyscy będą ten głos słyszeć.

– Fascynujące... – wymamrotałem, jak zwykle zdumiony niezmiernymi pokładami ludzkiej łatwowierności. W końcu ustąpiłem przed łokciem Julii i wygodnie rozparłem się w lektyce.

– Ośmieszanie religii innych osób nie jest właściwym zachowaniem! – wysyczała mi do ucha, kiedy pozostali znaleźli się poza zasięgiem głosu.

– Nie drwiłem przecież! – zaprotestowałem. – Po prostu zadałem kilka pytań. Poza tym to nie jest prawdziwa religia, tylko obcy kult. Żaden wyedukowany człowiek, bez względu na to, skąd pochodzi, nie powinien wierzyć w takie pokrętne brednie.

– I co z tego? Jest księżniczką, a osobom z królewskiego rodu zawsze więcej wolno. A ty to traktujesz, jakby tu był Rzym, a Ataksas rzucał wyzwanie Jupiterowi, walcząc z nim o pierwszeństwo wśród bogów.

Na tej głębokiej teologicznej dyskusji schodził nam czas, gdy niewolnicy

w pocie czoła nieśli nas do Muzejonu. Lektyką nieco szarpało, gdy wnosili nas po szerokich schodach. W końcu postawili nas w przedsionku sali biesiadnej. Tu nas powitali miejscowi dostojnicy. Właściwie należałoby powiedzieć, że płaszczyli się przed Bereniką i łaskawie przyjęli do wiadomości, że stanowimy część jej świty.

Weszliśmy do jadalni, zastawionej stosownie do okoliczności, czyli prosto, surowo, lecz elegancko. Obecność Jej Wysokości uświetniła rangę wydarzenia. Podano przednie wino, a i jedzenie było równie dobre, aczkolwiek darowano sobie wymyślne sosy i dziwaczne ozdoby. Dla rozrywki Teagenes recytował długi ustęp z Homera. Był to największy aktor tragiczny aleksandryjskiego teatru. Siedzieliśmy godnie razem, ze stosowną powagą. Nieco mi w tym pomogło wino.

Właściwie ogólna atmosfera, ta cisza i powściągliwość wzbudziły we mnie jakąś podejrzliwość. Czegoś tu brakowało. I wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma Ifikratesa z Chios. Odwróciłem się do Amfitriona.

– A gdzie stary Ifikrates? Ominie go całkiem niezła uczta, no i ożywiłby nieco towarzystwo.

Zarządca biblioteki wyglądał na nieco urażonego.

– Po południu zajmował się swoimi pracami. Może i powinienem kogoś posłać, żeby sprawdził, czy wszystko z nim w porządku.

Wezwał niewolnika i kazał mu sprawdzić, co się dzieje z Ifikratesem. Staruszek nie potrafił przyznać, że nieobecność Ifikratesa niezmiernie go cieszyła.

Wiedziałem, że pogawędka po uczcie będzie się pewnie składać wyłącznie z uczonych dysput, a tego chciałem za wszelką cenę uniknąć. Skoro nie mogłem stąd wyjść, rad bym chociaż posłuchał jakiejś sprzeczki czy paru celnych inwektyw. Wiedziałem, że Ifikrates miał ich w zanadrzu pod dostatkiem. Kiedy zebrano już naczynia, wstał siwobrody mężczyzna.

– Wasza Wysokość, szanowni goście... Niech mi wolno będzie się przedstawić: Teofrast z Rodos, zawiaduję Działem Filozofii. Poproszono mnie, abym tego wieczora przewodniczył dyskusji. Za waszym pozwoleniem, wybrałem zagadnienie po raz pierwszy sformułowane przez filozofa sceptyka, Pyrrona z Elidy: *akatalepsja*. Czyli, innymi słowy, niemożność poznania rzeczywistej natury rzeczy.

To przerosło moje najgorsze obawy. Nagle wrócił niewolnik i coś gorączkowo szeptał do ucha Amfitrionowi. Na twarzy bibliotekarza

widoczna była ogromna konsternacja. Wstał gwałtownie.

– Obawiam się, że muszę przerwać wieczorne uroczystości – rzekł donośnie. – Wydaje mi się, że doszło do pewnego... wypadku. Coś się przytrafiło Ifikratesowi, więc muszę zobaczyć, co się stało.

Odwróciłem się i strzeliłem z palców.

– Moje sandały!

Hermes natychmiast wsunął mi je na stopy.

– Panie – wtrącił Amfitrion – nie ma konieczności, abyś...

– Nonsens – przerwałem mu. – Skoro jest problem, chcę służyć wszelką możliwą pomocą.

A tak naprawdę za wszelką cenę chciałem stamtąd zniknąć.

– Świetnie. Szanowny Teofraście, możesz mówić dalej.

Gdy wychodziliśmy, brzęczący głos szanownego staruszka wciąż dochodził z sali bankietowej. Tej nocy Muzejon był dziwnie ciemny i cichy. Nieliczny personel złożony z niewolników zniknął gdzieś w swoich pokojach. Spotkaliśmy tylko chłopca, który dbał o dolewanie oliwy i przycinanie knotów świec.

– Co właściwie się stało? – zapytałem sługę, który szukał Ifikratesa.

– Lepiej zobacz to sam, panie – odparł, pocąc się ze zdenerwowania. Niewolnicy często się tak zachowują, kiedy coś się dzieje. Wiedzą, że ich się obwinia o wszystko. Przecieliśmy dziedziniec, na którym dzień wcześniej podziwiałem pracowników Ifikratesa, składających model urządzenia służącego do udroźniania kanału. W świetle księżyca mechanizm wyglądał irrealnie. Niewolnik zatrzymał się przed pracownią, w której podziwialiśmy jego rysunki.

– Jest tam, w środku.

Weszliśmy. Sześć lamp dawało niezłe oświetlenie. Wystarczające, by dostrzec Ifikratesa leżącego na plecach na środku podłogi, martwego jak Hannibal. Wielkie pionowe rozcięcie podzieliło jego wyniosłą brew niemal na pół, od nosa po linię włosów. W pokoju panował bałagan. Wszędzie poniewierały się szkice, szafy były pootwierane, a ich zawartość walała się wśród innych rzeczy na podłodze.

– O, Zeusie! – zawołał Amfitrion. Jego emocje wzięły górę nad filozoficznym nastawieniem. – Co tu się działo?

– Z całą pewnością – wtrąciłem się – nie był to wypadek. Nasz przyjaciel Ifikrates został z premedytacją zamordowany.

– Zamordowany! Ale dlaczego?

– Cóż, miał dość niemiłą osobowość – przypomniałem.

– Naukowcy wciąż się spierają – przyznał sztywno Amfitrion – ale nie stosują przemocy jako argumentacji.

Odwróciłem się ku niewolnikowi, który wciąż stał przed drzwiami.

– Przyrowadź tu medyka Asklepiodesa.

– Coś mi się wydaje, że już za późno, choć cenię jego wyjątkowe umiejętności – westchnął Amfitrion.

– Nie chcę, aby go wskrzesił. Niech wykorzysta swoją umiejętność interpretowania ran. W Rzymie współpracowaliśmy przy wielu takich wypadkach.

Począłem rozglądać się po kredensach. Zamykany kredens był otwarty, a jego zawartość rozrzucono.

– Rozumiem. Muszę jednak natychmiast donieść o tej sytuacji Jego Wysokości. Jak sądzę, będzie chciał wyznaczyć do tej sprawy własnego śledczego.

– Ptolemeusz? Aż do jutrzejszego poranka nie będzie mógł wysłuchać żadnych doniesień ani wyznaczyć urzędników do specjalnych poruczeń.

Przyjrzałem się lampom. Jedna już prawie zgasła, jej knot dymił. Inne paliły się mocnym płomieniem.

– To bez znaczenia. I tak powinienem mu o tym wspomnieć – uznał Amfitrion.

Usłyszeliśmy głosy. Zbliżali się ku nam jacyś ludzie. Podeszedłem do drzwi i ujrzałem uczestników bankietu, tłumnie idących przez dziedziniec.

– Asklepiodesie, podejdź tu do nas – poprosiłem. – Pozostałych proszę, żeby tymczasem zostali na miejscu.

Mikry Grek wszedł do środka z szerokim uśmiechem na brodatej twarzy. Uwielbiał takie sprawy. Podeszedł do ciała, ukląkł przy nim, umieścił dłonie pod szczęką trupa i delikatnie poruszył głową w obie strony.

– Nawet najlepsze światło lampy nie zapewni mi warunków do ustalenia tego, co tu zaszło – rzekł. – Decjuszu Cecyliuszu, czy mógłbyś rozstawić wokół jego głowy cztery lampy w odległości nie dalej niż trzy–cztery łokcie?

Wstał i zaczął przeszukiwać bałagan. Zrobiłem, o co mnie poprosił, on zaś po minucie znalazł to, czego szukał. Wrócił z płytką, doskonale wypolerowaną srebrną misą. Zwrócił się do niewielkiej grupki uczonych, którzy zaglądali przez drzwi.

– Ifikrates badał wykorzystanie przez Archimedesesa zwierciadeł wklęsłych. Mają one właściwość skupiania światła odbitego.

Odwrócił misę wnętrzem do Ifikratesa. Odbiła światło lamp, kierując mocny snop na upiorną ranę. Przed drzwiami rozległy się szepty zachwytu nad jego wiedzą i sprytem.

Gdy Asklepiodes badał denata, podszedłem do drzwi.

– Wasz kolega Ifikrates został zamordowany – obwieściłem. – Proszę więc wszystkich, byście się zastanowili, czy widzieliście w okolicy jakichś obcych ludzi tuż przed bankietem.

Powiedziałem tak jedynie po to, żeby się czymś zajęli i nie wtrącali się do dochodzenia. Ta zbieranina mogłaby nie zauważyć, nawet gdyby ich szaty stały w ogniu. Tylko Sosigenesa uważałem za bystrego obserwatora. Oczywiście, poza zmarłym Ifikratesem, lecz ten już nic nam nie powie.

Fausta podeszła bliżej i zajrzała do środka.

– Morderstwo! To ekscytujące!

– Jeśli naprawdę poślubisz Milona – powiedziałem – morderstwa będą dla ciebie codziennością.

Odwróciłem się ponownie do Amfitriona.

– Czy istniał jakikolwiek spis rzeczy Ifikratesa? Bardzo by nam to pomogło w ustaleniu, co zaginęło, bo przecież nikt nie ma wątpliwości, że morderca, czy też mordercy, czegoś szukali.

Pokręcił przecząco głową.

– Ifikrates był skrytym człowiekiem. Tylko on jeden wiedział, co miał.

– A uczniowie? Prywatni niewolnicy?

– Wszystkie prace wykonywał sam, chyba że najmował do danego zadania odpowiednich pracowników. Miał sługę, niewolnika należącego do Muzejonu, acz przypisanego do niego. Niewielu z nas odczuwa potrzebę posiadania własnego niewolnika.

– Chciałbym przesłuchać tego sługę – oznajmiłem.

– Senatorze – rzekł, wyraźnie tracąc cierpliwość – muszę przypomnieć, że ten wypadek zostanie zbadany przez państwo egipskie.

– Och, załatwię to przecież z Ptolemeuszem – zapewniłem butnie. – A teraz, jeśli byłbyś tak dobry, chciałbym, ażebyś wyznaczył jednego ze skrybów do spisania wszystkich przedmiotów, jakie się znajdują w tym pomieszczeniu: zwojów, rysunków, kosztowności, także umeblowania. Jeśli okaże się, że brakuje czegoś, co należało do Ifikratesa, pomoże to nam



określić tożsamość mordercy.

– To nie powinno zaszkodzić – mruknął. – Wyznaczony przez króla śledczy może również uznać spis za przydatny. Czy to jakaś nowa szkoła wnioskowania, o której nic mi nie wiadomo?

– Moja własna szkoła. Możesz ją nazwać logiką stosowaną...

– To takie bardzo... rzymskie. Zaraz wyznaczę odpowiednich ludzi.

– Dobrze. Upewnij się, że zostaną spisane wszystkie teksty i rysunki.

– Nie omieszkam – fuknął zdenerwowany. – A teraz, senatorze, pozwól pan... Musimy zacząć przygotowania do pogrzebu naszego zmarłego kolegi.

– Asklepiodesie? – zagadnąłem pytająco.

– Widziałem już dość. – Wstał od ciała i poprowadził mnie w róg pokoju.

– Od jak dawna nie żyje? – spytałem najpierw.

– Najwyżej dwie godziny. Zmarł mniej więcej w tym czasie, kiedy zaczynała się uczta.

– A narzędzie zbrodni?

– Co ciekawe, Ifikrates zapewne zginął od ciosu siekierą.

– Siekiera! – zdumiałem się. To coś niebywałego. Żaden tam banalny sztylet. Jedynie kilka barbarzyńskich plemion cenilo siekiere, przeważnie na Wschodzie. – Ale czy to była siekiera drwala, czy żołnierska *dolabra*?

– Żadna z nich. Obie mają proste bądź łagodnie zakrzywione ostrza. Ta broń była raczej wąska, mocno zakrzywiona o kształcie zbliżonym do półksiężyca.

– Cóż to za siekiera? – zastanawiałem się.

– Chodź ze mną – poprosił. Ruszyłem za nim zaintrygowany, przemierzaliśmy salę za salą. O ile było mi wiadomo, swoją rozległą kolekcję broni zostawił w Rzymie. Tłum ścichł i się rozstał, aby nas przepuścić. Ktoś się przepychał ku nam.

– Jak widzę, znalazłeś sobie sympatyczne zajęcie. – To była Julia.

– Tak. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, nie sądzisz? Gdzie jest Fausta?

– Wróciła z Bereniką do pałacu. Jej Wysokość nie powinna przebywać w miejscu popełnienia zbrodni.

– Mam nadzieję, że nie zaczną o tym wszystkim bezmyślnie paplać, gdy już dotrą na miejsce. Chcę przekonać Ptolemeusza, aby jutro zlecił mi prowadzenie śledztwa w tej sprawie.

– Decjuszu, czy muszę ci przypominać, że to Egipt, a nie Rzym?

– Wszyscy dokoła mi to powtarzają. A jednak nie jest to całkiem niezależny region. Powszechnie wiadomo, że to Rzym pociąga tutaj za wszystkie sznurki.

– Powierzono ci misję dyplomatyczną. Nie ma powodu, abyś się mieszał w wewnętrzne sprawy miejscowej policji.

– Czuję jednak, że jestem coś Ifikratesowi winien. Gdyby nie chodziło o niego, słuchałbym w tej chwili dysputy o niepoznawalności istoty świata.

– Jesteś zwyczajnie znudzony – nie odpuszczała.

– I to skrajnie – przyznałem.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl:

– Coś ci powiem – a może chciałabyś mi w tym pomóc?

Zamilkła.

– Pomóc ci? – wykrztusiła wreszcie, patrząc podejrzliwie.

– No pewnie. Potrzebuję kogoś do pomocy. Kogoś z *Rzymu*. Nie zaszkodzi, żeby był to ktoś, kto potrafi rozmawiać z wysoko urodzonymi damami Aleksandrii oraz dworem.

– Rozważę to – odparła chłodno. Wiedziałem, że ją mam. Zwykle nie mogła się doczekać, żeby wziąć udział w moich niesławnych dochodzeniach, lecz w Rzymie nie uznano by tego za działalność odpowiednią dla patrycjuszki. A tu mogła robić, co chciała – w granicach zdrowego rozsądku.

– Dobrze – kułem żelazo, póki gorące. – To może zaczniesz od przekonania Bereniki, żeby pogadała z ojczulkiem i namówiła go, by powierzył mi śledztwo.

– Wiedziałam, że kierują tobą niskie pobudki. Dokąd idziemy?

Znajdowaliśmy się w skrzydle Muzejonu, którego wcześniej nie widziałem. Galerię posągów i malowideł oświetlał mdły poblask lamp.

– Asklepiodes chce nam coś pokazać.

– W obecnych czasach siekiera rzadko służy jako broń – odparł. – Jednak w zamierzchłej przeszłości uważano ją wręcz za niestosowne narzędzie dla szlachetnie urodzonych. W trzynastej księdze *Iliady* trojański bohater Pejsandros wyciągnął siekierę z za tarczy, żeby wyzwąć na pojedynek Menelaosa. Ale i tak źle skończył.

– Pamiętam ten fragment. Menelaos dźgnął go u podstawy nosa tak, że obie gałki oczne wypadły mu z orbit i zakrwawione legły w pyle drogi, u jego stóp.

– Że też takie rzeczy zapamiętujesz – odezwała się Julia.

– Uwielbiam takie fragmenty. Asklepiodesie, dlaczego interesuje nas teraz galeria sztuki?

– W sztuce siekierę przedstawiano zwykle jako typową broń Amazonek.

– Lecz z pewnością nie chcesz nam wmówić, że Ifikratesa wykończyła Amazonka?

– Nie sądzę. Spójrzcie jednak tutaj. – Zatrzymał się przed wielką, wspaniałą wazą, przykładem malarstwa czarnofigurowego. Stała na podwyższeniu, podpisana jako dzieło słynnego artysty Tymona. Przedstawiała bitwę Greków z Amazonkami. Asklepiodes wskazał jedną z tych wojowniczych kobiet na koniu, ubraną w tunikę i frygijską czapkę. Uniosła wysoko siekierę o długim trzonku, chcąc ugodzić Greka, ubranego jedynie w duży hełm z grzebieniem, zbrojnego w tarczę i włócznię.

Julia zdjęła lampę z uchwyty na ścianie i przyniosła ją bliżej, byśmy mogli się przyjrzeć broni. Mimo że stylisko było długie, to obuch raczej zwarty, dość wąski, lekko rozszerzający się i zwieńczony półokrągłym ostrzem. Drugi koniec obucha był zakończony ostrym, przysadzistym szpicem.

– Przypomina nieco siekierkę ofiarną, którą pomocnik *flamine* ogłusza większe zwierzęta, składane w ofierze – zauważyła Julia.

– U nas takie siekierki nie mają aż tak zaokrąglonych ostrzy – odparłem.

– W niektórych rejonach Orientu – włączył się Asklepiodes – dokładnie takich siekier wciąż się używa podczas rytualnych obrządków.

– Lecz czy widziałeś je tutaj, w Aleksandrii? – spytałem.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie. Lecz już wiemy, że w tym mieście jest przynajmniej jedna taka siekiera.

Wyszliśmy razem i wróciliśmy do naszej lektyki. Niewolnicy dawno posnęli, lecz wnet ich zbudziłem. Wpełzliśmy na siedziska i ułożyliśmy się wygodnie na poduchach.

– Dlaczego ktoś zamordował takiego uczonego jak Ifikrates? – sennie zastanawiała się Julia.

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć – odpowiedziałem. – Mam nadzieję, że nie z prostackiej przyczyny, na przykład, że to jakiś zazdrosny mąż.

– Twoim przełożonym nie spodoba się to, że wtykasz nos w tę sprawę. Wiesz o tym. Komplikujesz swoją sytuację.

– No i co z tego. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił, i patrzeć, jak ponosi

karę.

– Dlaczego? – nalegała. – A... już wiem. Umierasz z nudów. Lecz temu moglibyśmy zaradzić, udając się wspólnie w podróż łodzią po Nilu, aż na Elefantynę. Pokazałbyś mi po drodze wszystko, co godne uwagi. Tak naprawdę nie interesuje cię Aleksandria. Pewna też jestem, że nie lubiłeś Ifikratesa. O co więc chodzi?

Nie znosiłem, kiedy stawała się taka dociekliwa i odkrywcza.

– O to naprawdę nie musisz się kłopotać – próbowałem uciąć dyskusję.

– Oj, przestań. Powiedz mi – wydawała się rozbawiona. – Skoro mam ci pomagać, to chcę wiedzieć.

– Cóż – powiedziałem niechętnie – chodzi mi o to miejsce. Nawet nie o Muzejon czy bibliotekę, ale o tę świątynię.

– O świątynię? – szturchnęła mnie.

– Popełnienie zbrodni w świątyni jako takie jest rzeczą złą. A przecież miejsce, w którym został zamordowany Ifikrates, stanowi część kompleksu świątynnego.

Uniosła wysoko brwi.

– Mówisz tak, mimo że to obca świątynia?

– Muzy są uznanymi boginiami – upierałem się. – Czcimy je w Rzymie.

– Nigdy bym cię nie podejrzewała o taką pobożność, Decjuszu.

– Ta świątynia jest inna – oznajmiłem.

Rozparła się wygodnie na poduszkach.

– Przyjmuję takie wyjaśnienie. Chcę jednak, abyś mi pokazał tę świątynię.

I do końca drogi do pałacu nie powiedziała już ani słowa.

A i ja miałem o czym myśleć.

## Rozdział 4

**O** co w ogóle chodzi z tym morderstwem? – domagał się wyjaśnień Kretyk.

Opowiedziałem mu wszystko, przekazując te ułomne informacje, którymi dysponowałem. Jedliśmy śniadanie na ocienionym dziedzińcu placówki dyplomatycznej: płaski egipski chlebek, daktyle, figi z mlekiem i miód.

– To jakieś miejscowe porachunki – ocenił, gdy skończyłem. – Nic, czym byśmy musieli się zajmować.

– A jednak chciałbym się tej sprawie bliżej przyjrzeć. To naganne, by dopuszczać się morderstwa rzymskich dostojników i przedstawicieli królewskiego dworu. Przede wszystkim chodzi o Rzymian. Powinno się okazywać więcej szacunku senatorowi i dwóm patrycjuszkom, odwiedzającym ich kraj.

– Jestem pewien, że to nieumyślny afront. – Kretyk rozsmarował miód na kawałku chleba ku uciesze unoszących się w powietrzu much. – Jeśli jednak ma cię to rozerwać, działaj śmiało. Nie widzę przeciwwskazań. Choć niewiele nam z tego przyjdzie. Był tylko uczonym.

– Dziękuję, panie. Egipcjanie bywają drażliwi, jeśli w grę wchodzi nadzór nad nimi. Gdybym napytał sobie biedy, czy będę mógł liczyć na twoją pomoc?

Wzruszył ramionami.

– Tak długo, jak długo nie przysporzy mi to zbyt wielu kopotów.

Po śniadaniu pośpieszyłem do królewskich pokoi, gdzie dzięki

odpowiedniej todze i oznakom rangi senatora zostałem szybko wpuszczony do króla.

Ptolemeusz spożywał właśnie znacznie bardziej obfite śniadanie niż ja przed chwilą. Na stole były upieczone w całości pawie, ryby z Nilu wielkości prosiaków, a także wiadro ostryg oraz pieczona gazela. A to na razie tylko główne dania. To niepojęte, jak w jego stanie zdołał w ogóle cokolwiek przełknąć.

Gdy wszedłem, uniósł głowę znad talerza. Jego oczy przypominały dojrzałe czereśnie. Błyszczący nos wydawał się wyrzeźbiony z najprzedniejszego porfiru i wypolerowany. Twarz pokrywała siateczka czerwonych naczynek, co niezbyt razilo. Ongiś prezentował się doskonale, lecz dziś z trudem można było to sobie wyobrazić.

– A... senator Metellus, prawda?

– Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy, Wasza Wysokość. Przybyłem z rzymskim poselstwem.

– No tak, no tak... Chodź, siadaj. Jadłeś dzisiaj?

– Ledwo skończyłem – zapewniłem uprzejmie.

– Cóż... to zjedz coś jeszcze. Ja tego wszystkiego przecież nie zjem. Albo przynajmniej napij się wina.

Było za wcześnie na picie, lecz nie co dzień miałem szansę skosztowania królewskich zapasów, więc się poczęstowałem.

– Panie, czy słyszałeś o morderstwie popełnionym w Muzejonie? – zacząłem.

– Berenika coś wspominała, lecz byłem wtedy jeszcze nieco... oszołomiony. Co się stało?

Zdałem sprawę z wydarzeń raz jeszcze. Przywykłem do powtarzania niektórych rzeczy w kółko. Kiedy ma się do czynienia z senatem i jego przedstawicielami, składa się obszerny raport przed członkami senatu najniższej rangi. Ci słuchają z poważnymi minami, póki się nie skończy, po czym odsyłają do tych o stopień wyżej w hierarchii i wszystko zaczyna się od nowa. I tak dalej, aż stanie się na forum całego senatu, przy czym większość przesypia to wystąpienie.

– Ifikrates z Chios? – upewnił się władca. – Ten, który projektował żurawie, wodne koła i katapulty, prawda?

– Cóż, twierdził, że nie pracował nad machinami wojennymi, choć w istocie tworzył podobne obiekty. Niektórzy chyba sądzili, że zachowywał

się niegodnie, budując naprawdę użyteczne rzeczy.

– Ci mędracy! – zachnął się Ptolemeusz. – Pozwól, że coś ci o nich powiem, senatorze. Mój ród jest właścicielem Muzejonu i wspieramy w tej placówce każdego. Jeśli zapragnę kostiumów i masek do kolejnego przedstawienia teatralnego, daję im rozkaz i artyści biorą się do roboty. Jeśli potrzebuję nowego zegara wodnego, zaprojektują go dla mnie. Jeśli chcę nowej barki, aby pływać po Nilu, zaprojektują ją dla mnie i zbudują, a jeżeli mój dowódca wróci z pola bitwy z grottem strzały w ciele, tamtejsi medycy cholernie dobrze się nim zajmą i wyjmą ten grot, nawet jeśli będą musieli swoje skażone filozofią paluszki upaprać w świeżej krwi.

Jakież to odkrywcze.

– Więc odrębność świata nauki od codzienności to tylko pozór?

– Jeśli chodzi o mnie i mój dwór, rzeczywiście tak jest. Mogą uważać siebie za wielkich spadkobierców Platona, lecz z mego punktu widzenia są po prostu częścią personelu, wykonawcami rozkazów.

– Czy jeśli nakazesz im współpracować ze mną w trakcie śledztwa dotyczącego morderstwa, to bez szemrania wypełnią twoją wolę?

– Co? A czemu niby miałbyś prowadzić to śledztwo? – stary pijak był odrobinę bystrzejszy, niż zakładałem.

– Z jednego powodu. Byłem tam obecny razem z dwiema patrycjuszkami, a wobec tego sprawa dotyczy również Rzymu. – Było to niewiarygodne, bardzo kiepskie uzasadnienie, lecz lepsze takie niż żadne. – W Rzymie zaś jestem znany z tego, że prowadząc takie dochodzenia, zawsze docieram do prawdy.

Wlepił we mnie przekrwione oczy.

– To znaczy, że takie masz hobby?

– Cóż, no tak. Można tak to ująć. – Zgodziłem się na tę oczywistą blagę.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś? Każdy powinien mieć możliwość rozwijania swoich zainteresowań. Więc po prostu działaj.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem.

– Czy to znaczy, że mam oficjalne pozwolenie na prowadzenie śledztwa?  
– spytałem.

– Oczywiście. Każ swojemu sekretarzowi sporządzić odpowiedni dokument i prześlij go do moich urzędników, aby opatrzyli go mniejszą pieczęcią.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Co prawda, to dziwne hobby dociekać, kto kogo zabił. Cóż, każdy znajduje drobne przyjemności tam, gdzie może. Muszę ci kiedyś opowiedzieć o nomarsze z Arsinoe i jego krokodylu.

– Może innym razem – odrzekłem pośpiesznie. Szybko dopiłem znakomite wino i się podniosłem. – Dostarczę wymagany dokument jak najszybciej.

– Na pewno nie chcesz spróbować wędzonego strusia?

– Jesteś, panie, zbyt łaskawy. Obowiązki wzywają.

– No to miłego dnia.

Pognałem do placówki dyplomatycznej, gdzie wisiałem skrybie nad głową, aby jak najszybciej sporządził dokument, ustanawiający mnie oficjalnym śledczym z upoważnienia Ptolemeusza. To jest właśnie najlepsze w obcowaniu z królem, o ile oczywiście cię wspiera – nie musi przed nikim uzasadniać swoich decyzji. Skoro Flecista chciał, aby zagraniczny poseł był odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa w sprawie morderstwa, to tak zrobił i nikt nie śmiał oponować.

Sam zaniósłem dokument królewskim urzędnikom. Ten, którego szukałem, eunuch Potinus, przyjrzał mu się sceptycznie.

– To całkiem wbrew obowiązującym zasadom.

Był Grekiem, nosił azjatyckie ozdoby, a do tego egipską perukę, co w Aleksandrii nie było rzadkością.

– Nie dostrzegłem jeszcze na tym dworze żadnych zasad – odparłem. – Bądź więc tak dobry i przystaw mniejszą pieczęć królewską. Twój władca przystał na te ustalenia.

– To nieetyczne, by nachodzić Jego Wysokość tak rano. Nie jest to pora, kiedy się odznacza największą jasnością umysłu.

– Podczas spotkania Jego Wysokość odznaczał się bystrością i doskonale posługiwał się przymiotami swego umysłu. A to, co mówisz, panie, to zwykła nielojalność...

– Ja... ja... ja... protestuję, senatorze! – zagotował się. – Nigdy nie pozwoliłbym sobie na najmniejszą nielojalność wobec mego władcy.

– To sobie nie pozwalaj – rzekłem chłodno, a nikt tak nie potrafi zmrozić atmosfery jak rzymski senator. Eunuchów trzeba trzymać krótko. Przystawił pieczęć, nie próbując już pyskować. Wyszedłem uradowany, z dokumentem w garści. Teraz już byłem oficjalnie wyznaczony.

Julia i Fausta czekały na mnie na dziedzińcu naszej placówki. Uniosłem



pełnomocnictwo w triumfalnym geście, na co Julia zaklaskała.

– Udało ci się! Ale nie przypisuj sobie całej zasługi. Rozmawiałam z Bereniką. Poszła rano do króla, kiedy się tylko obudził.

– Niewiele z tego spotkania pamiętała, aczkolwiek wystarczająco dużo, abym mógł dokończyć dzieło.

Fausta uniosła patrycjuszowskie brwi.

– Czyżbyś sądził, że jeśli znajdziesz mordercę, Ptolemeusz będzie ci cokolwiek dłużny?

Będąc tym, kim była, Fausta potrafiła sobie wyobrazić korzyści jedynie natury politycznej.

– A czy wdzięczność Ptolemeusza przyniosła komukolwiek coś dobrego? – spytałem. – Ledwie sobie przypomniał, kim był Ifikrates. Wątpię też, by go obeszło, kto okaże się mordercą.

– No to po co to wszystko? – była zdumiona.

– Przebywając w Aleksandrii, zaraziłem się umiłowaniem prawdy – wyjaśniłem. – Rozwijam własną szkołę logiki. Postanowiłem udowodnić słuszność moich teorii, wskazując winowajcę.

Odwróciła się do Julii.

– Metellowie to takie samo męczące, zaharowane pospólstwo jak inni. Dobrze chociaż, że jest wśród nich szaleniec, to dodaje im nieco kolorytu. – Fausta zdobyła się na złośliwość.

– Czyż to nie jest zdumiewające? – Julia przyłączyła się do docinków. – On frapuje mnie bardziej niż pstrokaty dwór Bereniki.

Miały nade mną przewagę liczebną.

– Żartujcie, skoro taka wasza wola – odparłem. – Ja i tak zamierzam robić coś nieskończenie ciekawszego niż rozważanie problemów grupki bezmózgich macedońskich wieśniaków, którzy udają władców Egiptu.

Oddaliłem się z podniesioną głową, nawołując Hermesa. Pojawił się, biegnąc.

– Oto rzeczy, o które prosiłeś – oznajmił. Wziąłem swój sztylet i *caestus*; skryłem je w fałdach tuniki. Koniec ze zwiedzaniem dla przyjemności. Gotów byłem na poważne wyzwania.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Do Muzejonu.

Rozejrzał się dokoła.

– A gdzie lektyka?

– Idziemy na piechotę.

– Na piechotę? Tutaj? To będzie skandal!

– Nie potrafię się skupić na ważkich zagadnieniach, kiedy jestem noszony jak worek mąki. To dobre dla zdegenerowanych, apatycznych obcokrajowców; Rzymianin powinien mieć więcej *gravitas*.

– Jeśli mnie ktoś chciałby nosić, już nigdy nie zużyłbym kolejnej pary sandałów – skomentował Hermes.

Właściwie chciałem się przyjrzeć miastu z bliska. Łażenie po ulicach i alejach Rzymu zawsze było jedną z moich najulubieńszych rozrywek, lecz dotychczas nie miałem okazji, aby tak samo połązić po Aleksandrii. Pomocnicy i strażnicy przy pałacowej bramie patrzyli oniemiała, kiedy wyszedłem na zewnątrz w towarzystwie jednego niewolnika. Miałem wrażenie, że za chwilę dopadną mnie, błagając, abym dał się ponieść, dokądkolwiek zmierzałem.

Czułem się dziwnie, byłem wręcz zakłopotany, maszerując tak po tym mieście, pełnym prostych ulic i idealnie prostopadłych przecznic. Przekraczając szersze trakty, czułem się odsłonięty i zagrożony.

– Tutaj ucieczka przed nocną strażą musi stanowić nie lada wyzwanie – zauważył Hermes.

– Być może właśnie taka myśl przyświecała projektantom. To miejsce nie sprzyja też zamieszkom. Pomyśl, ustawiasz oddziały na jednym końcu miasta i systematycznie penetrujesz całość. Możesz zagnać buntowników w poprzeczne uliczki, rozbić na mniejsze grupki bądź, jeśli wolisz, wręcz przeciwnie, zagnać wszystkich w jedno miejsce, i to tam gdzie zechcesz.

– To gwałt na naturze – westchnął Hermes.

– Zgoda. Jednak zalety takiego rozplanowania miasta widać jak na dłoni.

– W dodatku wszystko jest wykonane z kamienia.

– Drewno to w Egipcie surowiec deficytowy. Ciesz się, że masz nikłe szanse, aby spłonąć we śnie.

Na ulicach tłoczyli się ludzie z wszelkich regionów całego świata, lecz większość stanowili rodowici Egipcjanie. Ponadto rozróżniałem Greków, Syryjczyków, Żydów, Arabów, przybyszów z Saby i Galacji. Oprócz nich było także wielu innych, których nie umiałem rozpoznać po ubiorze i rysach. Widziałem Nubijczyków i Etiopczyków o skórze wszelkich możliwych odcieni brązu, większość to byli niewolnicy, a może też żeglarze. Niby wszyscy mówili po grecku, lecz inne języki tworzyły leksykalny potok,

którego główny nurt stanowiła greka. Wśród obcych języków dominował egipski. Właściwie równie trudno było go zrozumieć, jak i odczytać hieroglify. Na każdym rogu ulicy roiły się grupki wszelkiej maści kuglarzy. Tańczyli, wykonywali akrobacje i bawili publikę magicznymi sztuczkami. Tresowane zwierzęta wykonywały komendy, a żonglerzy z niezwykłą zręcznością operowali w powietrzu różnymi niewiarygodnymi przedmiotami. Hermes chciał to wszystko obejrzeć, lecz popędzałem go, skupiony na ważniejszych sprawach.

Mogliśmy wejść na tyły budynków Muzejonu od strony pałacu, wolałem jednak nasycić się klimatem miasta. Ktoś, kto wyrósł w wielkiej aglomeracji, potrafi wyczuć inne miasto, podobnie jak rolnik ziemię orną, a żeglarz morze. Dorastałem w Rzymie i całkowicie przesiąknętem miastem. Tutejsi mieszkańcy nie byli stąd, ale że pochodzili z różnych miast, mieli ze sobą coś wspólnego.

Intuicja mówiła mi, że było to syte, szczęśliwe, zadowolone z siebie społeczeństwo. Jeśli z czegoś było niezadowolone, to chodziło o rzeczy mniejszej wagi. Gdyby szykowały się zamieszki lub rewolta, wiedziałbym o tym. Aleksandryjczycy znani byli z wybuchających niekiedy zamieszek, zdarzyło im się też zabić lub wygnać jednego czy drugiego króla, lecz ci ludzie tutaj byli zbyt zajęci zarabianiem pieniędzy lub rozrywkami, aby mogli stanowić zagrożenie. Niezadowolenie obywateli jest zawsze możliwe w takich wielojęzycznych miastach jak Aleksandria, gdzie czasem plemienne animozje biorą górę nad szacunkiem do prawa i władz. Nie żeby Rzym miał powody do dumy w tym względzie. Tyle że nasze zamieszki społeczne zazwyczaj angażowały określoną warstwę ludności, a nie grupy z różnych terytoriów.

– Nawet o tym nie myśl, Hermesie.

– Skąd wiesz, o czym myślę? – odparł z miną skrzywdzonego niewiniątka. Skoro tak mówił, miałem rację.

– Pomyślałeś sobie: „Oto miejsce, gdzie chłopak o niezłej prezencji mógłby się rozpuścić wśród tych ludzi i nikt by go nawet nie zauważył. Tutaj mógłbym udać, że jestem wolnym człowiekiem i nikt nigdy by się nie połapał, że kiedykolwiek byłem niewolnikiem”. Czy nie tak właśnie myślałeś?

– Ależ skąd! – zaprotestował gwałtownie.

– Cóż, dobrze to wiedzieć, Hermesie, ponieważ tutaj działa wielu okrutnych, brutalnych ludzi, których jedynym zadaniem jest wytropienie

zbiegów, aby dla nagrody dostarczyć ich z powrotem do panów albo sprzedać nowym panom. Jeślibyś pewnego ranka zniknął, toby wystarczyło, że szepnąłbym słowo i tegoż dnia wieczorem miałbym cię z powrotem. To rozległe miasto, lecz rzymski akcent oraz intonacja wcale nie są tu popularne. Przestań więc fantazjować i bądź mi nieco bardziej użyteczny. Pewnego dnia cię wyzwolę.

– W ogóle mi nie ufasz – narzekał. Mogłem zrozumieć, dlaczego tak uważał. Co kilka dni fundowałem mu niemal podobną gadkę. Nie wolno całkowicie ufać niewolnikom, niektórzy zaś, tacy jak na przykład Hermes, są zdecydowanie mniej godni zaufania.

To był całkiem przyjemny dzień, jak zazwyczaj w Aleksandrii. Miejscowy klimat nie był tak idealny, jak w Italii, lecz nigdzie poza Italią takiego nie było. Ożywione tłumy uśmiechały się, aromat kadzideł mieszał się z dominującym zapachem morza. Pod wieloma względami zapachy Aleksandrii były znacznie przyjemniejsze niż Rzymu.

Wyposażony w królewskie prerogatywy, wspinałem się po schodach Muzejonu. Chciałem złożyć kolejną wizytę w świątyni, lecz tego ranka miałem pilniejsze sprawy. Minąłem wejście i ruszyłem korytarzem wykładowców, który odbijał echo tyrad uczonych, i dalej, długą kolumnadą perypatetyków, na tyły, na dziedziniec, gdzie wspaniała śluza Ifikratesa leżała opuszczona i niepilnowana. Pomyślałem sobie, że ten projekt nie zostanie szybko ukończony.

Wszedłem do pomieszczeń Ifikratesa. Było już posprzątane. Usunięto ślady krwi z podłogi, a dwóch skrybów spisywało teksty oraz rysunki i układało je na biurku. Trzeci chodził po pokoju z zamyśloną miną.

– Czy już skończyliście spis?

– Prawie, senatorze – odparł starszy skryba. – Za chwilę uporamy się z wykazem rysunków. To – wskazał rozłożony na stole papirus – jest lista jego tekstów, a tamto – wskazał kolejny – spis wszystkich przedmiotów, jakie znaleźliśmy w jego mieszkaniu.

Zacząłem od drugiej listy. Gdybym wiedział, co tam się znajdowało *przed* morderstwem, byłaby to nieoceniona pomoc, lecz lepsze to niż nic.

– A czym ty się zajmujesz? – spytałem trzeciego mężczyznę. Był to łysy, długonosy Grek, ubrany tak jak inni bibliotekarze, których tu widziałem.

– Eumenes z Eleusis, do usług. Jestem bibliotekarzem w dziale ksiąg pergamońskich. Przyszedłem tu w poszukiwaniu zwoju, który zmarły

Ifikrates pożyczył od nas.

– Rozumiem. Czy to nie był przypadkiem taki ogromny zwój z cienkiego pergaminu z pałkami z drewna oliwnego i uchwytami poplamionymi cynobrem?

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Dlaczego... tak... senatorze. Czy go widziałeś, panie? Szukałem tego zwoju przez cały poranek.

– O czym traktował? – spytałem, ignorując jego pytanie.

– Wybacz, senatorze, lecz Ifikrates pożyczył ten zwój w najgłębszym sekrecie.

– Ifikrates nie żyje, a mnie wyznaczono do przeprowadzenia dochodzenia. Powiedz mi więc...

– Kim jesteś? – wtrącił się ktoś od drzwi. Odwróciłem się, poirytowany, i dostrzegłem w wejściu dwóch mężczyzn. Nie rozpoznałem tego, który się odezwał, lecz drugi wyglądał znajomo.

Podszedłem bliżej.

– Senator Decjusz Cecyliusz Metellus. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Ifikratesa z Chios. A kto ty? Mężczyzna wszedł do środka, a tamten drugi za nim. Wtedy sobie przypomniałem, gdzie go widziałem. Był to ten dowódca o topornym wyglądzie, który mnie przegnał z placu musztrowego.

– Nazywam się Achilles – odezwał się. – Jestem dowódcą armii królewskiej.

Nosił nabijane buty i bogatą czerwoną tunikę. Narzucił na nią jeden z tych skórzanych pasów, jakie wojskowi czasem noszą, aby wyeksponować broń, jednocześnie jej nie dźwigając. Miał króciutko przycięte włosy jednakowej długości i nosił brodę.

– A ja jestem Memnon, komendant macedońskich koszar – przedstawił się drugi. – Już się spotkaliśmy.

Obaj byli Macedończykami. W ich kraju używano wyłącznie imion, pomijając wszelkie dodatki i tytułaturę, w czym lubowali się Grecy.

– Rzeczywiście. Co tu robicie?

– A w którym imieniu pytasz? – dociekał Achilles.

Miałem gotową odpowiedź.

– W imieniu króla – odrzekłem i wyciągnąłem dokument z pieczęcią. Zmrużył oczy i wnikliwie go przestudiował.

– Przeklęty, otepiały alkoholik – wymamrotał pod nosem. Potem zwrócił

się do mnie – a dlaczego tak cię to interesuje, Rzymianinie?

– Rzym przyjaźni się z Egiptem. Zawsze z chęcią udzielamy pomocy królowi Ptolemeuszowi, sprzymierzeńcowi i przyjacielowi rzymskiego ludu. – Gustowałem w tego rodzaju dyplomatycznej hipokryzji. – W Rzymie jestem znany ze skutecznego rozwiązywania zagadek kryminalnych i bardzo się cieszę, że mogę wykorzystać moje umiejętności w służbie króla.

Zwinąłem pełnomocnictwo i schowałem je w fałdach tuniki, zostawiając tam dłoń chwilę dłużej, niżby należało. Memnon ruszył ku mnie, patrząc hardo. Miał na sobie pancerz i nagołenniki, lecz nie założył hełmu. Wzrok skupiłem na jego krótkim mieczu, przypiętym u boku.

– Nikt cię tu nie chce, Rzymianinie – warknął. – Wracaj do swojej placówki, pij i cudzołóż, jak ci twoi pobratymcy. To jest Egipt.

Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłem na jego terytorium, otoczony przez jego żołnierzy. Tu sprawy miały się inaczej.

– Jestem tutaj, ponieważ służę nie tylko senatowi i ludowi rzymskiemu, lecz także ich sprzymierzeńcowi, twojemu królowi. I coś mi się wydaje, że jestem mu znacznie wierniejszy niż ty.

Ilekoć mężczyzna sięga po broń, w oczach pojawia się ten dziwny wyraz. Tłumiąc okrzyk wściekłości, jedną ręką chwycił pochwę, a drugą ręką jeść. Lecz i na to byłem przygotowany.

Wysunął ostrze ledwie do połowy, gdy wyciągnąłem dłoń spod tuniki, ściskając swój *caestus*. Dźgnąłem go mocno. Kolce z brązu na moich kostkach trafiły go w szczękę, tuż pod uchem. Zachwiał się, stęknął i zdumiony dał krok do tyłu. Ja też byłem zdumiony. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym tak uzbrojony, celnie wyprowadził cios, a przeciwnik nie zemdlał. Uderzyłem go więc ponownie, w to samo miejsce. Tym razem zwałił się z chrzęstem zbroi. Padł niczym jeden z bohaterów sławionych przez Homera.

Skrybowie i bibliotekarz, zaskoczeni, obserwowali tę scenę z przestachem w oczach. Hermes uśmiechnął się radośnie jak mały demon żądny krwi, którym zresztą może i był. Achilles patrzył niezwykle poważnie.

– Posunąłeś się za daleko, senatorze – zauważył.

– Ja *posunąłem się* za daleko? Zaatakował rzymskiego senatora, posła. Niejedno królestwo zniszczono po takim incydencie.

Wzruszył ramionami.

– Setki lat temu może i tak. Ale nie dziś. – Właściwie miał rację.

Z wyraźnym trudem opanował się. – Nikt nie będzie przez ciebie prowokował kryzysów politycznych. Więc lepiej zrozum, panie, że drażni nas, kiedy widzimy, jak Rzymianie się tu panoszą i rządzą, jakby mieli do tego prawo.

– Świetnie to rozumiem – zapewniłem. – Jestem tutaj jednak z pełnomocnictwa waszego króla.

Memnon na podłodze zajęczał.

– Lepiej zabiorę go do medyka – zmienił temat Achilles.

– Polecam Asklepiodesa. Jest gdzieś w pobliżu. Powiedz mu, że to ja was przysłałem.

Zawołał kilku niewolników i wynieśli powalonego bohatera. Wciąż nie wiedziałem, co ta dwójka w ogóle tu porabiała. Nie chcieli mi tego wyjawić, ja zaś uznałem, że niemądrze będzie naciskać. Zwróciłem się do bibliotekarza:

– Miałeś mi opowiedzieć o specyfice tego zaginionego dzieła, prawda? – Wyjąłem *caestus* i wręczyłem go Hermesowi, polecając, aby obmył go z krwi.

– Cóż... a... właściwie... – Eumenes odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. – Właściwie, senatorze, to jedno z najbardziej wartościowych dzieł w bibliotece. Napisał je Biton w darze dla króla Attalosa I z Pergamonu ponad sto lat temu.

– A tytuł?

– *O machinach wojennych*.

Hermes oddał mi *caestus*, kiedy opuściliśmy Muzejon.

– To było równie dobre, jak popołudnie w amfiteatrze – rzekł. – Choć trafił się nam tylko jeden krnąbrny Grek.

– Nie Grek – poprawiłem – ale Macedończyk. To jeszcze bardziej skora do bitki rasa.

– W każdym razie jakiś cudzoziemiec. Powinieneś go zabić. Teraz będzie szukał zwady.

Hermes postrzegął rzeczywistość zadziwiająco prosto.

– Pogadam z królem. Może wysłałby go z misją gdzieś w górę rzeki. Bardziej mnie martwi Achilles. On liczy się w królewskiej armii. Spróbuj się czegoś o nim dowiedzieć.

Najlepiej mi się myśli, kiedy spaceruję, a miałem parę spraw do przemyślenia. A więc to tak Ifikrates nigdy nie parął się konstruowaniem

machin wojennych? Łgał w żywe oczy. Typowy Grek. Zastanawiałem się jednak, po co te wszystkie sekrety. Przecież taka działalność nie była zakazana. Coś się musiało za tym kryć.

Wkrótce znaleźliśmy się w dzielnicy żydowskiej, goszczącej dziwaczną grupę etniczną, nieuznającą naszych bogów. Poza tym nie różnili się zbyt od innych mieszkańców Wschodu. Wielu uważało, że to dziwne, iż nie mają żadnych wyobrażeń swego boga, ale przecież jeszcze kilka wieków temu również rzymskim bogom nie stawiano posągów. Pierwsi Ptolemeusze faworyzowali Żydów, widząc w nich przeciwwagę dla rodowitych Egipcjan. Między tymi dwiema grupami etnicznymi narastała zakorzeniona w przeszłości niechęć. W efekcie Żydzi licznie osiedlili się w Aleksandrii, lecz utworzyli tam własną dzielnicę.

Ulice były ciche i niemal wyludnione, co w tym mieście nie zdarzało się często. Zapytałem o to sprzedającego w jednym z otwartych straganów i dowiedziałem się, że tego dnia Żydzi obchodzili religijne święto, podczas którego czas spędzali raczej w domach, a nie w świątyni. Ich pobożność godna była podziwu, choć mało atrakcyjna dla kogoś z zewnątrz.

- Są w Aleksandrii miejsca bardziej tętniące życiem – zauważył Hermes.
- Bez wątpienia – przytaknąłem. – Chodźmy do Rakotis.

Rakotis było dzielnicą egipską, największą w tym dość kosmopolitycznym mieście. Jej wielkość odpowiadała dzielnicom greckiej, żydowskiej i macedońskiej, razem wziętym. Na swój sposób owa dzielnica była najosobliwsza, przynajmniej z rzymskiego punktu widzenia.

Egipcjanie to lud tak tradycyjny i tak dalece zachowawczy, że najwięksi rzymscy reakcyoniści są w porównaniu z nimi straszliwymi rewolucjonistami. Codzienne zajęcia Egipcjan za czasów Ptolemeuszów nie różnią się od przedstawionych na malowidłach w świątyniach najdawniejszych faraonów. To niscy, silni ludzie o ciemnej skórze, choć nie aż tak bardzo ciemnej, jaką mają Nubijczycy. Typowym strojem męskim jest fartuszek z białego lnu. Większość też nosi krótkie czarne peruki o geometrycznych cięciach. Obmalowują oczy kohlem, wierząc w jego dobroczynne działanie i to, że chroni oczy. Dawna egipska arystokracja, której paru przedstawicieli wciąż można było jeszcze spotkać, to całkiem inna rasa – ludzie wyżsi o jaśniejszej skórze, aczkolwiek ciemniejszej niż Greków czy Italików. Ich językiem mówi się wyłącznie w Egipcie.

Kiedy się tak dziś na nich patrzy, trudno uwierzyć, że to ten sam lud, który



wzniósł olśniewające, zdumiewające umysł piramidy, lecz również dzisiejsi Grecy niewiele mają wspólnego z homeryckimi bohaterami czy choćby z ich mniej odległymi przodkami z czasów wojen z Persją. Egipcjanie bardzo poważnie traktowali wierzenia, mimo że bez wątpienia mieli najbardziej głupkowatych bogów w świecie. Powszechnie uważa się, że bogowie o zwierzęcych łbach są komiczni, lecz moim faworytem jest ten, którego przedstawia się martwego i owiniętego jak mumia w całości, poza twarzą, stojącego pionowo, z fallusem w stanie erekcji, sterczącym spod tych zwojów.

W Rakotis panował typowy uliczny harmider. Sokolnicy zachwalali swój towar, zwierzęta prowadzono na targowiska, a religijne procesje ciągnęły się w nieskończoność. To wszystko stanowiło nieodłączne elementy życia Egipcjan. Tu jednak nie tylko zwiedzałem. Szedłem w określonym celu, nie chciałem jednak, aby wyglądało na to, że kręcę się w tej dzielnicy w związku ze śledztwem.

Nasz pierwszy przystanek znajdował się przy wielkim Serapeum. Był to kolejny przykład cyklopowej architektury, którą tak wielbili obecni władcy. Serapeum, prawie tak wielkie jak świątynia Diany w Efezie, było poświęcone bogu Serapisowi, wynalezionemu przez samych Aleksandryjczyków. Tutejsi władcy uważali, że wszystko potrafią robić lepiej niż pozostali ludzie na świecie – w tym tworzyć lepszych bogów. Aleksandria była miastem nowego rodzaju i pragnęli dla niej boga, który łączyłby greckie i egipskie praktyki religijne, więc sporządzili bóstwo o majestatycznym, błogim obliczu Plutona i połączyli go z egipskim Ozyrysem i Apisem. Stąd też jego imię Serapis. Z jakiegoś powodu bóstwo zyskało wielką popularność i obecnie oddaje mu się cześć prawie na całym świecie.

Serapeum, podobnie jak pałac, to istne miasto w mieście. Są w nim zagrody dla zwierząt ofiarnych, parę kohort kapłanów i uczniów, sale pełne parafernaliów i skarbów, niezwykłych dzieł sztuki, a nawet arsenał i prywatna armia, która ma tego wszystkiego strzec.

Sama świątynia była dość typowa, czyli – że tak powiem – jak grecka, tyle że większa. Usytuowano ją na wyniosłym, wzniesionym przez ludzi wzgórzu z kamienia. Jej wyższa, wyeksponowana część była zawsze dostępna publicznie. Znajdował się w niej zdumiewająco skromny posąg boga. Wszystko to było na pokaz. Lecz Serapis wywodził się od bóstw chtonicznych, więc właściwe rytuały odbywały się w licznych podziemnych

kryptach.

Przechadzałem się między tymi wspaniałościami, gapiąc się jak wszyscy turyści obcokrajowcy, lecz moja uwaga tak naprawdę była skupiona gdzie indziej. Myśli dążyły ku mniejszej świątyni, dwie ulice na południe od Serapeum. Unosił się z niej dym jak z niewielkiego wulkanu. Bryza niosła dźwięki rzewnej pieśni i brzękliwych instrumentów muzycznych. Zatrzymałem jednego z kapłanów, mężczyznę odzianego w strój greckich przywódców religijnych, lecz ze skórą lamparta przerzuconą przez ramię na wzór egipski.

– Powiedz mi, panie – zacząłem – co za boga czci się w tej hałaśliwej świątyni.

Z wyniosłości znamienitego Serapeum spojrział w dół swego równie wyniosłego nosa na świątynię, o którą pytałem.

– To świątynia Baala-Arymana, choć w okresie swej świetności było to liczące się sanktuarium Horusa. Na twoim miejscu, senatorze, trzymałbym się od niej z daleka. Ten kult sprowadzili tutaj brudni cudzoziemcy, a regularnie uczęszczają tam jedynie bez reszty zdegenerowani lubieżni Aleksandryjczycy. Oddają swemu barbarzyńskiemu bogu cześć, uczestnicząc w ohydnych orgiach.

Hermes pociągnął mnie za rękaw.

– Chodźmy tam! Chodźmy!

– Pójdziemy, lecz tylko dlatego, że wymaga tego moje śledztwo – zaznaczyłem.

Zeszliśmy po majestatycznych schodach Serapeum, pokonaliśmy dwie przecznice i dotarliśmy do świątyni Baala-Arymana, przepełnionej wiernymi, turystami oraz gapiami. Wydawało się, że wciąż trwają uroczystości inauguracyjne. Ludzie tańczyli do wtóru pobrzękujących cymbałów i grzechotu sistrum, zawodzenia fletu i łomotu bębnów. Wielu leżało bezwładnie, tak byli zmęczeni tym uświęconym wysiłkiem.

W wielkich misach z brązu, rozstawionych na terenie świątyni oraz jej dziedzińców, palono kadzidła. Było to konieczne. Kiedy składa się w ofierze pięćdziesiąt byków, płynie wielka rzeka krwi, dla której zaprojektowano niewystarczające odpływy i rynny świątyni. Kadzidła nieco tłumiły jej zapach i powstrzymywały muchy. Łby i skóry zwierząt, wyeksponowane na wysokich palach, zwrócono ku środkowi świątyni.

Jak w większości egipskich świątyń, było tam dość ciasno, bo mury były

grube i wewnątrz tłoczyła się typowa gęstwa przysadzistych kolumn. W najszerszej części znajdował się posąg boga – siedząca postać Baala-Arymana. Był tak paskudny, jak tylko może być bóg, co wciąż nie zamienia patrzących na niego ludzi w kamień. Miał łeb lwa i wydawało się, że zwierzę cierpi na lwi trąd. Ciało boga mogłoby należeć do wynędzniałego mężczyzny, lecz było też wyposażone w przywiedły kobiecy biust, choć trudno to było dojrzeć pod płaszczem z byczych jąder. W wewnętrznym sanktuarium muchy szczególnie dawały o sobie znać.

– Czy przyszedłeś tu, aby oddać cześć wielkiemu Baalowi-Arymanowi? – Odwróciłem się. Za mną stał Ataksas, tak jak przedtem owinięty węzem.

– Rzymscy urzędnicy zawsze odnoszą się z szacunkiem do bogów ziem, które odwiedzają – odparłem. Wziąłem szczyptę kadzidła z wielkiej misy i wrzuciłem na węgle, żarzące się w palenisku przed tym ohydztwem. Powstały obłoczek dymu nie zdołał przytłumić wszechobecnego smrodu.

– Doskonale. Mój pan jest zadowolony. Darzy Rzym tylko ogromną miłością i chciałby zostać zaliczony w poczet bogów, czczonych w największym mieście świata.

– Pomówię o tym z senatem – zapewniłem, obiecując sobie w duchu, że prędzej rozpętam wojnę, niż pozwolę temu plugawemu demonowi śmierci przekroczyć bramę Rzymu.

– Doskonały pomysł – odparł, promieniejąc obłudnie.

– Czy mam przez to rozumieć – zapytałem – że wkrótce bóg przemówi do swoich wiernych?

Uroczyście pokiwał głową.

– Rzeczywiście. Ostatnio mój pan parę razy objawił się mnie i powiedział, że niebawem objawi się wiernym. Przemówi własnym głosem, nie będzie potrzebował pośrednika.

– Zakładam w takim razie, że jego prorocze przesłanie uprzystępnisz pospólstwu?

– Ależ skąd, senatorze. Będzie tak, jak powiedziałem. Nie będzie potrzebował pośrednika. Sam przemówi.

– Lecz przecież pochodzi z Azji – zaryzykowałem. – Czy więc przemówi w jednym ze wschodnich języków?

– Teraz domem mojego pana jest Aleksandria. Ufam, że przemówi po grecku.

– A czego będzie dotyczyło jego proroctwo?

Wzruszył ramionami.

– Kto może wiedzieć, jaka jest wola boska, dopóki jej nie objawi? Jestem tylko jego kapłanem i prorokiem. Bez wątpienia mój pan ogłosi to, co uzna za odpowiednie dla ludzkich uszu.

Minął się z prawdą, jak na rasowego kapłana przystało.

– Nie mogę się doczekać jego objawienia się wśród ludzi – zapewniłem łotra.

– Prześlę więc liścik do ambasady, jeśli mój pan zdradzi mi, że już pora.

– Naprawdę to docenię.

– A teraz, senatorze, czy zechciałbyś pójść ze mną? Jestem pewien, panie, że nie obejrzałeś jeszcze dokładnie naszej nowej świątyni.

Wziął mnie pod ramię i oprowadził po budynku, wyjaśniając, że kapitele kolumn o wzorze papirusów symbolizują Dolny Egipt, a te zwieńczone kwiatem lotosu – Górny Egipt. Wiedziałem już o tym, bo opowiedziano mi wszystko w trakcie podróży Nilem, chciałem jednak, aby się rozgadał.

Z tyłu świątyni wyszliśmy na dziedziniec, gdzie trwała w najlepsze uczta. Wielkie tusze obracały się na roznach nad rozżarzoną węglą. Jak wielu innych troskliwych bogów, również Baal-Aryman pożądał jedynie krwi ofiar, a mięso pozostawiał wyznawcom.

– Zechciej, panie, posilić się z nami – gościnnie zapraszał Ataksas. – Mój stan zabrania mi spożywania mięsa, lecz mój pan życzy sobie, aby jego goście się częstowali.

Spoceni niewolnicy stali za zwałami mięsiwa, dzierżąc zakrzywione noże, podobne do mieczy. Tusze obracały się wolno, a oni odrzynali z nich płyty cienkie jak papirus i układali je na płaskich egipskich chlebkach. Hermes patrzył na mnie wyczekująco, aż skinąłem głową. Rzucił się wprzód, chwycił jedną porcję i przyniósł mi ją, owinąwszy w chlebek ociekającą zawartość. Potem rzucił się z powrotem po kolejną dla siebie. Podeszła do nas niewolnica, niosąc na tacy czarki wina. Poczęstowałem się. Była młodzisieńka. Nosiła jeden z tych cudnych niewolniczych strojów, składający się z wąskiego pasa materiału, obwiązanego na biodrach, do którego mocowano fartuszek ze sznurków z koralikami. Oprócz tego miała na sobie mnóstwo ozdób. Wiedziałem, że tego rodzaju moda nie miała szans, by się rozpowszechnić w Rzymie.

– Doskonałe wino – pochwaliłem.

– Dar od Jej Wysokości – wyjaśnił Ataksas.

Od śniadania minęło już mnóstwo czasu i zaczynałem żałować, że odrzuciłem zaproszenie Ptolemeusza do udziału w jego uczcie. Tym radośniej przyjąłem chleb z ofiarnym mięsem.

– Zakładam, że słyszałeś o zabójstwie Ifikratesa z Chios?

Zamilkł na chwilę.

– Tak, słyszałem. To zasmucające wydarzenie. Któż chciałby go zabić?

– No właśnie, kto? Podczas jednego ze spotkań u Jej Wysokości Bereniki zauważyłem, że ze sobą rozmawialiście. O czym?

Spojrzał na mnie bystro.

– Dlaczego pytasz?

– Król powierzył mi śledztwo w sprawie morderstwa. Zastanawiałem się, czy Ifikrates powiedział coś, co świadczyłoby o tym, że miał wroga.

Wyraźnie się rozluźnił.

– Rozumiem... Nie, nieraz spotykaliśmy się na królewskim dworze, ale zwykle dyskutowaliśmy o różnych aspektach naszego stanu. On, grecki uczony i matematyk ze szkoły Archimedesesa, lekceważył świat nadprzyrodzony i bogów. Znany był z tego, że głośno wyrażał swoje poglądy. Prowadziliśmy jedynie niekończące się dysputy. Obawiam się, że nie powiedział niczego, co pozwoliłoby ustalić motyw zabójstwa.

Zwiesił głowę i na kilka chwil pogрузzył się w głębokim namyśle. A potem rzekł:

– Powiedział coś dziwnego: „Jedni wierzą w moc bogów, inni w moc magii, lecz gdy królowie Wschodu chcą wyzwąć do walki Rzym, to radzą się mnie, bo to właśnie w geometrii kryją się wszystkie odpowiedzi”.

– To rzeczywiście dziwna wypowiedź – przyznałem.

– Prawda? Pomyślałem sobie wówczas, że pyszni się i popisuje wiedzą. A może było w tym coś więcej?

Pokręcił głową. Zakołysały się długie, tłuste loki i zmierzwiona broda.

– Może dał się wciągnąć w sprawy, od których mędracy powinni się trzymać z daleka. A teraz senatorze, muszę się już przygotowywać do wieczornej ofiary. Zostań, panie, proszę, i weź w niej udział. Co do nas należy, jest i twoje.

Uklonił się we wschodnim stylu, trzepocząc dłonią, i odszedł. W tej chwili pojawił się obok mnie Hermes. Stał u mego boku, oddzierając po kawałku mięso ofiarne, owinięte w chleb.

– No i co o nim sądzisz? – zapytałem sługę.

– Gość kuty na cztery łapy – wycodził Hermes z pełnymi ustami.

– Jadłeś już wcześniej wołowinę?

– Jakies resztki, w posiadłości twego wuja, na wsi. Jest twarda, lecz lubię jej smak.

– Weź sobie też owoców i oliwek. Jak zjesz za dużo mięsa, możesz mieć kłopoty z trawieniem. A jakie wrażenie wywarł na tobie Ataksas? Wydaje mi się, że jakoś zatracił swój orientalny akcent, kiedy go przepytywałem.

Jedna z kapłanek zawirowała przy nas, uderzając w maleńkie cymbałki w rytm muzyki. Jej strój był podarty na strzępy, a plecy pokrywały czerwone pręgi, pamiątka po biczowaniu z poprzedniego dnia.

– Wciąż ma kredę między palcami u nóg.

Zamarłem w pół kęsa.

– Uważasz, że Ataksas był niewolnikiem? Skąd wiesz?

Hermes uśmiechnął się z wyższością.

– Widziałeś ten zdobny kabłączek, który nosi na uchu?

– Widziałem.

– Nosi go, żeby zamaskować rozszczepiony płatek ucha. W Kapadocji niewolnikowi, który ucieka, wycina się tam szczerbę.

Niewolnicy mają całe morze wiedzy, której nigdy nie zgłębimy.

## Rozdział 5

**M**oim zdaniem, to brzmi idiotycznie – uznała Julia.

Staliśmy na schodach Somy, grobowca Aleksandra Wielkiego. Ubrała się cudownie, jak prawdziwa rzymska dama, lecz zaczęła już używać egipskich kosmetyków. A to był zły znak.

– Oczywiście, że idiotycznie – przyznałem. – Kiedy ktoś kłamie, a jest to nagminne, gdy prowadzi się śledztwo w sprawie zbrodni, cała sztuka polega na tym, aby wyeliminować nonsensy i wyłowić to, czego przesłuchiwani *nie mówią*. Dzięki temu ustala się prawdę.

– A skąd pewność, że Ataksas kłamie? Tylko dlatego, że był kiedyś niewolnikiem? Wielu wyzwolenców nieźle sobie radzi, odzyskawszy wolność. Zwykle też nie przechwalają się swoim poprzednim statusem.

– Och... nie o to chodzi. Powiedział, że od dawna prowadzili dysputy. Jednak obserwowałem ich razem. To był jedyny moment tamtego wieczora, kiedy Ifikrates ściszył głos. W trakcie *dysputy*? Sama go przecież słyszałaś. W trakcie *dysputy* wydzierał się, ile sił w płucach, kiedy tylko ktoś podawał w wątpliwość jakiegokolwiek jego twierdzenie, nawet gdy robił to bardzo taktownie. To z kolei przypomniało mi o czymś: muszę przepytąć jeszcze jedną osobę.

– Przyznaję, że to wszystko brzmi nieprawdopodobnie – rzekła. – A teraz chciałabym jeszcze usłyszeć o tym, jak napastowałaś dowódcę macedońskich koszarów... Ktoś już się pożalił królowi. Nie możesz trzymać się z dala od kłopotów nawet tu, w Egipcie?

– Ten człowiek był bezczelny. Próbował też wyciągnąć miecz i mnie nim dzielić. Nie możemy pozwalać obcym na tego rodzaju zachowanie.

– Ani robić sobie wrogów, szczególnie na tych ziemiach, gdzie *status quo* nie stanowi zagrożenia, a miejscowi politycy są niezrozumiali.

– Skąd taki rozsądek w ustach bratanicy Juliusza Cezara?

– Gdy Rzymianie okazują się nierozsądni, rozważa staje się domeną Rzymianek. Wejźmy do środka.

Soma, podobnie jak wiele innych cudów Aleksandrii, nie była osobnym budynkiem, lecz raczej kompleksem świątyni i grobowców. Tu pogrzebano wszystkich Ptolemeuszów oraz kilka innych osobistości, słynnych przynajmniej za ich czasów. O większości z nich w ogóle nie słyszałem. Właściwa Soma znajdowała się w samym centrum. Budynek miał kształt jońskiej świątyni, ustawionej na szczycie wyniesionej marmurowej platformy, zaludnionej przez armię wyrzeźbionych figur bogów, bogiń, członków macedońskiej rodziny królewskiej, żołnierzy i wrogów. Królowie, których Aleksander pokonał, zostali przedstawieni na kolanach w łańcuchach i z obręczami na szyjach. Dach pokryto złotem, podobnie jak kapitele i bazy kolumn. Jako budulca użyto kolorowego marmuru, który ściągano ze wszystkich krain podbitych przez Aleksandra.

Przy wejściu spotkaliśmy niewielką grupkę zagranicznych gości, którzy czekali na przewodnika. Grobowiec poświęcono Ptolemeuszom i nie wolno było po nim samemu spacerować. Wnet pojawił się kapłan o ogolonej głowie. Natychmiast zauważył mnie i Julię, więc ruszył prosto do nas.

– Witam, senatorze... Witam, pani... Jesteście w samą porę, aby przyłączyć się do kolejnej grupy.

No, taką mam nadzieję, pomyślałem sobie. Lepiej, żebyś nie kazał nam tutaj dłużej czekać. Inni goście okazali mu tabliczki z wyznaczoną porą wycieczki. My, oczywiście, nie musieliśmy tego robić. Grupa była niejednorodna: bogaty handlarz przyprawami z Antiochii, historyk z Aten, wymalowana wdowa z regionu Arabia Felix, kapłan czy może uczony z Etiopii, który mierzył pewno ze dwa metry. Lecz taka zbieranina nie była w Aleksandrii czymś wyjątkowym. Weszliśmy do środka przez masywne, kryte złotem drzwi.

Wewnątrz najpierw rzucił się nam w oczy gigantyczny posąg Aleksandra, siedzącego na tronie. Rzeźba byłaby bardzo realistyczna, gdyby nie para baranich rogów, wystających królowi na skroniach. W Egipcie uważano



Aleksandra za syna boga Amona, którego opiekuńczym zwierzęciem był baran. Młodego króla przedstawiono jako osiemnastolatka. Jego długie włosy pokryto złotem. Oczy miał niezwykle niebieskie. Jak się później dowiedziałem, artyści uzyskiwali taki efekt przez inkrustowanie tęczy warstwami krystalizowanego szafiru.

– Aleksander Macedoński, zwany Wielkim – odezwał się kapłan, a jego głos odbił się potężnym echem – zmarł w Babilonie w wieku trzydziestu trzech lat, w trakcie sto czternastej olimpiady, kiedy w Atenach archontem był Hegesjasz.

Daremnie próbowałem sobie przypomnieć, kto też wtedy mógł być konsulem w Rzymie.

– Lecz nim wyszedł na spotkanie nieśmiertelnym bogom, podbił więcej ziem niż ktokolwiek inny w przeszłości. Do mocarstwa swego ojca przyłączył imperium perskie i rozmaite inne krainy. Gdy umierał, jego włości rozciągały się od Macedonii po Indie i obejmowały też katarakty Nilu.

Z tym się zmierz, Pompejuszu, pomyślałem.

– Zmarł w połowie miesiąca *Iunius* – opowiadał dalej kapłan – a że bogom podobny Aleksander nie miał dorosłego potomka, jego ciało spoczywało w tym kraju przez cały miesiąc, a nad nim jego dowódcy radzili nad przyszłością macedońskiego imperium. Później polecono wykwalifikowanym Egipcjanom oraz Babilończykom, aby zabalsamowali jego ziemskie szczątki.

– Zostawili go na *miesiąc*? – zdumiałem się. – I to był *Iunius*? W *Babilonii*?

Julia wbiła mi łokieć między zębra.

– Ćś...!

– Cóż, być może ktoś przezorny... hm... pozbawił jego ciało wszystkich płynów organicznych, aby je lepiej zachować, i umieścił króla w jakimś chłodnym miejscu w pałacu. Tak czy inaczej, ciało Aleksandra niewątpliwie było inne niż pozostałych ludzi. Dołączył do nieśmiertelnych i bardzo prawdopodobne, że tak samo jak wtedy, gdy Achilles ciągnął za swoim rydwanem ciało Hektora, przyjaźni mu bogowie chronili jego ciało przed rozkładem.

– Miejmy taką nadzieję. Inaczej pałac w ogóle nie nadawałby się do zamieszkania.

Poczułem kolejny cios pod zebro od Julii.

– Ciało – kapłan ciągnął niezrażony – zostało owinięte lnianym płótnem z Sydonu najwyższej jakości, a następnie, jak już wkrótce zobaczycie, w całości pokryte płatkami złota, przepięknie kutymi, tak aby zachować i odwzorować dokładny kształt zarówno korpusu, jak i rysów twarzy. Potem ułożono je w skrzyni, również złotej, a wolną przestrzeń wyłożono rzadkimi przyprawami. Wieko trumny, oczywiście też złote, ozdobiono wizerunkiem zmarłego króla.

Wyszykowano karawan tak wykwintny, że podobnego nie widziano ani wcześniej, ani później. Wykonano go solidnie, żeby zdołał przetrwać trudy podróży przez Azję. Łączył grecką elegancję z barbarzyńskim przepychem Persji. Na katafalku, pokrytym wspaniałym tyryjskim dywanem, spoczywał sarkofag z marmuru petelickiego. Mistrz rzeźbiarski pokrył go reliefami wyobrażającymi bohaterskie epizody z życia króla. Sarkofag chroniła warstwa złota, a na tym rozpostarto purpurową szatę, suto przetykaną złotą nicią. Na szczycie umieszczono zbroję władcy.

Sarkofag umieszczono w kaplicy pogrzebowej w kształcie jońskiej świątyni, o wymiarach dziesięć łokci na piętnaście. Jej proporcje ściśle odpowiadają pomieszczeniu, w którym teraz stoimy. Kolumny i dach, wykonane ze złota, wysadzono drogocennymi klejnotami. W każdym narożniku dachu ustawiono całofigurową złotą rzeźbę skrzydlatej Wiktorii. Świątynia ścian nie miała. Zamiast tego świątynię-komnatę otaczała złota sieć, aby poddani mogli podziwiać sarkofag, kiedy kondukt pogrzebowy jechał przez ich ziemie. Do sieci przymocowano malowane tabliczki, zastępujące jońskie fryzy. Obraz na przedzie ukazywał Aleksandra w rydwanie symbolizującym imperium. Obok rydwanu stali na straży z jednej strony Macedończyk, a z drugiej Pers. Inna tabliczka przedstawiała słonie bojowe, maszerujące za królem, i jego osobistą świtę. Obok, na kolejnej tabliczce, wyobrazono kawalerię w szyku bitewnym. Tabliczka z tyłu pokazywała flotę gotową do bitwy. Wejścia do pogrzebowej komnaty strzegły złote lwy.

Zacząłem się zastanawiać, czy w imperium Aleksandra pozostało jeszcze jakieś złoto. Lecz okazało się, że to nie wszystko.

– Nad dachem znajdowała się wielka złota korona w kształcie wieńca zwycięzcy. Kiedy ogromny wehikuł ruszył, promienie słoneczne odbijały się od niego, a ich blask podobny był błyskawicom Zeusa. Wóz miał dwie osie i cztery koła. Na modłę perską koła te zostały pozbawione żelaza, a szprychy

i piasty pokryto złotem. Osie wieńczyły złote łby lwów, a z pysków wystawały im złote groty strzał.

Tu już byłem niemal pewien, że ta opowieść zmierza ku końcowi. Myliłem się bardzo.

– Wóz ciągnęły sześćdziesiąt cztery muły, pieczołowicie dobrane. Zwierzęta przybrano pozłacanymi koronami, a po obu stronach pyska każdemu zawieszono złoty dzwonek, a także założono im chomąto z drogocennej tkaniny, ozdobionej złotem i klejnotami. Transportowi towarzyszył zespół konstruktorów i robotników drogowych, a ochronę stanowili doborowi żołnierze. Przygotowania do ostatniej drogi Aleksandra zajęły dwa lata.

Z Babilonu król ruszył przez Mezopotamię do Syrii i dalej, do Damaszku, po czym udał się do świątyni Amona w Libii, gdzie bóg mógł ujrzeć swego boskiego syna. Stamtąd orszak pogrzebowy miał się udać do Aegae w Macedonii, aby tam władca spoczął w grobowcach władców macedońskich, lecz gdy procesja wędrowała przez Egipt, napotkała byłego towarzysza króla, Ptolemeusza Sotera. Przekonał on wiodącego procesji, aby ten pozwolił mu odprawić ostatnie rytuały pogrzebowe w Memfis.

– Zwinął mu trupa, co? – wtrąciłem. – To i lepiej dla Aleksandra. Ale gdybym to ja miał zwiać stąd z taką ilością złota, nie złapałibyscie mnie.

Kolejne dźgnięcie pod żebra.

– Król leżał w Memfis przez wiele lat – opowiadał dalej kapłan, całkowicie mnie zignorowawszy – dopóki nie ukończono tego wspaniałego mauzoleum. Następnie, podczas niebywale radosnych i uroczystych ceremonii, król Aleksander Wielki znalazł miejsce wiecznego spoczynku w mieście nazwanym na jego cześć.

Pozwolił nam przez chwilę napawać się splendorem tego wszystkiego, po czym dał znak, abyśmy ruszali za nim dalej. Weszliśmy do sali, w której wyeksponowano szaty i zbroję Aleksandra, później do kolejnej, gdzie znajdował się marmurowy sarkofag, opisany wcześniej przez kapłana, razem z zewnętrzną trumną o przepięknie rzeźbionym złotym wieku. Po kilku minutach podziwiania wprowadził nas do ostatniej komnaty.

Było to pomieszczenie niezbyt duże, doskonale okrągłe, o sklepieniu z kopułą. Na środku leżało ciało Aleksandra, pokryte cienką warstwą złota, wiernie odwzorowującą kształty zmarłego. Wyglądał, jakby się w każdej chwili mógł obudzić. Wedle macedońskiego obyczaju, leżał na łożu

wykonanym z alabastru. Pochyliłem się ku Julii i wyszeptałem jej do ucha:

– Spójrz, jaki krótki wacek...

Niestety, kaplica była jednym z tych magicznych miejsc, które doskonale zwielokrotniają głos. Mój szept odbił się echem od ścian, jakby tę kwestię wykrzyczał goniec. Kapłan i pozostali zwiedzający przyglądali się nam z takim wyrazem twarzy, że zawstydzeni szybko wyszliśmy na zewnątrz, wylewnie dziękując za wszystko i pławiąc się w zachwytach.

– Znów piłeś od samego rana? – wściekła Julia domagała się wyjaśnień.

– Przysięgam, że nie!

Myślałem, że będzie próbowała mnie atakować, lecz ona sobie z tą sytuacją po prostu nie poradziła. Gdy znów zapadliśmy się w poduchy naszej lektyki, śmialiśmy się już do rozpuku.

– Widać w środku jest znacznie zabawniej, niż można by przypuszczać, stojąc tutaj – wyzłośliwił się Hermes.

– Pora na groblę. Heptastadion! – krzyknąłem. Lektykarze dźwignęli nas i ruszyliśmy w drogę.

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytałem Julię, gdy przemierzaliśmy ulice.

– Strasznie trudno jest skłonić kobiety w Aleksandrii do pogawędki o czymkolwiek poza strojami i religią. Nikt w królestwie nie rozmawia o polityce.

– Zapomnij o miejscowych kobietach – doradziłem. – Popracuj nad żonami oraz innymi kobietami zamiejscowych posłów, szczególnie tych z niepodległych krajów, które obawiają się, że zostaną włączone do rzymskiego imperium.

Spojrzała na mnie czujnie.

– A ty czego się dowiedziałeś?

– Niewiele – przyznałem. – Podejrzewam jednak, że Ifikrates, mimo oficjalnie wyrażanych obiekcji, prowadził na boku lukratywny interes, projektując broń dla naszych wrogów, a może raczej dla tych, którzy się spodziewają, że niedługo zostaną naszymi wrogami. Pierwszy dobry przykład to choćby Królestwo Partów. Teraz, gdy najbliższy Wschód jest już opanowany, król Fraates jako jedyny powstrzymuje Pompejusza i Krassusa, a także, wybacz mi, twojego wujka, ujadających u bram jak i inne psy Molossów. To ostatnie naprawdę bogate królestwo, które pozostaje niezależne.

– Oprócz Egiptu – zauważyła.

– Egipt nie jest... Cóż... Formalnie Egipt jest niezależny, lecz to raczej żart.

– Tyle że Egipcjanie nie wydają się rozbawieni. Oni tylko cierpią, ponieważ ostatnie pokolenia Ptolemeuszów były durne. Ongiś był to najpotężniejszy lud świata. Faraonowie władali Egiptem, kiedy Grecy oblegali Troję. Jaki lud, utraciwszy władzę, nie marzy o jej odzyskaniu?

– Dobre pytanie. I to by wyjaśniało zainteresowanie Achillesa Ifikratesem. Lecz cokolwiek zamierza zwierzchność wojskowa, to Ptolemeusze wciąż stanowią ich problem. Wszyscy, poza Egipcjanami, uważają małżeństwo brata z siostrą za wstrętne. To się nieźle sprawdza, jeśli chodzi o konie, a nie w odniesieniu do ludzi. I z pewnością nie posłużyło dobrze linii Ptolemeuszów.

– Zdegenerowane dynastie dają się łatwo obalić przez silnych mężczyzn, którzy mają za sobą armię – odparła.

Zostaw to Cezarowi, a przekuje tę teorię w codzienną praktykę władzy politycznej, pomyślałem.

– Jednak Egipcjanie są straszliwie konserwatywni. Wysoko cenią członków swojej dynastii, nawet jeśli nie ma ona egipskich korzeni. Aleksandryjskie pospólstwo obaliło poprzedniego Ptolemeusza tylko dlatego, że zamordował swoją podstarzałą żonę, jedną z Berenik. A co by zrobili uzurpatorowi, który nie byłby spokrewniony z ich rodem?

– Przeanalizowaliby jego rodowód – odparła rzeczowo. – Założę się, że znaleźliby jakieś rodzinne powiązania. No a poza tym tradycyjnym sposobem legitymizacji władzy jest możliwość poślubienia kogoś z królewskiej rodziny. Mamy do wyboru parę księżniczek, jak ci wiadomo. Poza tym uzurpator może z łatwością rządzić, udając regenta młodego Ptolemeusza.

Krewni Cezara to przerażający ludzie. Wszystko to już sobie przemyślała, odkąd usłyszała o mojej utarczce z Achillesem i Memnonem, gdy ja tymczasem węszyłem po Serapeum, zajadałem się wołowiną z ofiarnych zwierząt i robiłem oko do kapłanek o zakrwawionych plecach. Te kuszące spekulacje przerwało nasze przybycie do Heptastadionu.

– To najdłuższe moło w świecie – opowiadałem, kiedy przemierzaliśmy je w lektyce. – Mierzy prawie rzymską milę.

Oddzielało Wielki Port na wschodzie od portu Eunostos na zachodzie. Zatrzymaliśmy się w centralnej części łuku i podziwialiśmy statki, przepływające z jednego portu do drugiego. Nie musiały opuszczać masztów.

Wróciliśmy do naszej lektyki i pokonaliśmy resztę grobli, znaleźliśmy się na wyspie Faros. Wzniesiono tam osobne miasteczko z kilkoma uroczymi świątyniami, w tym jednej poświęconej Posejdonowi, a innej Izydzie. Na wysuniętym najdalej na wschód skrawku lądu wygrzebaliśmy się z lektyki i stanęliśmy u stóp latarni morskiej. Dziwne, że gdy się na nią patrzyło z bliska, zadzierając głowę, nie doświadczało się silnych doznań. Stojąc o krok od niej, człowiek nie mógł ocenić jej wysokości. Widziało się tylko masywne mury, które jednak wcale nie robiły wrażenia kolosalnych. Weszliśmy do środka. Pokazano nam wirujący snop światła, które ginęło gdzieś hen daleko nad naszymi głowami. Miałem poczucie, że wieża niebezpiecznie drapie słońce od spodu. Ze straszliwym zgrzytem mechanizmu opuszczono wielki kosz zrobiony z żelaza i drewna. Transportowano nim na górę opał, którym podsycano ogień, płonący nad naszymi głowami. A że Egipt z natury był ubogi w drewno, większość ładunków docierała tu na statkach z okolicznych wysp i ziem położonych na zachodzie. Popiół zsypywano na dół specyficzną rynną, prosto na oczekującą barkę, która wywoziła pył na morze i tam się go pozbywano.

Zrezygnowaliśmy z propozycji jazdy na górę w drewnianym koszu i poczęliśmy się wspinać niekończącymi się schodami, wijącymi się w wewnętrznej klatce. Julia, która dopiero co przybyła z pagórkowatego Rzymu, wspinała się bez trudu. Ja wiodłem ostatnio leniwe życie, więc nim doszliśmy na pierwszy podest, zasapałem się i spociłem. Nawet w niższych partiach budynku znajdowaliśmy się już ponad poziomem dachów najwyższych świątyń miasta. Kamienna iglica wznosiła się gdzieś wysoko nad nami. Z jej niewidocznego czubka w czyste niebo unosił się dym. Julia odchyliła się w tył i zmrużyła oczy, próbując dostrzec szczyt.

– Chyba chciałabym mieć odwagę, aby przejechać się tym koszem do góry – powiedziała z kokieterią w głosie.

– To nienaturalne, aby człowiek znajdował się tak wysoko – odparłem. – Jeśli jednak chcesz pokonać wszystkie schody, to poczekam tutaj na ciebie.

– Nie, widok stąd jest wprost wspaniały. Widać całe miasto, od hipodromu po Nekropolis. Widać nawet całą drogę do jeziora Mareotis. I wszystko jest tak uporządkowane, jakby to było naścienne malowidło.

– Tak się tylko wydaje. Trudno uwierzyć, że w samym środku tego lądu dzieje się coś niezwykle osobliwego i niebezpiecznego. Rzym natomiast *wygląda* na miejsce, gdzie paskudne sytuacje są codziennością.

- Nie ujęłabym tego w taki sposób.
- Julio, chciałbym lepiej poznać księżniczkę Berenikę.
- Dlaczego? – spytała podejrzliwie.
- Muszę omówić z nią kilka spraw związanych z religią.

Tego wieczora przewieziono nas łodziami z portu królewskiego na załomie przylądka Lochias do cudnego jak klejnot pałacu na wyspie Antyrodos. Było to jeszcze bardziej frywolne miejsce niż główny pałac. Skryte na ustroniu, służyło wyłącznie rozrywce. Stąd nie było tutaj ani sali tronowej, ani jakiegokolwiek komnaty, która by nadawała się do oficjalnych spotkań. Berenika zorganizowała tu kolejne z wielu przyjęć dla najpopularniejszych osób. Ptolemeusz i Kretyk nie przyszli, lecz ja przybyłem z Julią, Faustą i częścią personelu dyplomatycznego. O imprezach, odbywających się na wyspie, krążyły niestworzone historie. Podobno tu nie obowiązywały nawet te drobne ograniczenia, które stanowił ceremoniał dworski.

Gdy dotarliśmy na wyspę, zabawa trwała już w najlepsze. Słońce wymalowało królewską purpurą niebo na zachodzie. Zapalono pochodnie. W zapadającym zmierzchu słychać było muzykę. Z łodzi pomagały nam wsiąść nibymenady, jeśli to odpowiednie słowo, przebrane w lamparcie skóry, przystrojone winoroślą, z maskami na twarzach. Ucharakteryzowani na satyrów mężczyźni gonili po ogrodach nimfy. Akrobaci chodzili po linach, rozwieszonych między skrzydłami pałacu.

– Mój ojciec nigdy by na coś takiego nie przyzwolił – skomentowała Julia, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. – Lecz cóż, tu go nie ma.

– I to jest właściwa postawa – pochwaliłem ją. – Chciałbym, żeby Katon był tu z nami, tylko po to, bym mógł patrzeć, jak trafia go apopleksja.

Przyszła Berenika, aby nas powitać. Prowadziła na smyczach pół tuzina tresowanych gepardów. Egipcjanie lubią wszelkiego rodzaju koty, od lwów po małe domowe kociaki. Czasem mam wrażenie, że owe zwierzęta zawładnęły miastami. Ludzie darzą te małe bestyjki takim uwielbieniem, że gdy któryś kot umiera, oplakują go tak samo jak zmarłych członków rodziny. Kara za zabicie kota jest taka sama jak za morderstwo. Mnie wydawało się dziwne, że ludzie chcą, żeby im po domu plątały się małe lwy, lecz ostatnimi laty cieszyły się one popularnością nawet w Rzymie. Mawiano, że nieźle łapia myszy.

Berenika wykrzykiwała zwyczajowe powitania i komplementy. Zachęcała

nas, abyśmy się rozluźnili i dobrze bawili. Na to właśnie byłem nastawiony. Zamiast stołów, przy których goście mogliby wygodnie się ułożyć i ucztować, wszędzie porozstawiano małe stoliczki z rzadkimi smakołykami. Niewolnicy krążyli z dzbanami wina, a wszyscy bawili się na stojąco lub przechadzali się, jedli, pili i gawędzili tak długo, jak długo zdołali się utrzymać w pionie. Poza służącymi zaangażowano do pomocy znacznie dynamiczniejsze od nich pawiany. Co prawda, niezbyt dobrze szło im obsługiwanie przybyłych, lecz za to zachowywały się przyzwoiciej niż większość gości.

Chciałem porozmawiać z Bereniką, lecz irytowały mnie jej wielkie koty. Wiedziałem, że tresowane gepardy zachowują się jak psy myśliwskie, ale trzymanie ich na smyczy wydawało mi się nienaturalne. Zostawiłem Julię i Faustę z księżniczką, a sam udałem się do pałacu. Wszystko wskazywało na to, że ten wieczór szybko się nie skończy, więc nie było pośpiechu. W kozi róg zapędzę ją później.

Nigdy wcześniej nie byłem w tym pałacu na wyspie. Całkowicie odpowiadała mi jego estetyka. Proporcje miał niemal rzymskie, odpowiadające ludzkiej skali. Pokoje nie były przestronnymi halami, gdzie echo odbijało się od ścian, a ich dekoracja miała raczej uwydatnić pewne cechy, a nie przytłoczyć obserwatora.

Niestety, nie dało się tego samego powiedzieć o gościach czy rozrywkach. Na otwartym dziedzińcu był basen, a w nim umięśniony młody zapaśnik zmagił się z krokodyłem średniej wielkości. Chlapali na gości niemal równie obficie, jak para kąpiących się hipopotamów. Niektórzy goście, skrajnie rozemocjonowani, wskoczyli do basenu i wygłupiali się, udając najady. Podpływali pod wodą, aby wynurzyć się z nienacką i chlusić wodą na niespodziewających się niczego przechodniów. Przez chwilę przyglądałem się tej błazenadzie, mając nadzieję, że zapaśnik rozluźni chwyt i krokodyl zaatakuje owe najady. To byłoby znacznie ciekawsze. Tymczasem młodzieniec związał gada sznurem i przy powszechnym aplauzie gdzieś wyniósł.

Na kolejnym dziedzińcu zespół tancerek z Krety w wymyślnych strojach z uderzającym realizmem odtwarzał jedno ze swoich osławionych przedstawień o sprośnych poczynaniach bogów Olimpu. Wszedłem na galerię na piętrze, aby móc lepiej widzieć. Pode mną, na wymyślnej scenie, odgrywano mity o Ledzie i łabędziu, Europie i byku, Ganimesie i orle,



Danae i złotym deszczu (niewiarygodne kostiumy!), Pazyfae wewnątrz sztucznej krowy, zaprojektowanej przez Dedalę, i kilka mitów znanych zapewne tylko Grekom. Zdołałem wreszcie oderwać wzrok od tych niezwykłości na tyle, aby zauważyć, że nie jestem sam. Dziewczynka, może dziesięcioletnia, oparła się o barierkę i przyglądała widowisku ze spokojnym zainteresowaniem.

Było to piękne dziecko o skórze jak alabaster i rudawym odcieniu włosów, co wśród Macedończyków nie należy do rzadkości. Strój i ozdoby świadczyły o dostatku. Z pewnością dziewczynka musiała się wywodzić ze znanej rodziny, lecz umknęła sługom.

– Nie jesteś, pani, nieco za młoda na takie rozrywki? – spytałem. – Gdzie twoja opiekunka?

Odwróciła się i zmierzyła mnie od stóp do głów wielkimi zielonymi oczami. To były najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Moja siostra twierdzi, że muszę się nauczyć, jak zachowuje się arystokracja z różnych krain. Już wcześniej brałam udział w kilku przyjęciach.

W jej słowach nie było nic dziecinnego.

– Rozumiem. W takim razie zapewne mam przyjemność z księżniczką Kleopatą?

Skinęła głową i znów się odwróciła, patrzyła dalej na rozgrywający się na dole spektakl.

– Czy ludzie naprawdę się w ten sposób zachowują?

Na scenie coś, co przypominało smoka, dosiadało Andromedę, przywiązaną łańcuchami do skał. Nie przypominałem sobie tej części mitu o Perseuszu.

– Nie powinnaś zamartwiać się poczynaniami istot nadprzyrodzonych – poradziłem jej. – Wkrótce dowiesz się, że to, co się dzieje między mężczyzną a kobietą, i tak sprawia dość kłopotów.

Odwróciła głowę od tancerzy i przyjrzała mi się tak uważnie, że aż poczułem dreszcz niepokoju. Była przecież jeszcze taka młodziutka.

– Jesteś Rzymianinem, prawda? – spytała w nienagannej łacinie.

– Owszem. Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy, senator, obecnie działam w tutejszej placówce dyplomatycznej. Do usług, pani.

Ukloniłem się lekko, jak nakazywał rzymski obyczaj.

– Nigdy nie słyszałam, aby ktoś używał imienia Decjusz jako *praenomen*.

Myślałam, że to *nomen*.

Była niezwykle gruntownie wykształcona.

– Pojawiło się to imię w moim rodzie za czasów mego dziada, któremu Dioskurowie zesłali wizję.

– Rozumiem. Nigdy nie doświadczyłam wizji. Moja siostra ma je wciąż.

W to akurat mogłam uwierzyć.

– Twoja łacina jest doskonała, księżniczko. Czy władasz też innymi językami?

– Poza łaciną i greką mówię po aramejsku, persku i fenicku. Jak to jest być Rzymianinem?

Cóż za dziwne pytanie.

– Nie jestem pewien, czy zrozumiałem, księżniczko.

– Rządzicie światem. Rzymscy urzędnicy, których widziałam, zachowują się tak arogancko jak królowie większości krain. Jak to jest wiedzieć, że się ma cały świat u stóp?

Nigdy w życiu dziesięciolatka nie zadała mi takiego pytania.

– Nie rządzymy tak naprawdę całym światem, Wasza Wysokość, lecz jedynie jego znaczną częścią. A co do naszej arogancji, wysoko cenimy takie wartości jak *dignitas* czy *gravitas*. Wpajamy je przyszłym zarządcom od najmłodszych lat. Nie tolerujemy publicznego obnoszenia się z głupotą.

– To dobrze. Większość ludzi toleruje wszelkie zachowania tych, którzy są wysoko urodzeni. Słyszałam, że wczoraj powaliłeś Memnona jednym ciosem.

– Wieści szybko się rozchodzą. Właściwie musiałem trafić go dwukrotnie, żeby stracił świadomość.

– Cieszy mnie to. Ja go nie lubię.

– Och...

– Owszem. On i Achilles na swoich stanowiskach są zbyt zuchwali. W ich stosunku do mojego rodu widać brak szacunku.

To było godne zastanowienia. Lecz w tej samej chwili któryś z gości wdarł się na scenę i począł zdzierać kostiumy z tancerek. Nagrodził go podeksycytowany rechot, wykrzykiwano słowa zachęty.

– Księżniczko, sądzę, że pora już, abyś darowała sobie spektakl, mimo zaleceń twej siostry. Jesteś stanowczo zbyt młoda, żeby być tu samej, a niektórzy rozbawieni mężczyźni całkiem postradali rozum, o ile w ogóle go mieli.

– Przecież nie jestem sama – skinęła lekko głową w kierunku zaciętej galerii. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że ktoś tam stał nieruchomo jak posąg.

– Kim jesteś? – spytałem. Może szesnastoletni młodzieniec z założonymi rękami dał krok w przód.

– Apollodor, senatorze.

Chłopak prezentował się całkiem nieźle. Miał czarne, kręcone włosy i regularne rysy twarzy, charakterystyczne dla mieszkańców Sycylii. Nosił krótki chiton z paskiem i przywieszonym doń krótkim mieczem, a na kostkach i nadgarstkach miał skórzane owijki. Przyjął rozluźnioną, niemal bezwładną postawę, charakterystyczną dla znakomicie wyszkolonych lekkoatletów, lecz przecież nie był zwykłym uroczym chłopaczkiem, wyszkolonym w *palestrze*. Nosił znak *ludus*, lecz przecież w żadnym amfiteatrze nie widziałem tak młodych zawodników.

– Jaka szkoła? – zwróciłem się do niego.

– *Ludus* Ampliata z Kapui – odparł.

To miało sens.

– Dobry wybór. Uczą tam nie tylko boksu i zapasów, lecz także władania mieczem. Gdybym potrzebował opiekuna dla córki, posłałbym go na szkolenie właśnie do Ampliata.

– Trafiłem tam, gdy miałem dziesięć lat – dodał Apollodor. – Król sprowadził mnie z powrotem pięć miesięcy temu, kiedy postanowił, że księżniczka przeniesie się do Aleksandrii. – Zwrócił się do Kleopatry. – Senator ma rację, Wasza Wysokość. Teraz już lepiej wejść do środka.

Mówił lekko, lecz w każdym słowie wyczuwałem uwielbienie.

– Zgoda – przystała. – Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie zachowują się w taki sposób.

Wszystko przed tobą, pomyślałem.

Życzyłem jej miłego wieczoru i ponownie zszedłem na dół, gdzie zabawa rozkręcała się w najlepsze. W późniejszych latach skrytykowano Marka Antoniusza, że jest tak zapatrzonej w Kleopatrę, iż zapomniał o Rzymie i wszystkim innym, byle tylko jej służyć. Mówiono, że jest słaby i niezbyt męski. Lecz ja poznałem Kleopatrę, kiedy miała dziesięć lat, a biedny Antoniusz nie miał takiej szansy.

Miałem ochotę napić się wina. Na szerokim marmurowym stole wiała się gigantyczna kiełbasa, wykonana z jelit słonia, nafaszerowanych słodkim

mięsem ptactwa. Pachniała wybornie, lecz wyglądała odrażająco. Niewolnik wręczył mi szaszłyk z kawałkami szarańczy. Uważano je tu za niezły przysmak na deser, lecz daleko im do rzymskich frykasów. Na szczęście, nim wygłodniałem na dobre, spostrzegłem tacę z wieprzowymi żeberkami, duszonymi na wolnym ogniu w *garum*. Oprócz żeberek zjadłem jeszcze trochę innych znośnych potraw, aż uznałem, że jestem gotów się zmierzyć z resztą wieczora.

Szczęk zwierających się broni przyciągnął mnie na trawnik, gdzie siłacze dawali pokaz szermierki mieczami. Nie byli to prawdziwi gladiatorzy, ponieważ w owym czasie nie było już w Egipcie prawdziwych gladiatorów. Wyróżniali się zręcznością i z przyjemnością się na nich patrzyło, lecz żaden z nich nie przetrwałby choćby minuty w rzymskim amfiteatrze. Fausta i Berenika też się im przyglądały. Z ulgą westchnąłem, bo gepardy gdzieś zniknęły.

– To całkiem niezwykle przyjęcie, Wasza Wysokość – odezwałem się do Bereniki.

– Bardzo się staramy. Fausta opowiadała mi właśnie o walkach gladiatorów, jakie wraz z bratem ufundowali podczas igrzysk ku czci ich zmarłego ojca. Obawiam się, że nasi kapłani, uczeni i inni tacy nigdy by nie pozwolili na walki na śmierć i życie tutaj, w Egipcie. A szkoda, bo to mogło być ekscytujące.

– *Munera* stanowią integralną część naszej religii – zauważyłem. – Inni ludzie czasem odbierają nasze walki jako zbyt brutalne.

– Wystawiliśmy tysiące par wojowników w ciągu dwudziestu dni – wtrąciła Fausta – że nie wspomnę o setkach lwów i tygrysów czy nosorożców oprócz raczej pospolitych niedźwiedzi czy byków. Senat oprotestował taką ekstrawagancję, ale kto by tam go słuchał...? – W tej uwadze okazała się prawdziwą córką Sulli. – Oczywiście, kobietom nie wolno chodzić na *munera*, lecz i tak chodzimy. Uważam je za znacznie ciekawsze od wyścigów rydwanów.

– Jedno i drugie ma swoje zalety – wtrąciłem. – Podczas wyścigów można się na przykład oficjalnie zakładać, a podczas walk jest to źle widziane. A skoro już mówimy o religijnych obyczajach – zręcznie nawiązałem – chętnie dowiedziałbym się, księżniczko, jak ci się udało odnaleźć świętego Ataksasa i jego boga Baala-Arymana.

Fausta spojrzała na mnie ze zdziwieniem. O taki temat do rozmów mnie

nie podejrzewała.

– Ach, to było niezwykle! Siedziałam sobie w ogrodzie, w pałacu Aleksandryjskim, tuż przed ostatnimi wylewami, gdy przemówił do mnie wizerunek Horusa.

– Przemówił? – spytałem, starając się nie okazać zdumienia najlżejszym drgnieniem brwi.

– Tak, bardzo wyraźnie. Powiedział: „Córko, ogłaszam nadejście nowego boga, który będzie rządzić krainami Czerwoną i Czarną. Jego prorok zjawi się na twym dworze, nim wyleje rzeka. Przyjmij go tak, jak należy przyjąć posłańca nieśmiertelnych bogów Egiptu”.

– I to wszystko?

W większości relacji bogowie są bardziej wylewni.

– To wystarczyło – zapewniła.

– A czy usta boga, a może raczej w tym wypadku dziób, poruszał się, kiedy bóg przemawiał? – Może powinienem wyjaśnić, że Horus to jeden z mniej odrażających egipskich bogów o głowie sokoła.

– Nie zauważyłam. Padłam mu do stóp, kiedy zaczął przemawiać. Nawet księżniczka musi się ukorzyć przed bogiem.

– To zrozumiałe – zapewniłem ją.

– Możesz sobie wyobrazić, jak się ucieszyłam, kiedy przybył święty Ataksas głosić prawdy Baala-Arymana. Wiesz, był dość zwykły i bezpretensjonalny. Zdumiał się, kiedy mu powiedziałam, że Horus już zapowiedział jego nadejście.

– No właśnie, właśnie. A czy objawił jakąś niezwykłą moc, odkąd tu jest?

– Oczywiście. Uzdrowił wielu wyznawców z takich dolegliwości jak głuchota czy paraliż. Głosił, że przemówią też inne posągi i rzeczywiście przemówiły, zapowiadając wspaniałą przyszłość Egiptu. Sam zaś nie rości pretensji do jakichś specjalnych mocy. Mówi, że jest po prostu medium cudownej mocy Baala-Arymana.

Gdy mówiła o Ataksasie, jej wzrok stawał się nieobecny, jakby wpatrywała się w coś, co znajdowało się bardzo daleko, albo może raczej jakby wcale nie widziała.

– Mówisz, pani, o „wspaniałej przyszłości” Egiptu. A czy są już jakieś oznaki owej zbliżającej się chwały?

– Nie, lecz wierzę, że właśnie o tym dowiemy się od Baala-Arymana w zapowiadany objawieniu.

Miałem więcej pytań, lecz w tej chwili podszedł do nas zarządca budynku, kolejny eunuch. Z trudem łapał oddech.

– Księżniczko, hipopotam wy dostał się z basenu i zaatakował kreteńskie tancerki!

– Pewnie sądzą, że to kolejne przebranie Zeusa, który szuka następnej śmiertelniczki, aby ją sobą zachwycić. Jeśli znajdzie ochotniczki, to może być ciekawe widowisko.

– Och, pewnie muszę się tym zająć – odparła Berenika. – Seti, zwołaj strażę. Powiedz im, aby zabrali długie włócznie. Niechybnie uda im się zagnać bestię dźgnięciami z powrotem do stawu. Tylko nie wazcie się go poranić. To święte zwierzę Toeris.

– I to prawdziwy dowód na to, że bogowie nie pochwalają kazirodztwa – pozwoliłem sobie na komentarz, gdy odeszła.

– W Rzymie też nie brakuje ekscentryków – odrzekła Fausta. – Tyle że kiedy oglądamy cudzą rodzinę królewską, wydają nam się jeszcze głępsi.

– Może i tak. Lecz jeśli Horus chciałby ogłosić nadejście nowego boga, czemu nie miałyby porozmawiać z Ptolemeuszem? Dlaczego wybrał jego obłąkaną córkę?

– Rozumiem, że trudno ci uwierzyć w jej opowieść.

– Zdecydowanie. Odwiedziny bogów są dość częste w mitach, lecz to zawsze lepiej brzmi, gdy dotyczą epoki bohaterów. Zważ, że i mojego dziadka nawiedzili Dioskurowie, lecz stało się to we śnie, no i sądzę, że był pijany.

– Skąd to nagłe zainteresowanie religią, Decjuszu? Czy pobyt w Egipcie spowodował twoje zainteresowanie tymi dziwnymi rytuałami?

Nieodrodną córkę Sulli, Faustę, motywowała tylko chciwość bądź żądza władzy.

– Religia ma moc i jest niebezpieczna, Fausto. To dlatego my, Rzymianie, zaprzęgliśmy ją do służby państwu już wiele wieków temu. Dlatego też uczyniliśmy kapłanów urzędnikami państwowymi. I właśnie dlatego zabroniliśmy sięgania do *Ksiąg sybillińskich* poza skrajnymi sytuacjami, lecz nawet wtedy jedynie na polecenie senatu.

– Do czego zmierzasz?

– Najbardziej niebezpieczną odmianą religii są niestabilne kultury, wykorzystujące emocje, szerzone przez charyzmatycznych świętych, podobnych Ataksasowi. Mają oni swoje sposoby, aby ich krótkoterminowe

proroctwa się spełniały, gdyż podżegają swoich fanatycznych wyznawców, aby je spełniali. Ludzie są przecież niewiarygodnie naiwni. Uzdrawiał głuchych i sparaliżowanych. Zauważ, że te ułomności łatwo symulować. Idę o zakład, że nigdy nie przywrócił nikomu amputowanej stopy ani dłoni.

– Nie zainteresowałbyś się nim, gdyby był zwykłym oszustem, bogacącym się kosztem głupków – zaznaczyła. – Czy sądzisz, że włączył się w tutejsze rozgrywki o władzę?

– Jestem tego pewien, choć nie potrafię zdemistyfikować natury jego działań.

– Dlaczego aż tak cię interesują sprawy Egiptu?

– Ponieważ tak naprawdę wszystko, co się tutaj dzieje, wpływa na rzymskie interesy. A cokolwiek knuje Ataksas, nie może to być nic dobrego. Głupio byłoby przysłać tu legiony, żeby zaprowadziły porządek, skoro ujawnienie spisku może rozwiązać problem.

Fausta się uśmiechnęła.

– Julia powiedziała, że jesteś szalony, lecz bardzo interesujący. Zaczynam rozumieć, co miała na myśli.

Gdy tylko wygłosiła to enigmatyczne stwierdzenie, pojawiła się jego autorka.

– Ta zabawa zdecydowanie wymyka się spod kontroli – rzekła Julia. – Decjuszu, sądzę, że powinniśmy wracać do naszej placówki.

– Rozmawiacie ze sobą, jak byście już byli po ślubie – zauważyła Fausta.

– Pójdiesz z nami? – Julia zwróciła się do Fausty, nawet nie próbując mnie zapytać, czy mam ochotę wyjść.

– Raczej zostanę. Tyle się nasłuchałam o rozpuście na egipskim dworze, a to jest moja szansa, aby się temu przyjrzeć z bliska. Lecz wy sobie idźcie. I tak zostanie tu dosyć pracowników dyplomatycznych z poczucia obowiązku.

Właściwie większość z nich już straciła przytomność bądź niewiele im do tego brakowało. Nie wątpiłem jednak nigdy w to, że Fausta potrafi dać sobie radę. Wsiadliśmy na barkę, aby odbyć krótką przejażdżkę ku pałacowej przystani.

– Skończyłam właśnie ciekawą pogawędkę z konkubiną ambasadora Partii – rzekła Julia.

– A więc nie zabrał tu ze sobą żony?

– Nie, wbrew dobremu dyplomatycznym obyczajom żona i dzieci musiały

pozostać w Partii.

– Biedny człowiek. I co też ta niosąca mu pocieszenie dama miała do powiedzenia?

– Tak się złożyło, że jest doskonale wyedukowaną grecką heterą. Język grecki ambasadora pozostawia nieco do życzenia, więc pomaga mu w pracy nad dokumentami spisanymi w tym języku. Większość z nich to zwykłe, nudne sprawy państwa, lecz ostatnio przeczytała mu pewien ilustrowany dokument, który tłumaczył na język Partów. Zarówno tłumaczenie, jak i przekład wysłał królowi Fraatesowi w zamkniętej, pilnie strzeżonej skrzyni.

Poczułem, że jestem na tropie. To miłe uczucie, kiedy nagle ważny kawałek układanki znajdzie się na swoim miejscu.

– A czego dotyczyły te dokumenty?

– Zawierały plany machin wojennych. Nie umiała odczytać rysunków, natomiast język tekstu miał na ogół całkowicie naukowy charakter, z czym nie jest obyta. Wspominała jednak o jakichś urządzeniach, pozwalających podłożyć ogień na statku, robić wyłom w murach czy miotać pociski. Było tam również pokwitowanie, opiewające na gigantyczną kwotę, za dostarczenie tychże planów. Pięniądze przekazano Ifikratesowi z Chios. Uważała za niebywałą zbieg okoliczności, że wkrótce potem został zamordowany.

– Napominaj mnie, abym nigdy nie powierzał swoich sekretów gadatliwym Greczynkom. Czy coś jeszcze sobie przypomniała?

– Tego wszystkiego dowiedziałam się, wyławiając istotne informacje z potoku słów. Opowiadała ze szczegółami całe swoje życie. Pomyślałam sobie, że niemądrze byłoby wywierać na nią presję. Tu na Wschodzie nikt nie słucha kobiet. Mówiła, że oddałaby życie, byle móc się wygadać.

Jak się miało okazać, nie było to w tym wypadku najbardziej fortunne sformułowanie.



## Rozdział 6

Nazywa się Eunós – rzekł Amfitrion. – Pochodzi z Rodos i był osobistym asystentem Ifikratesa przez dwa lata.

– Czy potrafi czytać?

– Oczywiście. Wszyscy niewolnicy Muzejonu, którzy pełnią osobistą służbę, muszą spełniać pewne kryteria, jeśli chodzi o edukację. W końcu, jeśli ktoś chce posłać niewolnika z sali wykładowej po określoną książkę, to ten musi umieć ją rozpoznać.

– To sensowne. Powiedz mi, czy wiesz, aby Achilles bądź jakikolwiek inny dowódca często składał wizyty Ifikratesowi?

Spojrzał na mnie, jakbym postradał zmysły.

– Nie chcąc obrażać zacnych sług Jego Wysokości, trzeba powiedzieć, że żołnierze to ciemny motłoch, banda macedońskich wieśniaków z gór. Dlaczego mieliby się kontaktować z takim uczonym jak Ifikrates?

– Czy Ifikrates był kiedykolwiek nieobecny przez dłuższy czas?

– Cóż... tak. Co miesiąc udawał się łodzią w górę rzeki. Dokonywał pomiarów wody, obserwował podnoszenie się i opadanie poziomu oraz wpływ tych zmian na linię brzegową. W ogóle żywo się interesował dynamiką procesów związanych z wodą. Widziałeś, panie, służę, którą zaprojektował?

– Owszem, widziałem. Jak długo trwały te wyprawy?

– Nie uważam, aby były to stosowne pytania, ale zawsze na początku miesiąca wyjeżdżał na sześć dni.

– Czy jest to typowy tryb pracy w Muzejonie?

– W rozsądnych granicach nasi mędracy mają nieograniczoną wolność prowadzenia badań w sposób, jaki uznają za stosowny. Nie muszą nawet wykładać, jeśli nie mają na to ochoty. Tu, w Muzejonie, naszym celem jest wiedza w czystej postaci.

– Niezmiernie godne pochwały – szepnąłem. Zacząłem mieć poważne wątpliwości co do czystości intencji poczynań Ifikratesa.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Grek w średnim wieku, ubrany w tunikę charakterystyczną dla pracowników Muzejonu. Ukłonił się Amfitrionowi i mnie, po czym czekał z godną pochwałą powściągliwością, właściwą niewolnikom świadomym swojej wyjątkowej pozycji w niewolniczej społeczności.

– Eunosie, senator chciałby zadać ci kilka pytań na temat zmarłego Ifikratesa z Chios.

– Eunosie – zacząłem – czy służyłeś Ifikratesowi w tę noc, kiedy popełniono morderstwo?

– Tak, senatorze. Pomagałem mu tej nocy przygotować się do bankietu. Potem mnie odprawił. Kiedy szedłem galerią do swojego pokoju, znów mnie wezwał i kazał mi przynieść kilka dodatkowych lamp. Zrobiłem, co kazał, i ustawiłem lampy w jego pracowni. Chciałem je zapalić, lecz polecił mi odejść, więc odszedłem.

– Czy podejrzewasz, do czego potrzebował dodatkowych lamp, skoro zamierzał udać się na ucztę?

– Miał gości. Lecz nie usłyszałem, kiedy ów przybył.

– A czy go widziałeś?

– Kiedy wszedłem z lampami, człowiek ten siedział w sypialni na tyłach. Światło było nikłe. Sądzę, że był średniego wzrostu, miał ciemne włosy i brodę przyciętą po grecku. Nie spojrzał w moją stronę. I tylko tyle widziałem.

– Czy pamiętasz cokolwiek innego, co pomogłoby mi ustalić tożsamość tego obcego? A może Ifikrates zrobił coś wbrew swoim zwyczajom?

– Przykro mi, panie. Nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

Pozwoliłem mu odejść i usiadłem, przez chwilę rozmyślając. Nie dziwiło mnie, że ten człowiek nie przyszedł do mnie wcześniej. Żaden inteligentny niewolnik nie będzie się pchał z informacjami, o ile go ktoś nie zapyta. Właściwie Amfitrion powinien go już wypytać, lecz, jak rozumiałem,

słuchanie wyjaśnień niewolnika było poniżej godności naukowca.

– Chciałbym jeszcze raz obejrzeć pokoje Ifikratesa – rzekłem na ostatek do Amfitriona, podnosząc się z krzesła.

– Czuj się jak u siebie w domu, senatorze, lecz niebawem będziemy musieli usunąć rzeczy Ifikratesa. Wkrótce przybędzie szanowany uczony w dziedzinie muzyki, Zenodot z Pergamonu. Musimy te pomieszczenia naszykować dla niego.

Znalazłem Asklepiodesa. Właśnie kończył wykład z anatomii. Przekonałem go, żeby mi towarzyszył. Pracownia Ifikratesa została posprządana. Ukończone spisy leżały poukładane na wielkim stole. Podniosłem jedną ze srebrnych mis.

– Powiedziałeś, że Ifikrates prowadził badania nad właściwościami zwierciadeł wklęsłych – przypominałem. – A oprócz skupiania światła, jakie to są właściwości?

– Skupiają też ciepło – odparł Asklepiodes. – Chodź, to ci pokażę.

Wyszliśmy na dziedziniec. Zmrużył oczy, szacując kąt padania promieni słonecznych. Za pomocą zwierciadła złapał płamę światła i rzucił ją na ścianę porzuconego modelu śluzy. Potem szedł w tył, a wtedy plama się kurczyła, aż stała się niezwykle jasnym punkcikiem, wielkości drobnej monety.

– Przyłóż tam dłoń, a poczujesz, co małem na myśli.

Ostrożnie przesuwalem dłonią po drewnianej powierzchni, aż w końcu słoneczna plamka spoczęła na mojej skórze. Wyraźnie poczułem ciepło, nie tak gorące jednak, aby parzyło.

– Do czego Archimedes wykorzystywał te przyrządy?

– Podobno z ich pomocą zaproszył ogień na rzymskich statkach.

– Myślisz, że to możliwe? Nie wydaje mi się, aby dawały wystarczająco dużo ciepła.

– To są miniatury. Te, których używał Archimedes, były większe niż tarcze. Poza tym miał ich znacznie więcej. Może i z setkę ustawił w jednej linii na szczycie murów portowych w Syrakuzach. A gdy tak wiele zwierciadeł skupiało światło, to może dało się spalić atakujące jednostki. W sprzyjających warunkach statki są bardzo łatwopalne.

Przez chwilę eksperymentowaliśmy z czterema srebrnymi misami. Gdy skupiliśmy światło ze wszystkich czterech w jednym punkcie, zdołaliśmy wydobyć z drewna nikłe smużki dymu. Weszliśmy do środka i zacząłem studiować listę rzeczy. Próbowałem znaleźć cokolwiek, co mogłoby pomóc

ustalić, co należało do tego denerwującego pedanta.

– „Przedmioty: pudełko z różnymi kawałkami lin, każdy fragment opisany” – przeczytałem. – Jak sądzisz, co to może być?

Zaczęliśmy szukać tu i tam, aż znaleźliśmy to pudełko pod zwojami lin. Zawierało kawałki sznurków, pozwijanych i splecionych na różne sposoby, wykonanych z różnych surowców, zwierzęcych i roślinnych. Każda próbka miała około stopy długości. Do każdej przyczepiono papirus z wykaligrafowanym opisem i ciągiem cyfr.

Asklepiodes wziął parę próbek.

– Te wykonano z ludzkich włosów – rzekł zdumiony. – Jaki użytek można mieć z takiej liny?

Studiowałem opisy, próbując coś zrozumieć.

– Mawia się, że ludzkie włosy są najlepsze na liny w katapultach skrętnych. Kobiety z Kartaginy poświęciły swoje warkocze, kiedy budowano w czasie oblężenia maszyny oblężnicze. Scypion podbił miasto łysych kobiet. Spójrz tutaj: te skróty oznaczają rasę i pochodzenie każdego dawcy próbki. Ależ on miał obsesję perfekcjonizmu. Opisał każdy detal.

– A co to za cyfry? – Tu nawet Asklepiodes nie miał pomysłu.

Przyglądałem się im przez chwilę.

– Wydaje mi się, że oznaczają wagę lub nacisk, przy jakim włosy się ostatecznie przerwały. Ale jak do tego doszedł, nie mam pojęcia.

Jeśli moje domysły co do jego zapisków były trafne, włosy czarnych Afrykańczyków wypadają najsłabiej, a jasnowłosych Germanek najlepiej, bo były najmocniejsze i najbardziej sprężyste. Żadne roślinne włókna ani rzemienie ze skór zwierzęcych nie dorównywały im. Nawet jedwab, choć mocny, nie sprawdzał się przy skręcaniu, ponieważ był, jeśli dobrze przetłumaczyłem, „zbyt rozciągliwy”. No a poza tym zdecydowanie za drogi.

Powtórzyłem Asklepiodesowi informacje niewolnika.

– Przynajmniej mamy opis zabójcy, niestety dość ogólny.

– Średniego wzrostu, ciemne włosy i broda w stylu greckim... to na pewno zawęży obszar poszukiwań. Tyle że wciąż mamy ze dwadzieścia, albo i trzydzieści tysięcy ludzi pasujących do tego opisu w samej Aleksandrii.

– A wśród nich dowódcę Achillesa – dodałem.

– Mizerna poszlaka.

– Mnie to wystarczy – zaoponowałem. – Mężczyzna pasujący do opisu znajduje się w pokoju Ifikratesa tego wieczora, kiedy uczonego zostaje

zamordowany. Następnego dnia Achilles pojawia się bez ostrzeżenia czy wyraźnego powodu i zabrania mi węszyć w sprawie zabójstwa.

– Rozumowanie przekonujące, lecz niezbitego dowodu wciąż brak – podsumował Asklepiodes.

– To nie wszystko. Kilka dni temu, powodowany po prostu ciekawością, zawędrowałem na plac w macedońskich koszarach. Dostrzegłem jakąś machinę wojenną, dopiero co budowaną. Podeszedłem bliżej, aby się przyjrzeć. Ten prostak Memnon przegnał mnie, i to bardzo nieuprzejmie. Założę się, że gdybyśmy udali się teraz na plac, okazałoby się, że machina wojenna zniknęła bez śladu.

– Lecz jeśli, jak podejrzewasz, Ifikrates projektował maszyny wojenne dla Achillesa, to czemu on miałby zamordować konstruktora?

– I to właśnie stanowi dla mnie zagadkę – przyznałem. – Może Achilles zaproponował innym władcom jego projekty? To mogłoby naruszyć porozumienie tej dwójki. Dowiedziałem się, że przyjął wielką kwotę pieniędzy od Fraatesa z Partii za pewne szkice.

– A jednak – rzekł Asklepiodes – spójrz uważniej na działania Achillesa; czy były nielegalne bądź należałoby je uważać za formę prowokacji?

– Można je tak interpretować. Nasza polityka zagraniczna bywa zagmatwana. Skoro sprzymierzony król przyjmuje od nas pomoc i ochronę, zakładamy, że przywództwo wojskowe będzie naszą domeną. Takie mamy prawo jako najwspanialsza rasa wojowników w świecie. Kiedy spostrzeżemy, że taki władca wzmacnia swoje systemy obronne, musimy założyć, że umacnia swoją pozycję przeciwko nam, jako że mając nas za przyjaciół, nie ma się czego obawiać.

Asklepiodes chrząknął znacząco, wyrażając w ten sposób swój sceptycyzm.

– Może być też tak, że nie bacząc na wagę wszelkich argumentów, niektórzy władcy nie są aż tak pewni ochrony przez Rzym, jak ty, panie.

– Och, przyznam, że czasem ucierpią, zdarzy się jakaś masakra lub któreś ich miasto zostanie splądrowane, nim legiony przybędą na pomoc, lecz generalnie można na tym systemie polegać. Niekiedy burzymy część murów obronnych stolicy, aby sprawdzić wzajemne zaufanie. Jeśli zaczną je odbudowywać, nie informując nas wcześniej o tym, wiemy, że coś knują. Porozumienie z Egiptem nie jest aż tak sformalizowane, lecz to nagłe zainteresowanie udoskonalonymi rodzajami broni jest wysoce podejrzane.

– A czy nie ma innych wrogów, których istnienie uzasadniałoby takie przygotowania?

– Odkąd zmarł stary Mitrydates, a Tigranesowi wytrąciliśmy oręż z ręki, nie ma innego wroga. Partia jest za daleko.

– To może bunt niezadowolonych możnych? Słyszałem pogłoski, że niektóre nomy się zbroją i ignorują rozkazy Aleksandrii.

– To robota dla piechoty i kawalerii – zbagatelizowałem. – Zwiedziłem większość ziem aż po pierwszą kataraktę. Nie ma tam fortyfikacji godnych uwagi. Tę część Egiptu przed najazdem obcych ludów chroni pustynia. Jedyne miasta, otoczone murami, znajdują się tutaj, w delcie, a wszystkie pozostają pod władztwem Ptolemeusza.

– W takim razie wydaje się, że twoje podejrzenia są naprawdę uzasadnione. Co zamierzasz z tym zrobić? Twój przełożeni nie są ludźmi skłonniymi do podejmowania działań w trybie pilnym.

– Nie, muszę zebrać więcej dowodów. Mam całkowicie bezzasadną reputację wicherzyciela, będą więc przyglądać się sceptycznie wszystkiemu, co im przekażę. Dlatego potrzebuję niezbitych dowodów.

– A jak zamierzasz zgromadzić informacje?

– Myślę, że przyda się mała podróż.

Pożegnałem Asklepiodesa i poszedłem do biblioteki. W ogromnym pomieszczeniu, przesiąkniętym zapachem kurzu i książek, słychać było szmer głosów czytających mędrców. Mimo rozmiarów gmachu w środku nie było ciemno. Światło obficie wpadało przez niewiarygodnie wielkie *clerestorium* i liczne świetliki o nieskazitelnie przejrzystym szkłe. We wnętrzu zastosowano wyłącznie biały marmur, aby jak najlepiej wykorzystać wpadające światło. Dzieła sztuki przedstawiały bogów w trakcie nauki: Apolla, Atenę, Tota o głowie ibisa oraz innych. Obok nich stały popiersia wielkich filozofów. Ściany aż po *clerestorium* wyłożono ukośnymi, podłużnymi skrzynkami, w których składano zwoje. Podobnie jak w piwnicach dzbany z winem, tak i tu każdy schowek miał swój opis, informujący o zawartości.

Dzięki wskazówkom dyżurnych dotarłem do ksiąg z Pergamonu i odnalazłem Eumenesa z Eleusis, nadzorującego przepisywanie jakiegoś drogocennego zwoju.

– Czy mogę w czymś pomóc, senatorze? – spytał uprzejmie.

– Mam nadzieję, że tak. Chodzi o książkę, która zniknęła z pracowni

zmarłego Ifikratesa. Powiedziałaś, że to dzieło Bitona *O machinach wojennych*.

– Owszem.

– Czy masz może jego kopię?

Skwapliwie kiwnął głową i wyjaśnił.

– Kopiujemy wszystkie dzieła, które przybywają do biblioteki. Dzięki temu drogocenne oryginały mniej się niszczą.

– A jednak Ifikrates nalegał, że chce dostać oryginał?

– Wręcz stanowczo zażądał. Powiedział, że nie życzy sobie mieć do czynienia z nieuniknionymi błędami kopistów.

– Rozumiem. Czy mógłbym zerknąć na kopię?

– Oczywiście, senatorze.

Poszedłem za nim. Liczne zwoje spoczywały na swych półkach, a z uchwytów zwisały im plakietki. Szybko przebiegł wzrokiem podpisy i wyciągnął odpowiedni zwój z miejsca jego spoczynku. Był zdecydowanie mniejszy niż masywny oryginał, który widziałem w pracowni Ifikratesa.

– Czy to już całość?

– Tak, to nie jest długie dzieło. Jeśli chciałbyś, panie, je przejrzeć, rozwijaj zwój ostrożnie. Prawdopodobnie nikt do niego nie zaglądał od niemal 100 lat, czyli od jego powstania.

– Jak to się stało, że Muzejon dysponuje oryginałem, stworzonym przecież dla Attalosa I z Pergamonu? Spodziewałbym się go raczej w pergamońskich zbiorach.

Władcy Pergamonu założyli bibliotekę wzorowaną na aleksandryjskiej i w owych czasach plasowała się ona na drugim miejscu po aleksandryjskiej.

– Poprzedni Ptolemeusz... cóż... pożyczył zwój, aby zrobić z niego kopię. Przez przeoczenie zwrócono... doskonałą kopię... a nie oryginał.

– Czy aby na pewno było to przeoczenie?

– Cóż... właściwie mamy kilka tysięcy manuskryptów, pochodzących z tej biblioteki.

To pięknie. Król czy żołnierz piechoty – wszyscy Macedończycy to złodzieje.

– Tam jest kilka wolnych stolików, senatorze, jeśli chciał byś, panie, przeczytać to dzieło teraz.

– Szczerze mówiąc, wolałbym zabrać je do siebie i przestudiować w spokoju, jeśli to możliwe.

– Naprawdę wolelibyśmy nie wypożyczać dzieł poza bibliotekę, senatorze. Odkąd zniknął oryginał, to jest jedyna kopia, jaką mamy.

– Jeśli doprowadzę śledztwo do końca, to z pewnością zwrócę wam oryginał – obiecałem, trzymając mocno zwój.

– No dobrze. Ponieważ nasz władca chce zadowolić Rzym jak się tylko da, sądzę, że tym razem możemy uczynić wyjątek.

– Ze szczerego serca dziękuję w imieniu swoim, senatu i ludu rzymskiego – skłoniłem się.

Po powrocie do placówki dyplomatycznej odwiedziłem Kretyka. Właśnie starannie przeglądał korespondencję z Rzymu i z innych stron imperium.

– Panie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wziąć parę wolnych dni i wybrać się na polowanie.

Uniósł głowę, patrząc na mnie podejrzliwie.

– A od kiedy oddajesz się bardziej forsownym rozrywkom niż oglądanie wyścigów rydwanów? Co ty kombinujesz?

– Potrzebuję trochę ruchu. Dość już tej spokojnej gnuśności.

– Szczerze mówiąc, nie masz tu wiele do roboty. Zabierzesz Julię ze sobą?

– Uważam, że nie byłoby to stosowne, panie. Jeszcze nie jesteśmy po ślubie.

– Dbasz o *stosowność* swoich działań? No to mam pewność, że coś przede mną ukrywasz. A co tam słychać w sprawie o morderstwo, którą prowadzisz?

– Nic się nie stanie, jeśli zostawię wszystko na kilka dni.

– No to jedź. I trzymaj się z daleka od problemów.

Hermes był nie mniej zdumiony, gdy poinformowałem go o swoich planach.

– Polowanie? Masz na myśli polowanie na *zwierzęta*? – dopytywał się zdezorientowany.

– A na co jeszcze można polować? No, poza zbiegłymi niewolnikami...

– Nigdy wcześniej tego nie robiłeś.

– Tym bardziej chcę zapolować. Idź, wyszukuj nam jakiś sprzęt myśliwski. Tutaj można przecież znaleźć stroje i wyposażenie, odpowiednie do różnych zajęć. Wyruszamy jutro, gdy tylko światła będzie dość, żeby cokolwiek widzieć.

Złorzecząc pod nosem i kręcąc z niedowierzaniem głową, oddalił się, by wykonać moje polecenie.

Znalazłem sobie zaciszny kącik i wziąłem dzban wina. Siadłem wygodnie,



aby zgłębiać dzieło Bitona. Zsunąłem twardą skórzaną oprawę i zacząłem ostrożnie rozwijać trzeszczący zwój. Kopię, w przeciwieństwie do oryginału, wykonano na egipskim papirusie. Pewnie i z tego powodu zmniejszyła się jej objętość.

Biton zaczął od dziejów machin wojennych. Wśród Babilończyków i Egipcjan były one stosunkowo proste i rzadko się nimi posługiwano, u Greków zaś początkowo były jeszcze rzadsze. Armia grecka, która oblegała Troję, nie posługiwała się nimi, nie licząc drewnianego konia, którego niezupełnie można zaliczyć do tej samej kategorii. Lecz im częściej oblegano ufortyfikowane miasta, tym bardziej potrzebne były maszyny wojenne. Najpierw używano zwykłych wież, umożliwiających szturmowanie murów, obudowanych platform na kółkach, w których mogli się chronić atakujący, oraz różnych rodzajów urządzeń służących do miotania pocisków. Aleksander rozgrywał bitwy przeważnie w otwartym polu, rzadko więc posługiwał się takimi urządzeniami.

Później nadeszła epoka diadochów. Ci ludzie nie znali nowych ziem, które mogliby podbić, więc bez końca toczyli między sobą boje o resztki imperium Aleksandra. A to oznaczało przede wszystkim przejmowanie cudzych portów, fortec, stolic. Taki rodzaj działań wojennych wymagał machin i tu diadochowie objawili podobną manię wielkości jak we wznoszeniu budynków.

Wyróżniał się szczególnie Demetriusz Poliorketes, zwany „tym, który oblega miasta”, syn Antygonosa Jednookiego i największy miłośnik militariów w dziejach. Zaprojektował najosobliwsze i z pewnością największe maszyny wojenne, jakie kiedykolwiek wymyślono. Wznosił wieże oblężnicze na złączonych statkach, aby atakować mury portu. Wybudował też wieże wysokie na trzydzieści metrów, wyposażone w dziesiątki katapult i całkowicie pokryte żelazem.

Inne wynalazki niezbyt się od nich różniły. Dionizjos, tyran Syrakuz, stworzył coś w rodzaju wojskowej akademii technicznej, gdzie najlepsi konstruktorzy pracowali nad udoskonalonymi modelami okrętów oraz nowymi typami zbroi i uzbrojenia.

Wszystkich tych działań zaprzestano wraz z nastaniem panowania rzymskiego. Pokonaliśmy wszystkich, ponieważ wiedzieliśmy, że najskuteczniejszą bronią jest rzymski legionista oraz sposób organizacji legionu. Dzięki rzymskim legionom nawet przeciętni dowódcy odnosili jedno

zwycięstwo za drugim z monotonną regularnością. Błyskotliwy dowódca, taki jak Cezar (nawet teraz przyznaję to z niechęcią), mógł dokonywać cudów. A diadochowie nieustająco wdawali się w kolejne utarczki. Tylko w tym byli dobrzy. Rzymianie cenili prawo i jasne zasady. Byli jednak tacy ludzie, którzy wierzyli, że nieuniknione rozszerzanie się rzymskiej władzy można powstrzymać. Uważali, że jest taka magiczna broń, która umożliwi im pokonanie niezwyciężonych legionów.

Później następował dłuższy tekst z rysunkami, przedstawiającymi różne maszyny, w tym zdumiewające monstra Demetriusza. Ostatnia część dotyczyła systemu obronnego Syrakuz, zaprojektowanego przez wielkiego Archimedesesa. Wspominano tu o zwierciadłach zapalających, lecz brak ich opisu. O dźwigu do podnoszenia statków, wysmianym przez Ifikratesa, nie znalazłem ani słowa. Jego opis podali zapewne autorzy późniejszego ustnego przekazu. Była natomiast informacja o przypominającym dźwig urządzeniu, które potrafiło rozhuścić nad portem ciężary, aby cisnąć je w atakujące statki. Z ogromną siłą przebijały pokłady i kadłuby, powodując zatonięcie jednostek. Może i stąd wzięła się ta opowieść.

Kiedy skończyłem czytać, światło już dogasało, a mój dzban był niemal pusty. To była fascynująca lektura, lecz nie wszystkie zagadnienia wyjaśniała. Wciąż nie wiedziałem, dlaczego morderca zabrał zwój. Musiał wiedzieć, że istnieje przynajmniej jedna kopia, a z pewnością w innych krajach było ich więcej. Czy to możliwe, że Ifikrates zanotował coś na oryginale? To wydawało się niezbyt prawdopodobne. Bibliotekarze uznaliby to za profanację. Tekst i rysunki z pewnością mogłyby się przydać dowódcy wojsk inżynieryjnych, oblegających miasto lub fort, lecz nie dostrzegłem w tym dziele niczego, co mogłoby przekonać choćby najbardziej łatwowiernego kandydata na imperatora, że jest możliwe zachwianie równowagi w świecie rządzonym przez Rzym. Musiało być coś poza tym. Coś, co znajdowało się wyłącznie w oryginale Bitona, napisanym dla Attalosa ponad sto lat temu.

## Rozdział 7

U bierałem się w strój myśliwego przy świetle lampy. Hermes znalazł go w doskonale wyposażonej garderobie naszej placówki. Tunika była ciemna, barwy rdzawoczerwonej z podwójnymi oliwkowymi pasami, biegnącymi od ramion po skraj. Wysokie obuwie z czerwonej skóry elegancko wykończono cętkowaną skórą serwala. Na goleniach dyndały delikatne łapki zwierza. Strojowi nie brakowało fantazji, więc żałowałem, że Julia nie będzie miała okazji mnie w nim zobaczyć.

Hermes czekał na mnie przed drzwiami placówki i ruszył za mną. Dźwigał pozostały sprzęt: krótkie myśliwskie włócznie, zrolowane dwa płaszcze, torbę z jedzeniem na drogę i spory bukłak wina.

– Nie będę musiał tego daleko nosić, prawda? – marudził.

– Hermesie, jak ty byś sobie dał radę w legionie? Czy wiesz, co musi nosić żołnierz?

– No i co z tego? – spytał zadziornie. – Legiony są dla obywateli. Założę się, że ty nigdy nie musiałeś wiele nosić. Byłeś jednak dowódcą.

– Odpowiadam na twoje pytanie: większość podróży odbędziemy łodzią.

Najpierw jednak czekał nas spory kawałek drogi na piechotę. Tak wcześniej całe miasto wydawało się opustoszałe. Gdy mijaliśmy macedońskie koszary, było już wystarczająco jasno, żeby stwierdzić, iż – tak jak przewidywałem – nigdzie nie było widać tamtej maszyny wojennej. Dotarliśmy do Drogi Kanopskiej, którą przemierzaliśmy niemal całą Aleksandrię, aż do kanału, przecinającego Rakotis z północy na południe,

łączącego port Kibotos z Nilem i jeziorem Mareotis.

Zatrzymaliśmy się przy moście nad wodnym traktem. Hermes odłożył wszystkie manatki, oddychał ciężko. Zszedłem po schodach tuż przy moście na szeroką ścieżkę, biegnącą wzdłuż kanału. Pełno tam było łodzi i tratw, należących głównie do wieśniaków, którzy przywozili swoje produkty na miejskie targowisko. Trochę dalej zauważyłem podróżne barki do wynajęcia. Załogi siedziały w środku. Kiedy podszedłem do doku, zbliżył się do mnie zarządca barek, bacznie przypatrując się mojemu strojowi.

– Czy chcesz się udać na polowanie, panie? Niedaleko stąd można spotkać lwy, gazy, oryksy...

– Nie zdecydowałem jeszcze, na co będę polować – odpowiedziałem. – Czy jest tu łódź, którą co miesiąc udawał się na wyprawę Ifikrates z Chios?

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Zwrócił się po egipsku do mężczyzn na barkach. Jeden z nich wstał i zszedł na brzeg. Zamienił kilka słów z zarządcą, który mnie poinformował:

– Ten człowiek pływał z Ifikratesem trzykrotnie.

– Powiedz mu, że chcę się udać tam, dokąd popłynął Ifikrates.

Tym razem rozmowy trwały nieco dłużej i uzgodniliśmy zapłatę. Hermes z pomocnikiem umieścili nasze rzeczy w małej barce, a ja się wygodnie usadowiłem na dziobie. Mężczyzna zajął miejsce przy sterze i uniósł drąg. Poczęliśmy cicho płynąć przez budzące się miasto.

Nasz przewodnik był egipskim wodniakiem. Miał krótkie, pałkowate nogi i zapewne nieczęsto zdarzało mu się wędrować lądem. Greką posługiwał się słabo, a po łacinie nie znał ani słowa. Kierował swoją jednostką w ciszy i pogodnie. Kojarzył się z malowidłem naściennym.

Wkrótce znaleźliśmy się w kanale, który przekopano u brzegu jeziora. Wielką, podwójną, opuszczaną kratę uniesiono wraz z nadejściem dnia. O tej porze ruch kanałem odbywał się na ogół w kierunku miasta. Naprawdę niewiele je opuszczało. Minęliśmy odnogę, wiodącą do Nilu, i skierowaliśmy się ku jezioru. Odwróciłem się i zawołałem do sternika:

– Czy Ifikrates wpływał na Nil, aby mierzyć jego przypływy i odpływy? Czy badał jego brzegi?

Nie byłem pewien, czy zrozumiał całe pytania, lecz coś pojął.

– Płynął na jezioro – odparł.

Wkrótce znaleźliśmy się na spokojnych wodach Mareotis. Niskie brzegi jeziora graniczyły z bagnami, porośniętymi papirusami. W trzcinach

buszowały kaczki, gęsi i rybitwy, czaple, a z rzadka pojawiał się brodzący ibis. Mijaliśmy płycizny, gdzie baraszkowały hipopotamy. Uśmiechnięte paszcze i komicznie trzepoczące uszy przeczyły ich z gruntu wrogiej i nieokrzesanej naturze. Hermes wytrzeszczył oczy, widząc te wielkie dzikie bestie z bliska.

– Zaatakują nas? – spytał.

– Nigdy wcześniej się ich nie bałeś.

– Ale wtedy byliśmy na większej łodzi. Te stwory mogłyby nas połknąć jednym kłapnięciem.

– Gdyby tylko miały takie skłonności. Ale są roślinożerne. Tak długo, jak trzymamy się od nich z daleka, nie będą nas niepokoić. Lecz to – wskazałem coś, co przypominało dryfujący pień – zjadłoby cię bez wahania, gdybyś wpadł do wody.

Stwór tak jakby mnie usłyszał, odwrócił się i wpatrzył się w nas połyskliwym okiem. Hermes pobladł.

– Dlaczego nie wytepią tych potworów?

– Krokodyle to święte zwierzęta boga Sobka. Mumifikują je i składają w świątynnych kryptach.

– Egipcjanie! Czy jest cokolwiek, czego nie czczą i nie mumifikują?

– Niewolnicy – zauważyłem. – Nie ma boga niewolników.

– I Rzymian, idę o zakład – dorzucił.

Wolno płynęliśmy na wschód, w kierunku Delt, aż słońce znalazło się niemal w zenicie. Opłynęliśmy mały, płaski przylądek i przybiliśmy do kamiennego pomostu, sterczącego z wody. Nasz sternik obrócił łódź dziobem do przystani.

– Co to takiego? – spytałem go.

– To właśnie tu wysiadał ten człowiek z Muzejonu.

W oddali, wśród pól uprawnych widać było ogromne domostwo.

– Czyja to posiadłość?

Wzruszył ramionami.

– Króla albo kogoś znacznego.

Bardzo ogólna odpowiedź. W zasadzie wszystko należało do króla albo ludzi znaczących.

– Płyn dalej – poleciłem – powiem ci, gdzie przybić do brzegu.

Odwrócił się od przystani. Przy mostku nie widziałem nikogo. O ile mogłem to stwierdzić, nikt nas nie obserwował. Tak czy inaczej, miało to

niewielkie znaczenie, gdyż poza nami na jeziorze tego ranka pływali także inni. Łowcy ptactwa i rybacy oddawali się swoim zajęciom, a łodzie transportujące produkty z plantacji opływały jezioro. Barki podobne do naszej z wielkimi pakami trzciny papirusowej płynęły do wytwórni papieru w Aleksandrii. Właściwie nie było tłoczno, lecz jedna więcej łódź nie powinna zwrócić niczyjej uwagi.

Około mili na wschód od mostka dostrzegłem mały prześwit, wiodący przez trzciny ku brzegowi.

– Tam nas wysadź.

Barka zaryła dziobem w mieliźnie piaszczystego wybrzeża, porośniętego palmami. Rozpakowaliśmy sprzęt i rozłożyliśmy go wśród drzew. Nasz sternik rozglądał się dokoła z podejrzliwym wyrazem twarzy i powiedział:

– Nie bardzo jest tu na co polować.

– Zaryzykujemy – odpowiedziałem. – Wróc tu po nas jutro o tej samej porze, a zapłacę ci dwa razy więcej niż dzisiaj.

I tak było mu wszystko jedno, więc się zgodził. Niezależnie od kraju wszyscy uważają obcokrajowców za wariatów. Dlatego kiedy nie jest się u siebie, ekscentryczne zachowania uchodzą na sucho. Odepchnął drągiem barkę od wybrzeża i wkrótce zniknął nam z widoku. Zanieśliśmy sprzęt w wysokie zarośla, aby go skryć przed niepowołanymi oczyma, i położyliśmy się w cieniu palm.

– No dobra – Hermes domagał się wyjaśnień. – Dlaczego tu jesteśmy? Bo na pewno nie po to, żeby polować.

Wzdrygnął się, gdy z pobliskich krzaków dobiegł nas jakiś dźwięk. Uspokoił się, kiedy zobaczył, że to tylko zaniepokojony ibis.

– Ifikrates co miesiąc udawał się w podróż. Utrzymywał, że jego celem jest mierzenie poziomu wód Nilu i obserwacja wybrzeża. Lecz właśnie się dowiedziałem, że nie dotarł nawet w poblizze rzeki. Pojawił się natomiast przy tej posiadłości. Proponuję więc, byśmy się dowiedzieli, co tam porabiał.

– Skoro kłamał, mówiąc dokąd się wybiera, to na pewno miał jakiś powód – Hermes zaprezentował typową logikę niewolnika, wietrząc podstęp. – Lecz czy to będzie niebezpieczne?

– Z pewnością. Dlatego postaram się zminimalizować ryzyko, jak się tylko da. Wielu podróżników polowało w egipskiej głuszy, dlatego to, że opuściliśmy miasto, nie powinno wzbudzić podejrzeń. Zamierzam zbadać tę posiadłość, ale zrobię to bardzo ostrożnie. Teraz jest zbyt wcześnie.

Wyruszymy, kiedy słońce będzie niżej.

– My? – zdumiał się Hermes.

– Tak, my. Spodoba ci się, Hermesie. Lubujesz się w takich rozrywkach.

– Masz na myśli to, że powinienem się cieszyć na myśl, że zostanę pojmany i torturowany za szpiegostwo?

– Nie, Hermesie, sądzę, że wolisz *nie zostać złapany*.

Ułożyliśmy się możliwie wygodnie i przespaliśmy przedpołudnie oraz znaczną część popołudnia. W chłodzie wczesnego zmierzchu roznieciliśmy niewielkie ognisko, na którym zwęgliłem nieco porowatego, zbutwiałego palmowego drewna, po czym natychmiast wygasiliśmy ogień, aby dym nie zdradził naszej obecności.

Parę lat wcześniej służyłem pod rozkazami swego krewniaka Kwintusa Cecyliusza Metellusa Piusa w Hiszpanii w czasie buntu Sertoriusza. Nie widziałem żadnej bitwy w otwartym polu, lecz walczyłem z przeciwnikiem w górach. Uważano, że to niegodna kampania. Dowodzenie żołnierzami w dużych konwencjonalnych bitwach uważano za niezbędne doświadczenie, jeśli ktoś marzył o karierze politycznej po powrocie do domu. Jednak owe starcia wykształciły we mnie cenne umiejętności. Nasz iberyjski górski zwiad nauczył mnie podstaw swego rzemiosła, co teraz miało mi się przydać w Egipcie.

Gdy kończyliśmy przygotowania do wymarszu, Hermes przebierał niecierpliwie nogami. Od kilku godzin nie opuszczała go histeria. Jako prawdziwe dziecko metropolii, był pewien, że otwarta przestrzeń pełna jest dzikich, wygłodniałych bestii, żądnych ludzkiego – jego – mięsa. Każde zawirowanie wody uważał za wychodzącego na brzeg krokodyla. Każdy cichy szelest w krzakach to musiała być kobra. Głośniejsze szelesty – to na pewno lwy. Skorpiony, które spotykał w Aleksandrii, stanowiły realniejsze niebezpieczeństwo, lecz ich się nie lękał. Z jakiegoś powodu ludzie często obawiają się, że zginą w niezwykłych okolicznościach. I nie dotyczy to tylko niewolników.

Poczerniłem sobie twarz węglem drzewnym, wymalowałem pasy na ramionach i nogach, po czym kazałem Hermesowi postąpić tak samo. Potem wytarzaliśmy się swawolnie w czerwonej glince z wybrzeża. Egipcjanie dzielą swoją krainę na Czerwoną i Czarną. Czerwoną zwą Górny Egipt, ciągnący się na południe, lecz tak naprawdę z dala od rzeki i Deltę ziemia wszędzie jest czerwona. Z pomalowanymi w pasy kończynami i twarzami,

w naszych ciemnoczerwonych tunikach, w zapadającym powoli zmierzchu wtapialiśmy się w otoczenie.

Wziąłem jedną z krótkich myśliwskich włóczni i poleciłem Hermesowi uczynić to samo. Trzymał ją jak gotową ugryźć żmiję. Pomyślałem, że będzie się z nią czuł jednak nieco pewniej. Wysmarowaliśmy groty sadzą i gliną, żeby nie odbijały światła i wyruszyliśmy.

Pierwsze pół mili przebyliśmy z łatwością. Trzcina i krzaki rosły tak bujnie, że mogliśmy iść wyprostowani. Było tam pełno zwierzyny, co irytowało mojego niewolnika. Zaniepokoił rodzinę małych, brzydkich prosiaków, a para hien zerkała z zarośli, bacznie nas obserwując. Szakal nastawił wielkie uszy w naszym kierunku. Szakale to dość atrakcyjne małe bestyjki, coś jak lisy.

– Hermesie – szepnąłem, kiedy podskoczył już chyba dwudziesty raz – jedyne naprawdę niebezpieczne stworzenia są jeszcze daleko przed nami. Poznasz je po tym, że będą nosić broń. – I to go uspokoiło.

Gęstwina porastająca brzegi jeziora skończyła się i nagle znaleźliśmy się na skraju pól uprawnych. Wzdłuż linii wysokich traw biegł nasyp ziemny, przypominający stromą groblę. Miał może ze trzy metry wysokości. Zapewne chronił pole przed sporadycznymi wylewami wód jeziora. Wdrapywaliśmy się nań na czworakach. Znalazłszy się na szczycie nasypu, spojrzałem na drugą stronę.

Widziałem ciągnące się tereny uprawne, a raczej ugory, porośnięte trawą i zamienione w pastwiska przynajmniej rok czy nawet dwa temu. Tak przynajmniej wyglądały. Kilka sztuk srokiego egipskiego bydła o wygiętych rogach pasło się spokojnie. W oddali majaczyły jakieś budynki i osobliwe obiekty, między innymi coś niczym wysoka wieża strażnicza. Chciałem się temu przyjrzeć z bliska, lecz wciąż było zbyt jasno, aby ryzykować pokonanie łąki. Z łatwością by nas stamtąd dostrzeżono. Kilkaset kroków na lewo rozpoznałem sad daktyłowców. Przykucnąłem za koroną grobli, a Hermes obok mnie.

– Nie zamierzamy przechodzić przez to pole, prawda? Pełno tam krowiego łajna, a te zwierzęta mają bardzo ostre rogi.

– Byków nie widzę wcale – odrzekłem. – Lecz nie martw się. Podkradniemy się przez ten sad daktyłowców i przyjrzymy się wszystkiemu z bliska, zza drzew.

Przytaknął z entuzjazmem. Naturalnie był podstępny i zakłamaný, a to



wszystko tak naprawdę mu się podobało, oczywiście poza zwierzętami.

Przeszliśmy paręnaście kroków i przekroczyliśmy wał. Po drugiej stronie znaleźliśmy się w chłodnym mroku sadu. Był zapuszczony tak jak pola. Owoce z poprzedniego sezonu leżały na ziemi, stanowiąc paszę dla prosiaków i pawianów. Nad głowami roiły się małpy, łapczywie pożerające tegoroczne plony.

– Jedno z najpiękniejszych gospodarstw rolnych w tych stronach – stwierdziłem – a ktoś dozwolił, by popadło w ruinę. To nietypowe dla Egipcjan.

Widok rzeczywiście ranił moją rzymską duszę. Hermesa to nie poruszyło, lecz cóż... niewolnicy zwykle ciężko pracują, podczas gdy my, właściciele ziemskich posiadłości, mamy coś w rodzaju sentymentu do wsi, który podsycają opowieści o naszych dzielnych przodkach oraz poezja bukoliczna.

Posuwaliśmy się przez sad wolno, wypatrując ewentualnych tubylców. W jednym miejscu stado pawianów wydarło się na nas, a potem wyły ze śmiechu, bombardując nas łajnem i daktylami. Nie przypominały tresowanych pawianów służących na królewskim dworze. Te tutaj były rozpasanymi, nieokiełznanymi bestiami, podobnymi do owłosionych karłów o długich, zwieszonych nochalach.

– Jak myślisz, czy hałas zdradził naszą obecność? – spytał Hermes, kiedy już zostawiliśmy je w tyle.

– Pawiany drą się przez cały czas. Wszczynają awantury i wydzierają się nie tylko na intruzów, lecz także na siebie nawzajem. Tutejsi mieszkańcy na pewno do tego przywykli.

Byliśmy na skraju sadu, skąd dostrzegliśmy dachy budynków, lecz trawa urosła tak wysoko, że nie sposób było zobaczyć cokolwiek innego, poza tą niebywale wysoką wieżą, która w promieniach zachodzącego słońca rozblęśla dramatyczną czerwienią. Hermes uniósł palec.

– A cóż to takiego? – wyszeptał.

– Chyba wiem, ale wolałbym się przyjrzeć z bliska – odszepnąłem. – Od tej chwili bądź cicho i poruszaj się ostrożnie. Obserwuj mnie i rób to samo co ja.

Rzekłszy to, położyłem się na brzuchu i począłem wolno pełznąć naprzód, podparty na kolanach i łokciach, ciągnąc włócznie przy boku. Był to żałośnie ślamazarny sposób poruszania się, lecz tak trzeba było. Rozpychałem łokciami trawę, czujnie wypatrując powszechnych w Egipcie węży. Nie

bałem się ich jak Hermes, lecz tylko głupiec lekceważy ewentualne zagrożenie. Kiedy jednak człowiek ślizga się na brzuchu jak gad, wkracza w domenę węży, by tak rzec, a wtedy musi być gotów się z nimi zmierzyć.

Po kilku minutach znalazłem się na skraju wysokich traw. Poczekalem, aż Hermes do mnie dopełzył. Powoli, niczym mimowicie, rozdzieliliśmy źdźbła przed sobą i wyjrzelismy na pole.

W otoczeniu wielkich budynków gospodarczych, typowej egipskiej architektury z glinianych cegieł, znajdowała się szeroka, pusta przestrzeń, gdzie było raczej ubite klepisko niż plac ćwiczeń. Lecz w istocie to *był* plac ćwiczeń, gdyż zapełniali go żołnierze. Choć żaden nie miał na sobie ani zbroi, ani hełmu, jednak rozpoznałem ich po ciężkich, żołnierskich buciorach i pasach do przypinania miecza. Bez nich czuliby się nadzy. Mieszana grupa Macedończyków i Egipcjan odbywała ćwiczenia z najdziwaczniejszą baterią machin wojennych, jaką widziano od czasu oblężenia Syrakuz.

Jedna ekipa obsługiwała urządzenie, które wyglądało jak sześć gigantycznych kusz, powiązanych razem. Wyglądało to dość niezgrabnie, lecz mina mi zrzędła, kiedy z niewiarygodnym świstem wystrzeliło ono sześć ciężkich oszczepów przez plac i trafiło w oddział wiklinowych manekinów. Machina zakołysała się, odciążona z ładunku. Niektóre groty przebiły cztery czy nawet więcej wiklinowych kukieł, nim straciły pęd.

W innej części placu mężczyźni pracowali przy ogromnej katapulcie z przeciwważem, o długim ramieniu podobnym do żurawia, zakończonym nosidełkiem zamiast zwyczajowego kosza. Żołnierze umieścili ciężki kamień w nosidełku i się wycofali. Padł głośny rozkaz: opuszczono przeciwwagę, a długie ramię śmignęło pełnym gracji łukiem. Zatrzymało się na wyłożonej linami poprzeczce, a nosidełko zatrzepotało po półluku, przyspieszając jeszcze bardziej. Wolny koniec cisnął kamień na tak niewiarygodną wysokość i odległość, że nie dosłyszeliśmy huk, który musiał towarzyszyć uderzeniu w cel.

Były też takie rodzaje broni, które wyglądały bardziej konwencjonalnie, jak na przykład ruchome żółwie, powiązane z taranami, o łbach właściwie osadzonych w brązie na kształt główki tarana z krętymi rogami, przez które – na podobieństwo augurów – można było słać przepowiednie za mury; małe, szybkostrzelne katapulty, plujące kamieniami i oszczepami, a ponadto jeszcze wiele innych. Jednak nad wszystkim dominowała ustawiona na środku wieża.

Miała przynajmniej sześćdziesiąt metrów wysokości i była całkowicie pokryta żelazem. To dlatego z daleka mieniła się rudawo. Na różnych poziomach z tej konstrukcji wystawały tarasy, z ustawionymi na nich katapultami, chronione za pomocą ruchomych tarcz. Raz na jakiś czas z przedniej ściany wychylała się w przód i w górę płyta i łukiem leciał pocisk, po czym płyta natychmiast opadała.

– To właśnie, że odpowiem na twoje wcześniejsze pytanie, jest coś niezwykle podobnego do konstrukcji „zdobywcy miast” Demetriusza, największej wieży oblężniczej, jaką kiedykolwiek zbudowano, lecz sądzę, że ta tutaj może być nawet większa.

I wtedy, wśród straszliwych zgrzytów i pisków, gigantyczna konstrukcja się *poruszyła*. Szarpnęło nią i wolno, z trudem wystartowała. Mężczyźni wewnątrz maszyny i na jej szczycie wiwatowali. Oczywiście, należy się spodziewać tego, że wieża oblężnicza będzie się poruszała, inaczej niewielki byłby z niej pożytek, lecz takie maszyny zawsze są ciągnięte przez woły albo słonie, albo przynajmniej przez tłum niewolników lub więźniów. To niezwykle urządzenie poruszało się, choć nie było widać żadnej siły pociągowej. Poza tym ruch czegoś tak monstrualnego wydawał się przeciwny naturze. Gdyby nie to, że była już tak nisko, że niżej się nie dało, szczęka by mi opadła.

– To magia! – zapiszczał Hermes. Próbował się unieść, lecz zdążyłem chwycić go za ramię i z miejsca osadzić.

– To nie magia, głupi szczeniaku! Działa jakiś wewnętrzny mechanizm napędowy, coś w rodzaju kołowrotu czy wału, pewnie ma dużo rozmaitych elementów, jakieś koła zębate. Dopiero co ostatniej nocy studiowałem rysunki podobnych konstrukcji.

Właściwie miałem nikłe wyobrażenie, co to mogło być. Najbanalniejsze młyńskie koło wydawało mi się ogromnie skomplikowanym urządzeniem. A jednak wolałem myśleć, że da się to wyjaśnić za pomocą mechaniki. Moja wiara w cudowne zjawiska była znikoma. Poza tym gdyby Egipcjanie dysponowali magią o tak dużej mocy, to jak zdołalibyśmy nimi tak łatwo manipulować?

Rozbrzmiał dźwięk trąbki. Wszyscy żołnierze mechanicy zostawili narzędzia i maszyny. Dzień pracy się skończył. Z wieży wyszło może ze dwudziestu mężczyzn. Na ostatek wymaszerowało stamtąd około trzydziestu wołów. Chwilę później weszła do środka brygada niewolników z kosztami

i szuflami, aby posprzątać po zwierzętach. I tyle w kwestii magii.

– Dość już widzieliśmy? – spytał Hermes.

– Nasz sternik przybędzie dopiero jutro. Chcę się temu wszystkiemu przyjrzeć z bliska. Wracajmy do sadu. Musimy poczekać, aż się wystarczająco ściemni.

Wróciliśmy tą samą trasą, czołgając się, aż poczuliśmy się bezpiecznie między drzewami.

Dwie godziny później znów przedzieraliśmy się przez trawy, tym razem szliśmy skuleni. Powoli, niezwykle ostrożnie zbliżaliśmy się do placu ćwiczeń. Gdyby to było rzymskie obozowisko, już by nas zatrzymały straże, lecz wśród leniwych i niekompetentnych barbarzyńców żołnierski fach niewiele się różnił od plemiennych potyczek na ich rodzimych terytoriach. To, że uważali, iż znajdują się na własnym terenie, gdzie w promieniu półtora kilometra nie ma żadnego wroga, nie stanowiło usprawiedliwienia. Legiony fortyfikują każdy obóz, nawet jeśli pozostają w zasięgu wzroku strażników z murów Rzymu. Lecz dla nas ta sytuacja była dogodna.

Machiny wyglądały w blasku księżyca jak martwe potwory. Podeszliśmy do nich. Zostały wykonane z drewna, starannie przyciętego i obrobionego. Wypiaskowano je na gładko, a miejscami również pomalowano. Wieże oblężnicze buduje się zwykle w miejscu konfliktu zbrojnego, z jako tako oheblowanego drewna i często porzuca się po zakończeniu walki, tyle że zabiera się części żelazne oraz liny.

Nawet moje niedoświadczone oko dostrzegło jednak, że do konstrukcji tych machin użyto gwoździ i klinów, aby dało się je rozłożyć i przetransportować. I to, jak się domyślałem, była innowacja wprowadzona przez Ifikratesa. W Egipcie jest niewiele drewna poza palmowym, materiałem miękkim i włóknistym, nieodpowiednim do takich celów. To drewno musiało zostać skądś sprowadzone i przywiezione statkami.

Podeszliśmy do podstawy wieży, z której cuchnęło nieprzyjemnie.

– Co tak śmierdzi? – zapytał Hermes.

– Aby takie kolosalne urządzenie zabezpieczyć przed rdzewieniem, potrzeba sporo oliwy – odparłem. – A tu jest jej dość na uzbrojenie trzech legionów.

Wskazałem na platformę, która w miejscu mocowania miała nieco luzu. To był metal dobrej jakości, o grubości mniej więcej pancerza. Podeszedłem do platformy od tyłu i zajrzałem do środka, lecz było zbyt ciemno, aby

cokolwiek zobaczyć. Przez otwory wpadała tylko odrobina światła. Mimo wysiłków niewolników wewnątrz śmierdziało wolimi odchodami. Odór ten wraz ze smrodem zjełczałej oliwy spowodowały, że się stamtąd wycofałem.

W innych machinach łatwiej się rozeznałem. Wszystkie genialnie zaprojektowano i starannie zbudowano. A im prostsza była machina, tym łatwiej było zauważyć innowacje autorstwa Ifikratesa. Dotyczyło to choćby ich transportu i montażu.

– To co teraz robimy? – niecierpliwił się Hermes, kiedy zszedłem z platformy.

– Moglibyśmy się przyjrzeć tym budynkom – odpowiedziałem – lecz to zapewne tylko koszary lub magazyny. To, co najważniejsze, dzieje się w Aleksandrii. Tu tylko zbudowali prototypy do ćwiczeń i zgromadzili arsenał.

Namyślałem się przez chwilę.

– A to by było, gdyby zaproszyć tutaj ogień.

– Zróbmy to! – w jego głosie usłyszałem prawdziwą radość. – Mógłbym zwędzić pochodnię z któregoś z tych budynków, a w magazynach musi być pełno dzbanów z oliwą, aby to wszystko regularnie smarować. Paliby się wszystko, nimby się zorientowali w czym rzecz!

W Rzymie podpalenie uważano za straszliwą zbrodnię, dlatego ekscytowała go myśl o przestępstwie, którego nie mógłby raczej popełnić u siebie.

– Jednak wtedy przeczeszą cały teren, aby znaleźć winowajców. Może i nie są to prawdziwi żołnierze, lecz zapewne potrafią odnaleźć zbiegów.

– No to może dajmy sobie spokój.

– Poza tym potrzebuję tego wszystkiego jako dowodu.

– Dowodu na co?

Trafne pytanie. Rzym oceniłby bardzo nieprzychylnie to przedsięwzięcie, lecz czy senat podjąłby wówczas jakieś działania? Raczej w to wątpiłem. No i jak się to wszystko miało do morderstwa Ifikratesa? To były kwestie otwarte. Tymczasem cichaczem wracaliśmy na brzeg jeziora.

## Rozdział 8

Jednym z wymogów, jakie obowiązkowo trzeba spełnić, aby rozpocząć karierę polityczną w Rzymie, jest uciążliwa praktyka w służbach publicznych. Nikt tego nie lubi, ale przynajmniej można się nauczyć, jak *działa* państwo. Królowie natomiast często rządzą źle, ponieważ życie narodu oglądają tylko z wyżyn tronu. Czerpią przyjemność z prerogatyw płynących z władzy: walki z wrogami i ich zabijania, kierowania innymi, stania ponad prawem, a reszta zagadnień ich nuży. Zostawiają je innym ludziom, często eunuchom, którzy mają własne ambicje. Nie rozumiejąc mechanizmów władzy, królowie nie zauważają, gdy niekompetentni dworacy ich okradają, a niekiedy nawet usiłują obalić.

Obmyty z błota i sadzy, ponownie przywdziawszy odpowiedni ubiór, stawilem się w urzędzie administrującym ziemiami. Zajmował całkiem spory budynek nieopodal pałacu. Wiedziałem, że znajdę tutaj dokumentację zawierającą wyrysowane granice i dane właścicieli każdego najmniejszego spłachetka ziemi w tym kraju. Egipcjanie posiadli sztukę ciągłej aktualizacji z konieczności, gdyż ich ziemie są każdego roku zalewane i cofająca się woda często wymywa kamienie, wyznaczające granice. Ptolemeusze, jak to zwykle zdobywcy, podtrzymywali większość dochodowych działań podbitych ludów, a w tym urzędzie pracowali niemal wyłącznie rodowici Egipcjanie. W pierwszym pokoju, do którego wszedłem, podbiegł do mnie niewolnik i zgiął się w pół.

– Czym mogę służyć, panie?

– Gdzie znajdę mapy i dokumenty ziem okolic Aleksandrii?

– Proszę iść ze mną.

Mijaliśmy pomieszczenia, w których skrybowie siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, zgodnie z egipskim obyczajem. Papirus spoczywał na ich mocno naciągniętych kiltach, w dłoniach mieli pędzle. Pojemniki z tuszem stały obok, na podłodze. Inni pracowali nad mapami, rozciągniętymi na długich stołach.

– Tu mamy biuro królewskiego nomarchy, senatorze. A oto i Sethotep, królewski nadzorca północnych włości.

Mężczyzna wstał zza stołu i podszedł ku mnie. Był rodowitym Egipcjaninem, zwyczajnie ubranym, lecz nauczyłem się już, że zamożność należy tu oceniać po jakości peruki i kiltu. Sethotep był wysokim urzędnikiem, mniej więcej odpowiednikiem rzymskiego *ekwity*. Wymieniwszy się z nim należnymi grzecznosciami, wygłosiłem przygotowane wyjaśnienia.

– Rozpocząłem prace nad dziełem o geografii Egiptu. Od ponad pięćdziesięciu lat nie ukazało się żadne po łacinie, a wcześniejsze prace to przekłady z greki. Wciąż odkrywam w nich zadziwiające błędy. Uznałem więc, że potrzebujemy własnego, oryginalnego dzieła.

– Pomysł godny pochwały – przyznał Sethotep.

– Już przedsięwziąłem pewne kroki – badałem topografię Aleksandrii, a teraz chciałbym zacząć od opisu okolicznych ziem, poczynając od jeziora Mareotis i przyległych terenów. Czy macie jakiegokolwiek mapy jeziora? Wolałbym mapy przeglądowe, wymieniające posiadłości w danej okolicy oraz ich właścicieli.

– Oczywiście, senatorze – przytaknął usłużnie Sethotep. Podszedł do kaset, podobnych do tych, jakie widziałem w bibliotece, i wyjął ogromny zwój.

– Rzecz jasna, ziemie w Egipcie należą do Jego Wysokości Ptolemeusza, lecz wedle pradawnego obyczaju król obdarza rozległymi posiadłościami lojalnych arystokratów.

I to właśnie chciałem usłyszeć. Przeniósł mapę na długi blat i wysunął zwój ze skórzanej tuby. Aby zrobić miejsce na dokument, zgarnął jakieś skrawki papirusu, obejrzał je pobieżnie i wrzucił do wielkiego pudła, ustawionego przy końcu stołu, które było zapełnione do połowy. Egipska biurokracja zużywała zapewne dziesięciokrotnie więcej papirusu niż

rzymska. Jednak produkt ten był w Egipcie tak tani, że nawet nie próbowali używać go ponownie.

– Dokąd trafiają te resztki? – spytałem bez szczególnego zainteresowania.

– Co miesiąc przychodzą wytwórcy trumien i opróżniają kosze – odparł.

– Wytwórcy trumien? Naprawdę? – jakieś kolejne egipskie dziwactwo.

– No tak. Drewno jest w Egipcie bardzo kosztowne. Tylko bogaczy stać na złożenie mumii w drewnianej skrzyni. Dlatego wytwórcy trumien mieszają papirus z klejem i robią z tej masy skrzynie dla biedoty i średniozamożnych. Zapewniają, że dopóki grobowiec jest zapieczętowany, taka trumna zachowa się równie dobrze, jak drewniana. Do mnie bardziej przemawia drewno. Mój grobowiec jest niemal ukończony, a trumny dla siebie i żony zamówiłem z najlepszego libańskiego cedru.

Rzymianie lubują się w ceremoniałach pogrzebowych i przygotowaniach do nich, lecz tutaj chodziło o coś innego – o istną obsesję Egipcjan dotyczącą atrakcyjnego życia po śmierci. Gdy tylko mogą, będą o tym gadać godzinami.

– Oto jezioro – rzekł rozciągając mapę przyciskami. Na rysunku widać było, że zbiornik ma nieregularny kształt, jak zresztą większość jezior. Przerywanymi liniami wyznaczono graniczące z nim posiadłości, zastosowano jednak pismo demotyczne, uproszczoną formę hieroglifów, będącą fonetycznym zapisem wymowy greckiego czy łacińskiego alfabetu. Egipcjanie piszą w ten sposób. Stąd też mieli w ptolemejskich urzędach mnóstwo pracy, bo tylko oni potrafili odczytywać swoje mapy i raporty.

– Czy to imiona właścicieli? – spytałem go. – Planuję wyprawę wokół jeziora, może będę potrzebował ich wsparcia.

– Dobrze. Niech spojrzę... Zaczynając od kanału na zachód...

– Właściwie chciałem zacząć podróż od wschodu. Kto jest właścicielem tej posiadłości? – przytknąłem palec w miejscu, gdzie byłem od samego rana.

Sethotep przez chwilę odczytywał napis.

– Ta posiadłość należy do pana Kassandrosa. Odziedziczył ją po przodku, towarzyszu Ptolemeusza Sotera, pierwszego władcy z obecnego królewskiego rodu.

Poczułem gorzkie rozczarowanie. Nigdy o tym człowieku nie słyszałem.

– Więc to panu Kassandrosowi powinienem się przedstawić, jeśli chcę odwiedzić jego posiadłość?

– Od kilku lat pan Kassandros mieszka w swojej posiadłości, w nomie



Arsinoe, na wybrzeżu nieopodal Fajum.

– Ma więcej dóbr?

– Tak jak wielu władców, również Ptolemeusze nadawali znaczącym osobistościom liczne posiadłości, aczkolwiek rozrzucone po całym królestwie, a nie na jednym dużym obszarze. Dzięki temu zawiść wśród możnych była mniejsza, bo każdy jest posiadaczem zarówno najlepszych ziem, jak i gleb przeciętnych oraz jałowych.

Zmusza to ich również do podróżowania między posiadłościami, toteż nie faworyzują jednego silnego ośrodka, w którym mogliby skupić władzę, pomyślałem sobie.

– Bardzo mądrze. Z kim więc powinienem rozmawiać?

Poprawił perukę, która nieco się mu przekrzywiła.

– Być może ową posiadłością zajmuje się zarządca albo któryś z synów pana Kassandrosa. Najstarszy syn, Filip, zajmuje się królewskimi terenami łownymi i większość czasu spędza w rejonie pierwszej katarakty. Młodszy, dowódca Achilles, zwykle przebywa tu, w Aleksandrii. Możesz, panie, zapytać w koszarach Macedończyków albo kogoś w miejskim domu pana Achillesa, jestem jednak pewien, że Jego Wysokość z przyjemnością wyśle posłańca w tej sprawie. Zawsze chętnie pomagamy Rzymowi.

Mógłbym go wyciągnąć.

– Natychmiast zrobię, jak radzisz, Sethotepie, lecz teraz wybac, przyjacielu, muszę już iść.

– Jeszcze wiele mógłbym opowiedzieć o jeziorze, panie – odrzekł.

– Innym razem. Mam teraz w pałacu ważne spotkanie.

Wyglądał na niezadowolonego, że wychodzę. Biurokraci zwykle nie mają z kim pogadać, poza pracownikami w biurze. Ta wizyta coś dała. Wiedziałem, że wreszcie mogę zacząć pisać raport.

Kretyk spojrział znad stołu nieuprzejmie. Poprzedniego wieczora niewątpliwie ominęła mnie jakaś impreza.

– I to miała być ta krótka wyprawa na polowanie? Czy ustrzeeliłeś coś?

– Nie, ale obserwowałem bardzo obiecującą zwierzynę. Czy masz trochę czasu i czy tu jest wystarczająco bezpiecznie, żeby omawiać delikatne sprawy?

– Czyżbyś zwietrzył jakiś spisek? Jakieś sprzysiężenie? No dobrze... pójdźmy do ogrodu. Podejrzewam, że któryś z niewolników tej placówki tylko udaje słabą znajomość łaciny.

W gaju oliwnym opowiedziałem mu o swoich odkryciach i podejrzeniach. Kiwał poważnie głową, lecz raczej z przyzwyczajenia. To nawyk, jakiego nabywa każdy rzymski polityk. Równie dobrze mógł się w tej chwili zastanawiać, jak będzie obstawiać podczas najbliższych wyścigów.

– To brzmi złowieszczo – przyznał, kiedy skończyłem. – Dlaczego jednak tak cię cieszy myśl, że to ziemie Achillesa? Czy jest w tym coś poza satysfakcją, że pobiłeś jego dowódcę ku cichej uciechu większości dworzan?

– Dlaczego? Ponieważ to wyklucza udział Ptolemeusza – zauważyłem.

– A dlaczego tak cię to cieszy?

– Po pierwsze, w tej sytuacji Ptolemeusz może zdyscyplinować swoją krnąbrną arystokrację, a Rzym nie będzie musiał zbyt otwarcie przykładać do tego ręki, oszczędzając Egipcjanom niemiłych doznań. Po drugie, cóż... po prostu lubię tego starego błazna. Jest nieszkodliwy i jest dobrym kompanem, jeśli tylko jest przytomny. Nie sądzę, aby był wrogo nastawiony do Rzymu.

Kretyk pokręcił przecząco głową.

– Decjusz, masz dobrego nosa do wykrywania nielegalnych działań, lecz zupełnie nie umiesz rozpoznać spraw oczywistych.

– Co masz na myśli?

– Wspomniałeś o kilku transportach drewna?

– Przynajmniej.

– A czy ta straszliwa wieża jest w *całości* pokryta żelazem?

– Czy sądzisz, że przesadzam? Została pokryta razem z... ach, rozumiem.

– No właśnie. Jak sądzisz, jak bogaty jest Achilles? W Egipcie nie ma ludzi tak zamożnych jak Krassus. Jednorazowy zakup tak ogromnej ilości żelaza doprowadziłby do bankructwa małe królestwo.

Powinienem o tym pomyśleć. Kiedy Sethotep powiedział mi, że Achilles jest młodszym synem, powinienem się domyślić, że ma co najwyżej zbroję, no i jest arogancki. A za tym wojskowym wynalazkiem kryło się niezmiernie bogactwo.

– Lecz Ptolemeusz to żebrak! – zaprotestowałem.

– Ale zawsze się dziwiłeś, gdzie giną te wszystkie wyżebrane datki, prawda?

Myślałem o tym wszystkim gorączkowo. Nawet odrzucając moją żalną sympatię dla tego starego bukłaka na wino, nie mogłem sobie wyobrazić Ptolemeusza jako pomysłodawcy działań w absurdalnym wyścigu po władzę za sprawą budowy wspaniałych machin. Coś mi jeszcze przyszło do głowy.

– Może Achilles stanowi tylko przykrywkę dla gromady niezadowolonych satrapów i nomarchów, o której słyszeliśmy – zaryzykowałem.

– I w tym pewnie tkwi ziarno prawdy, lecz nie widziałbym ich w roli finansujących. Nie zdołaliby jednocześnie dawać pieniędzy i utrzymać całej sprawy w tajemnicy. Wspierać słowem – to zawsze. Obiecywać pomoc i sojusz, kiedy dojdzie do wojny – to potrafię sobie wyobrazić. Ale wyasygnować większe kwoty? Ci peryferyjni macedońscy i egipscy kacykowie zbyt zazdrośnie strzegą swoich dóbr. Każdy uważałby, że przypada na niego za dużo, że pozostali go oszukują. Musisz, Decjuszu, nauczyć się jednej rzeczy, jeśli chodzi o spiski na wielką skalę przeciw Rzymowi. Słuchaj mnie bacznie, bo przyda ci się ta wiedza, jeśli dane ci jeszcze będzie pożyć.

Oto starsze pokolenie Metellów nauczało młodsze, więc słuchałem z szacunkiem. Wiedziałem również, że będzie to naprawdę dobra rada, ponieważ starszyzna mego rodu znała się na polityce wewnętrznej i światowej jak mało kto.

– Jeśli w spisek przeciwko nam zaangażują się drugoplanowe postacie, zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że jego ambicje zostaną zaspokojone, jeżeli nam o tym doniesie. Pomoże nam zwalczyć towarzyszy, mimo że niewielu zostało w ten sposób liczącymi się władcami.

Miałem sobie przypomnieć te słowa wiele lat później, kiedy spotkałem na swej drodze Antypatra i jego bezlitosnego, lecz utalentowanego syna, Heroda.

– A nam nikt nie doniósł o tym spisku, nikt nie wyraził chęci zastąpienia Ptolemeusza na tronie Aleksandrii – dodał dla jasności.

– W takim razie o co tutaj chodzi? – myślałem na głos. – Ktoś uznał, że potęgę Rzymu można skruszyć za pomocą tych dziwacznych machin, i wydał gigantyczne pieniądze, aby sprawdzić tę możliwość.

– Cóż, w tropieniu takich niezwykłości jesteś naprawdę dobry. Dojdz, o co chodzi. Bierz się do tego. – I tak pozostawił mnie w zadumie wśród tych drzew oliwnych, gdzie odnalazła mnie Julia.

– Wyglądasz tego ranka niezwykle poważnie – zaczęła.

– Tak właśnie wyglądam, kiedy zdarzy mi się być podekscytowanym i wyczerpanym zarazem.

A potem opowiedziałem jej wszystko o moich odkryciach z poprzedniego dnia i tego ranka.

– Dlaczego nie zabrałeś mnie na wyprawę szpiegowską? – spytała, dásając się w charakterystyczny sposób.

– Z jednego powodu: masz za małe doświadczenie w partyzantce.

– Nieprawda. Po prostu chciałeś przeżyć przygodę beze mnie – wyrzucała mi.

– Mogło być niebezpiecznie. Nie chcę, żeby ci się cokolwiek stało w związku z tą sprawą. Cezarowie nigdy by mi nie wybaczyli.

– Mówisz tak, jakbyś liczył się z ich zdaniem. – Odniósłszy coś w rodzaju werbalnego zwycięstwa, porzuciła dotychczasowy wątek. – A czy widziałeś ulice tego ranka?

– Były dość zatłoczone. Czy jest obchodzone jakieś kolejne święto religijne?

– Napływają ludzie ze wsi. Coś mi się wydaje, że Ataksas miał kolejną wizję. Baal-Aryman przemówi wkrótce i zapoczątkuje nową epokę w dziejach Egiptu oraz świata. Ludzie rzucają wszystko i biegną tutaj, żeby przy tym być.

– Skoro jest tłum w pobliżu pałacu, to co się musi dzieć w Rakotis?

– Myślę, że się dowiesz. Berenika wraz ze znaczną częścią jej świty udaje się dziś po południu do świątyni. Poprosiła mnie i Faustę, abyśmy z nią poszły. Może też się z nami wybierzesz?

– Za żadne skarby świata nie chciałbym stracić tego widowiska!

Zmrużyła oczy.

– Założę się, że masz nadzieję na emocje związane z samobiczującymi się kapłankami.

– Wręcz przeciwnie. Biedactwa pewnie jeszcze nie wydobrzały po ostatnim pokazie. Chodzi o coś innego.

Jej oczy były teraz wąskie jak szparki.

– O co?

– Szukam inspiracji.

– Inspiracji? A od kiedy zajmujesz się sztuką? Nie ma muzy szpiegów i dochodzeń.

– Słusznie. Sądzę, że Klio najbardziej by się nadawała. To muza historii, a ja próbuję odkryć prawdę za całą historią kłamstw. A może istnieje jakaś inna, bezimienna muza, dla mężczyzn takich jak ja.

– Masz nietuzinkową osobowość. Wujek Gajusz często to powtarza.

Zawsze ten wuj Gajusz – pomyślałem. Zawołałem Rufusa i paru innych co

żywotniejszych pracowników naszej placówki i opowiedziałem im o nadchodzącym przedstawieniu. Wielką oficjalną lektykę załadowaliśmy taką ilością jedzenia i picia, że wystarczyłoby na skromną ucztę. Ostatecznie było nas sześciu. Każdy miał ze sobą osobistego niewolnika, aby zaspokajał jego potrzeby. I tak czekaliśmy przy głównej pałacowej bramie na świtę Bereniki.

– Skoro ulice są zapchane – zauważył Rufus – te lądowe triremy dopiero za parę godzin dotrą do Rakotis.

Powinien wiedzieć, że zajmą się nimi. Kiedy przybyła świta Bereniki, okazało się, że poprzedzał ją klin uformowany z setki macedońskich żołnierzy, torujących jej drogę. Mieli na sobie błyszczące zbroje z brązu, a na głowie hełmy z purpurowym pióropuszem pałacowej straży. Za nimi niesiono masywny palankin Bereniki z jej ulubienicami, a wśród nich były Julia i Fausta. Dokoła uwijały się gromady niewolników, karłów i tancerek; gepardy prychały, a pawiany figłowały.

– Tak się cieszę, że postanowiliście się do nas przyłączyć – zawołała Berenika, przekrzykując harmider. – Podążajcie za moim orszakiem, utorowaną przez nas drogą.

I tak właśnie zrobiliśmy. Pasażerowie w dwóch kolejnych lektykach patrzyli na nas z irytacją, ponieważ oddzielaliśmy ich od bóstwa. Nienawistnym wzrokiem zmierzył mnie zwłaszcza Achilles, podróżujący drugą lektyką. Jego obecność tutaj wcale mnie nie zaskoczyła. Następnie, wśród przeszywających dźwięków fletów i walenia bębnów, brzdąkania harf i sistrum, ruszyliśmy dalej.

Choć żołnierze torowali nam drogę, przemierzaliśmy ulice Aleksandrii raczej dość wolno. Zbite tłumy nie dawały rady szybko usuwać się przed nami. Z pałacu wyruszyliśmy ulicą Argeosa, wiodącą na południe do Drogi Kanopskiej. Tam skręciliśmy na zachód, podobnie jak sznur okrętów wojennych, które nagle pojawiły się w porcie w ten spokojny dzień. Tłumy witały nas i wiwatowały na cześć Bereniki, nawet gdy żołnierze starali się odpychać ludzi za pomocą włóczni. Otaczało nas morze kwiatów, gdyż chyba wszyscy przystroili się kwiatowymi girlandami. Wielu zaś miało także węże owinięte na ramionach i dobrze, że w nas nimi nie ciskali.

– Wydaje się, że to może być dość gorący dzień – rzekł Rufus, strojąc sobie głowę wieńcem z róż.

– W świątyni jest z pewnością niespokojnie – zauważyłem, podsuwając

kubek Hermesowi, który go natychmiast napełnił.

– W tym tempie możemy nie zdążyć na przemówienie posągu – wtrącił któryś ze służących.

– Nie obawiaj się – pocieszyłem go. – Bóg przemówi dopiero wtedy, kiedy przybędzie księżniczka ze wszystkimi najważniejszymi dygnitarzami.

– Skoro bóg odnosi się z takim szacunkiem do rodziny królewskiej – wtrącił Rufus – to dlaczego wybrał za swego pośrednika tego chciwego, małego azjatyckiego proroka?

– Dziwni są bogowie naszych sprzymierzeńców, czyż nie? – zauważyłem. – Nasi bogowie objawiają wolę za pomocą znaków zsyłanych augurom; to uporządkowany i rozsądny system. Azjatyckie bóstwa to dla odmiany rozemocjonowany, irracjonalny zestaw. Wiele zależy tu od entuzjazmu, bełkotliwych wypowiedzi i zbiegów okoliczności. Czasem owe zbiegi okoliczności okazują się korzystne tylko dla wybranych ugrupowań.

– E...? Znów coś bredzisz, Decjuszu – skwitował Rufus.

– Proponuję ci mały zakład. Stawiam pięćset denarów na to, że ten bóg przepowie nagłą zmianę w egipsko-rzymskich stosunkach.

– Wiesz co, Decjuszu? Nie oszukasz mnie. Zakładasz się na wyścigach rydwanów i podczas walk gladiatorów, ponieważ uważasz się za eksperta. Nie zaproponowałbyś takiego zakładu, gdybyś nie dysponował jakimiś poufnymi informacjami. O co chodzi? Czyżbyś się potajemnie naoglądał tamtych samobiczujących się kapłanek?

– Wcale nie – odparłem z urażoną godnością. – Doszedłem do takiej konkluzji za sprawą procesu dedukcji.

Rozległ się gromadny rehotliwy śmiech.

– Za długo się zadawałeś z tymi zgrzybiałymi erudydami. Za długo, Metellusie – powiedział któryś. – Uroiłeś sobie, że zostaniesz jednym z nich. Dedukcja, też mi coś...

– Poza tym – ciągnąłem, nie zważając na nich – chcę, abyście poświadczyli wszyscy, jak tu jesteście, przed Kretykiem, że przewidziałem tę polityczną woltę. Inaczej może twierdzić, że wymyśliłem sobie to wszystko już po fakcie.

– Za dużo było wina, Decjuszu – upierał się Rufus. Inni przytaknęli mu hałaśliwie, efektownie obsypując mnie płatkami róż, aż zasłały cały palankin.

– W takim razie – rzuciłem przez zaciśnięte zęby, czując w ustach posmak krwi – nie będziecie mieć nic przeciwko temu, abyście wszyscy pozakładali

się ze mną o pięćset denarów, że nie mam racji?

To ich trochę ostudziło, lecz Rufus przystał na taką stawkę, a pozostali, nie chcąc, by wzięto ich za tchórzy, też jeden po drugim przyjęli zakład. Hermes po raz kolejny dołał mi wina.

– Skąd zamierzasz wytrzasnąć dwadzieścia pięć setek denarów? – wymruczał mi do ucha.

– O to się nie martw. Zaczynij raczej obmyślać, jak mi je zwędzisz.

Gdy mijaliśmy wspaniałe Serapeum, dojrzeliliśmy stłoczone na jego schodach tłumy. Motłoch wręcz kłębił się w tej części miasta. Pomyślałem sobie, że to nie może być skutek jedynie krążących pogłosek. Zgromadzenie pospólstwa określonego dnia w jednym miejscu wymagało kunsztownego planu. Była cała wielojęzyczna Aleksandria, wszelkie możliwe nacje stawiały się, aby podziwiać przedstawienie, lecz zdecydowaną większość stanowili Egipcjanie. Było ich więcej, niż można by się spodziewać po takiej dzielnicy jak Rakotis. Przeważnie wyglądali na wieśniaków prosto z pola, lecz było też sporo ludzi z miasteczek, kupców, rzemieślników i skrybów. Jediną grupę, której nieobecność rzucała się w oczy, stanowili kapłani tradycyjnych bogów, choć może niektórzy zjawili się w przebraniu, co w wypadku egipskiego kapłana mogło po prostu oznaczać założenie peruki zamiast czapki z lamparciej skóry.

Gdy przybyliśmy, ze świątyni Baala-Arymana wypadła gromadka kapłanek i sług. Poczęli rozsuwać tłum na boki, aby zrobić miejsce królewskiemu dworowi. Następnie padli na twarz na ścieżce, zawodzącym głosem sławili księżniczkę i jej ród. Kiedy na chwiejnych nogach opuściliśmy nasze lektyki, wyjęczeli nieco bardziej stonowane pochwały Rzymu w ogólności i nas w szczególności. Brodziliśmy po kostki w płatkach kwiatów, idąc schodami ku świątyni.

Na górze, na kamiennym tarasie muzycy nieustająco wygrywali melodie, a tancerki wirowały, aż unosiły się ich kuse białe stroje. Muzyka była właściwie ogłuszającym zgiełkiem. Przynajmniej tancerki zapewniały oczom jakąś rozrywkę. Zgromadziliśmy się na szczycie schodów, oczekując pojawienia się Ataksasa. Dostrzegłem Achillesa i spokojnie do niego podszedłem.

– Odpoczywasz od codziennych wojskowych obowiązków, chłonąc strawę duchową, dowódco?

– Ten, kto jest sługą króla – odparł – musi znosić kaprysy księżniczek.

– Czy coś innego mogłoby cię tu przyciągnąć? Czyżbyś domyślał się, co też stary dobry Baal-Aryman nam dziś przepowie?

Zamarł.

– A skąd miałbym to wiedzieć?

– A czy wiesz – odparłem, nieco udając upojenie alkoholowe – że podobnego do ciebie mężczyznę widziano w pokoju Ifikratesa tuż przed morderstwem?

– Oskarżasz mnie o coś? – nadał się, aż zaskrzypiał jego skórzany pas.

– Dzielę się tylko z tobą wynikami dochodzenia.

– Rzymianie – podszedł bliżej i wysyczał przez zaciśnięte zęby – wielu tu obecnym robi się niedobrze na samą myśl o twojej arogancji i wtykaniu nosa w cudze sprawy. Bez was Egipt byłby znacznie lepszym miejscem. A nietrudno sprawić, byś zniknął.

– Cóż, dowódco Achillesie... Ktoś mógłby powątpiewać w twoje oddanie prorzymskiej polityce króla Ptolemeusza.

– Ostrożnie, senatorze – odparł. – Aby poradzić sobie ze mną, nie wystarczy *caestus* i cios znienacka.

Starąłem się go rozdrażnić.

– Patrz! – wskazałem nadchodzącego Ataksasa. – Spektakl się rozpoczyna!

Achilles dał krok w tył. Przedstawienie było dla niego ważniejsze niż nasze utarczki.

Ataksas wyszedł ze świątyni jak lunatyk. Ręce skrzyżował na piersi, a długa kędzierzawa broda drżała jak w ekstazie podczas nawiedzenia przez bogów. Oczy wywrócił tak, że widać było tylko białka. Pewnie i dlatego bardzo ostrożnie stapał. Zatrzymał się przed nami i zapadła cisza jak makiem siał. Wszyscy zamilkli.

– Wielki Baal-Aryman przemówi! – zakrzyknął. – Podejdźcie tu wszyscy, zostaniecie wybrani.

Odwrócił się na pięcie i jak we śnie skierował się do świątyni. Kapłanki i słudzy szybko oddzielali wybranych od reszty. Oczywiście, królewska świta została wpuszczona do środka, i to razem z gepardami. Zadbano też o obecność Rzymian. Wielki tłum runął za nami i wkrótce wewnątrz świątyni było nabite wiernymi.

W środku pachniało nieco lepiej niż ostatnio. Na szczęście bóg nie miał już płaszcza z byczych jąder, a z podłóg zmyto krew. W powietrzu gęstniał



dym z palonych kadzideł. Świetlik przepuszczał tylko wąską smużkę światła, która padała tuż przed bożkiem. Poza tym mrok rozświetlało kilka migoczących świec i żarzące się kadzidła.

Ataksas stanął przed posągami i podjął coś w rodzaju melorecytacji wysokim, zawodzącym głosem. Przypominało to śpiew w jakimś nieznanym języku. Przynajmniej tak zakładałem. Mógł to być przecież tylko ciąg niezbornych sylab, dobranych z racji przerażającego brzmienia. Wtem rozległo się przytłumione dudnienie bębnów i grzechot sistrum. Słudzy rozpoczęli cichą, niemal szeptaną deklamację równie niezrozumiałych słów czy dźwięków.

– Zamierzam się przyjrzeć, czy porusza ustami, kiedy mówi – emocjonował się ktoś z mojej świty.

– Jak to ocenisz? – wtrącił Rufus. – Jego usta wyglądają jak przegniłe od trądu.

– Ćsss! – upomniało nas ze stu ludzi jednocześnie.

Wychwalaliśmy tych, którzy stali w kręgu przed bożkiem. Gorące węgle żarzyły się tuż przed figurą, śląc pod sufit ciekłą strużkę dymu. Sługa o ogolonej głowie podał Ataksasowi małą srebrną misę, po czym się odsunął. Kapłan uniósł naczynie nad głową i zaintonował, tym razem po grecku:

– Wielki Baalu-Arymanie! Spójrz na swych drżących, kornych wyznawców. Nawiedz nas, jak obiecałeś! Obdarz swoim boskim słowem, powiedz ścieżką, którą dla nas wybrałeś. Wielki Baalu-Arymanie, przemów do nas!

Wysypał zawartość miski na węgle przed bogiem. Chmura dymu pachnąca kadzidłowcem wzbijała się aż pod sklepienie. Ataksas runął na kolana i skłonił się głęboko, kurczowo przyciskając misę do brzucha. Smuga blasku ze świetlika w suficie padała prosto na niego.

Zapanowała absolutna cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Napięcie tak narastało, że kojarzyło się ze zbyt mocno naciągniętą struną liry, która zaraz pęknie. Nadszedł ten moment, kiedy jeden jedyny wybuch śmiechu mógł zniszczyć misternie wznoszony gmach isticie teatralnego przedstawienia, lecz bóg przemówił z niewiarygodnym wyczuciem chwili.

– AEGYPTOI! – To oczywiście po grecku. Widać przetłumaczył sobie pierwsze słowo na ten język, żeby brzmiało jeszcze donioślej. Inwokacja rozbrzmiała niczym grzmot we wszystkich zakątkach świątyni. Głęboki, dramatyczny ton brzmiał jak łoskot wodospadu. Rozległo się zbiorowe

westchnienie; kilka osób zasłabło. My, Rzymianie, wykonani z twardszego materiału, ukradkiem łyknęliśmy sobie na boku i słuchaliśmy dalej.

– EGIPCJANIE! PRZEMAWIAM DO WAS JA, BAAL-ARYMAN, NOWY GŁOS BOGÓW EGIPTU! PRZEMAWIAM W IMIENIU PRADAWNYCH BOGÓW: AMONA, HORUSA, IZIS I OZYRYSA, APISA I SACHMET, THOTA, SOBKA, ANUBISA, NUT I SETA! PRZEMAWIAM GŁOSEM HAPI GÓRNEGO NILU I APISA DOLNEGO NILU. PRZEMAWIAM W IMIENIU SŁUPA DŻED I PIÓRA MA´AAT! PRZEMAWIAM GŁOSEM BOGÓW GRECJI: ZEUSA, APOLLA, ARESA, DIONIZOSA, HERMESA, HADESA, AFRODYTY, HERY, ATENY, HEFAJSTOSA, PANA. PRZEMAWIAM W IMIENIU WSZYSTKICH FARAONÓW EGIPTU ORAZ BOGÓW ALEKSANDRII, SERAPISA I SAMEGO BOSKIEGO ALEKSANDRA!

W trakcie tych wszystkich wypowiedzi rzeczywiście wydawało się, że *usta bożka się poruszają*. Szczęki jednak nie były ruchome za sprawą jakiegoś prymitywnego mechanizmu. Nie dało się rozpoznać gołym okiem, jak to w istocie działa. Wypukłe usta poruszały się lekko, co współgrało z wypowiedzanymi słowami. Wydawało się również, że z ust wydobywają się delikatne rozbłyski, niby jasne błyskawice, tak jakby słowa boga można było nie tylko usłyszeć, ale także zobaczyć. Wiedziałem, że ktoś nas nabiera, lecz mimo to włosy zjeżyły mi się na głowie. Spojrzałem na współtowarzyszy dumając, czy wyglądam równie głupio jak oni z rozdziawionymi ustami i wybałuszonymi oczami.

Wielu wyznawców padło plackiem na podłogę. Berenika czołgała się z twarzą przyciśniętą do marmuru. Julia i Fausta stały obok niej; wydawały się zaniepokojone i jednocześnie zakłopotane. Achilles przypatrywał się temu wszystkiemu z uśmiechem błakającym się po twarzy.

– PATRZCIE! – zagrział szkaradny bożek. – PATRZCIE! OTO NASTAJE NOWY POCZĄTEK DLA KRAIN CZERWONEJ I CZARNEJ. HORUS JAK SŁOŃCE WSCHODZI DLA EGIPTU! NOC ZAPADA DLA BARBARZYŃCÓW!

– Barbarzyńców! – Rufus się zachnął. – Nie my jesteśmy barbarzyńcami, tylko oni!

– EGIPCJANIE BYLI PIERWSZYM LUDEM ŚWIATA. EGIPT TO NAJDAWNIEJSZA KRAINA. PRZEZ TRZY TYSIĄCLECIA EGIPCJANIE BYLI JEDYNYM CYWILIZOWANYM LUDEM

W ŚWIECIE. I EGIPT ZNÓW BĘDZIE GÓRĄ! JA TO STWIERDZAM, BAAL-ARYMAN, NOWY NAJWYŻSZY BÓG EGIPTU! PRZEMÓWIĘ DO SWEGO LUDU PONOWNIE, LECZ LUD TEN MUSI OKAZAĆ SIĘ GODZIEN MOICH SŁÓW!

Bóg zamilkł, a jego usta znieruchomiały, jeśli oczywiście założymy, że uprzednio w ogóle się poruszały. Ludzie wstawali załęcznieni. Niektórzy nadal leżeli, kryjąc twarz, jęcząc i z niedowierzaniem potrząsając głową. Inni wybiegali na zewnątrz, żeby szerzyć wśród wiernych dobre wieści. Egipcjanie mamrotali coś między sobą; niektórzy krzywo spoglądali na nas, Rzymian.

– Powrót do naszej placówki wcale nie byłby złym pomysłem – zauważył Rufus. Zarówno on, jak i inni wydawali się nieco poruszeni, ale bynajmniej nie wystraszeni. Byli raczej zaniepokojeni złowieszczymi treściami zawartymi w boskim przesłaniu. Ja jednak nie zamierzałem jeszcze wychodzić. Kiedy tamci opuścili świątynię, podszedłem do Achillesa.

– Sądysz, że Baal-Aryman zalicza Macedończyków do barbarzyńców, dla których rychło zapadnie noc? – dolałem oliwy do ognia.

Uśmiechnął się, obnażając rząd ostrych zębów.

– My, Macedończycy, rządymy w Egipcie od czasów Aleksandra. Właściwie sami już jesteśmy prawdziwymi Egipcjanami. Nie, w moim odczuciu bóg chce raczej wygnać stąd butnych Rzymian. Jednakowoż jestem tylko zwykłym, pokornym królewskim sługą, więc pozostawiam interpretację boskich przepowiedni prorokom – tu wskazał głową Ataksasa.

Kapłan leżał na plecach z szeroko rozłożonymi rękami. Miał drgawki i mówił coś od rzeczy. Z jego ust wydobywała się spieniona ślina. Srebrna misa leżała obok niego na podłodze. W jej wypolerowanym wnętrzu odbijały się promienie słoneczne.

– Najlepiej zrobisz, Rzymianinie, jeśli razem ze swoim towarzyszem bezzwłocznie opuścisz to miejsce – zasugerował Achilles. – Aleksandryjski motłoch łatwo poddaje się nastrojom, a teraz jest rozemocjonowany. Jeśli uznają, że było to wezwanie do przegnania Rzymian, nie będę mógł zagwarantować ci bezpieczeństwa.

– Masz setkę żołnierzy. Czym jest przy nich ten motłoch na zewnątrz?

Wzruszył ramionami, a jego pas znów zaskrzypiał.

– Naszym obowiązkiem jest ochrona księżniczki, a nie Rzymian, wałęsających się w poszukiwaniu rozrywki.

– W orszaku są dwie patrycjuszki – odparłem. – Podlegają ochronie na równi z księżniczką.

Obserwowaliśmy, jak Fausta z Julią pomagały wstać Berenice. Księżniczka była w niewiele lepszym stanie niż Ataksas. Włosy i strój miała w straszliwym nieładzie, choć upłynęło tak mało czasu. Wyglądało na to, że słudzy dość niedbale zamiatali tu podłogę.

– Oczywiście, szanownych gości księżniczki będę strzegł nader pilnie – zapewnił Achilles. – Bezpiecznego powrotu, Rzymianinie.

Odwróciłem się plecami do niego i podszedłem do Julii.

– Tam, na zewnątrz, sprawy mogą przybrać paskudny obrót – powiedziałem cicho. – Ta farsa miała na celu podburzenie Egipcjan przeciwko nam. Trzymaj się blisko księżniczki. Achilles twierdzi, że przy niej nic ci nie grozi. My, mężczyźni, będziemy musieli salwować się ucieczką.

Zmarszczyła brwi.

– Przecież nikt nie wspominał o Rzymie.

– Nie bądź naiwna. Możemy się założyć, że na zewnątrz właśnie tak przekazano wieści. Do zobaczenia, moja droga. Widzimy się w pałacu.

Wybiegłem stamtąd. Naprawdę wierzyłem, że będą pod dobrą opieką. Nosiły takie same stroje jak greckie damy. Jeśli tylko nie wrzasną czegoś po łacinie, nikt ich nie weźmie za Rzymianki. Inaczej rzecz się miała z mężczyznami. Wyróżniały nas togi, krótkie włosy i gładko wygolone twarze.

Na zewnątrz moja ekipa machała zniecierpliwiona, przynaglając mnie do zajęcia miejsca w lektyce. Tłum szemrał i sarkał przeciwko nam. Wydarzenia dzisiejszego dnia wszystkich poruszyły, lecz nikt nie ważył się podjąć przeciwko nam żadnych kroków.

– Wsiadaj, Decjusz! – zawołał Rufus. Wspiąłem się więc i wygodnie rozsiadłem. Lektykarze z ciężarem na barkach poczęli się przedzierać przez tłum.

– Gdzie w tym sens? – spytał jeden z moich ludzi. – Co to w ogóle oznacza?

– To oznacza – wyjaśniłem, polewając się wodą dla odświeżenia – że każdy z was jest mi winien pięć setek denarów.

– Protestuję – odezwał się któryś inny. – Trędowaty bóg wcale nie wspomniał o Rzymie!

– Jak pamiętacie, powiedziałem, że obwieści nagłą zmianę w stosunkach między Rzymem a Egiptem. No i rzeczywiście starał się dowieść, że Egipt, najsilniejszy lud świata, będzie górą. Jeśli to nie łączy się ze zmianą w stosunkach rzymsko-egipskich, to o co by miało chodzić?

O ile wcześniej obsypywano nas płatkami kwiatów, o tyle teraz obrywaliśmy kawałkami owoców.

– Przesłanie było niezwykle lakoniczne – zauważył Rufus, uchylając się od grudy wielbłądziego łajna. – Oczekiwałem dłuższego.

– Kiedy angażuje się w swoje wystąpienie magię, rzecz musi trwać krótko. Jeszcze chwila i odkrylibyśmy, na czym polegał trik z poruszającymi się ustami bożka.

– Jak on to *zrobił*? – zastanawiał się skryba. – To rzeczywiście wywierało ogromne wrażenie.

– Trzeba się dowiedzieć – powiedziałem.

Ludzie na rynku pokazywali nas sobie palcami, choć nawet nie wyszliśmy na ulicę.

– Jeszcze nie szerzą antyrzymskich haseł – zauważył skryba. Ludzie jego pokroju na całym świecie mają talent do wyławiania sloganów.

– Przecież żaden z nas nie rozumie po egipsku – podważyłem jego konstatację. – Słudzy świątyni cichaczem puścili w obieg podkoloryzowaną wersję przemówienia Baala-Arymana.

– Udajesz, Decjuszu, że się na tym znasz – gderał Rufus.

– Wystarczy uruchomić myślenie – odparłem. – Nic innego nam zresztą nie pozostało. Czy ci lektykarze nie mogliby iść szybciej?

Wciąż nikt nas nie atakował, jednak szyderstwa i pokrzykiwania brzmiały coraz bardziej złowrogo.

– Pewnie mogliby – rzekł Rufus. Zaczął czegoś szukać wśród poduch siedziska. – Gdzieś tu powinienem mieć bat. Aha!

Uniósł pejcz długi niczym wąż, upleciony ze skóry nosorożca. Wychylił się znad barierki i zamachnął rażno, mocno trzaskając z bicza.

– Ruszać się, wy łotry!

A że nie był zbyt zręczny, trafił samego siebie. Czerwona pręga wykwitła od lewego pośladka aż po prawe ramię. Padł na plecy, wyjąc z bólu, a my wszyscy śmialiśmy się do rozpuku, aż łzy pociekły nam po twarzach.

– Nie liczyłem na aż tak wyrafinowaną rozrywkę – zażartował skryba. – Spójrzcie, tłum się przeredza.

W naszej wędrówce minęliśmy Serapeum. Do ludzi, których mieliśmy przed sobą, nie dotarło jeszcze boskie przesłanie. Przeszkadzali nam w podróży bez złych intencji, bezmyślnie.

– Dobra – ktoś rzekł – pora zrzucić balast. Złaźcie, niewolnicy.

– Nie, zaklinam cię, na twe sprośne życie! – odważnie zaprotestował Hermes. – Ten motłoch gotów jest zjeść żywcem wszystko, co nosi rzymskie fryzury.

– Bezczelny mały gnojek – skomentował ze śmiechem ten sam ktoś. – Przydałoby mu się więcej dyscypliny, Metellusie.

– A tobie przydałoby się wytrzeźwieć – odpowiedziałem. Chwyciłem bicz, przekroczyłem barierkę i stanąłem na schodku tuż nad *lecticarii*. Strzeliłem z bata w powietrze, aż rozległ się donośny trzask. W latach młodości pobrałem kilka lekcji od woźnicy rydwanu.

– Szybciej już nie możemy, panie – zaprotestował ten, który wyznaczał rytm.

– Nie komentuj i szykujcie się do biegu – odparłem. Chlasnąłem pejcem nad głowami niemrawego tłumu, zagradzającego nam przejście.

– Z drogi! – wydarłem się. – Macie ustępować z drogi wszechpotężnemu Rzymowi, durni cudzoziemcy!

Wywijałem biczem jak szalenię, a motłoch topniał przed nami jak za jakimś magicznym zaklęciem. Nie mam pojęcia, gdzie zniknęli ci ludzie. Pewnie w bramach i wnękach okiennych. Należało tylko Aleksandryjczykom pobudzić krążenie, a wtedy stawali się ulegli.

Lektykarze z truchtą przeszli w bieg. Ja tymczasem wciąż młóciłem powietrze, jakbym każdym trzaśnięciem miał dopaść jedną harpię. Rzymianie w lektykach klaskali i uśmiechali się do mnie. Żałowałem, że nie mamy więcej lektyk. Z chęcią bym się z nimi pościgał. Jednak, jak sądzę, trasę do pałacu przebyliśmy w rekordowym tempie. Kilkaset metrów dalej ulice były prawie puste, bo niemal wszyscy udali się do Rakotis. Wyścig z czasem dawał nam jednak tyle przyjemności, że szkoda było zeń rezygnować.

Kiedy już dotarliśmy do bezpiecznej pałacowej dzielnicy, lektyka prawie się wywróciła. Nagle bowiem wszyscy tragarze z lewej strony jednocześnie upadli, kaszląc i wymiotując. Jakimś cudem uniknęliśmy katastrofy i bezpiecznie zsiadliśmy.

– Nie wiedziałem, że tak sprawnie się posługujesz biczem – zauważył Hermes z niepokojem.

– Dobrze to sobie zapamiętaj – poradziłem. Kolejni członkowie rzymskiej ekipy gratulowali mi i poklepywali po ramieniu.

– Nie zapomnijcie o pięciu setkach denarów – odpowiadałem.

Po czym ruszyłem na poszukiwanie Kretyka.

## Rozdział 9

Przywódcy rzymskiej społeczności Aleksandrii zebrali się w sali zgromadzeń naszej placówki dyplomatycznej, żeby wyrazić żal i przekazać swoje uwagi Kretykowi oraz innym przedstawicielom delegatury. Interesantów było niewielu, przeważnie kupcy. Klasy wyższe zwyczajowo nimi gardziły, lecz ci tutaj stanowili siłę, z którą należało się liczyć. Zamożni handlarze zbożem należeli do grona najbardziej wpływowych ludzi w naszym imperium. Lichwiarze byli równie potężni, lecz cieszyli się znacznie mniejszą sympatią. Było tu też wielu innych. Nie brakowało eksporterów papirusu oraz ksiąg, bo przecież jedynie Egipt wytwarzał ten materiał piśmienny, biblioteka natomiast była największym wytwórcą ksiąg w świecie. Przybyli też ci, którzy zajmowali się handlem kością słoniową i piórami, egzotycznymi zwierzętami i niewolnikami. Był nawet pewien człowiek, którego interes opierał się na eksporcie wysokiej jakości piasku do amfiteatrów i cyrków rzymskiego imperium.

– Ambasadorze – zwrócił się przywódca grupy, wielkonosy, łysawy mężczyzna o imieniu Fundanius, o ile dobrze pamiętam – tutejsza sytuacja tak gwałtownie się zmienia, że niebawem nie da się tego znieść. My, Rzymianie, jesteśmy publicznie obrażani, kiedy próbujemy prowadzić swoje interesy na ulicach Aleksandrii. Bywamy oblewani pomyjami, a nasze żony spotykają wyzwiska. Czy zamierzacie czekać, aż rozleje się fala otwartej przemocy, i dopiero wtedy zareagować?

– Jakich działań po mnie oczekujecie? – odbił piłeczkę Kretyk. – Jestem



ambasadorem, a nie prokonsulem. Nie mam imperium, a co za tym idzie, legionów. Oddziały wojskowe nie przybędą na mój gwizdek tylko dlatego że jesteście podenerwowani. Pozwólcie sobie przypomnieć, że Egipt jest niezależnym krajem, przyjacielem i sprzymierzeńcem Rzymu. Przekażę waszą petycję Jego Wysokości, lecz tylko do tego jestem uprawniony. Wyślę też list do senatu, w którym opiszę tutejszą sytuację.

– Ten skundlony król nie dba o nasze dobra... – sarknął Fundanius. – A co dobrego może wynikać z listu do senatu? Nawet jeśli wyślesz go dzisiaj, nim dotrze do Rzymu, wszyscy już dawno zginiemy we własnych łózkach.

– Masakra rzymskich obywateli poruszy senat i zapewne skłoni do działania, jeśli to was usatysfakcjonuje – odpowiedziałem usłużnie.

– To impertynencja! – zawołał Fundanius. – My, rzymscy obywatele, jesteśmy obrażani przez egipską hołotę.

– Panie – przerwał mu Kretyk – zajmujesz się pożyczaniem pieniędzy, więc ludzi twojego pokroju nienawidzi się wszędzie. Powinieneś być wdzięczny, że przez te wszystkie lata uniknąłeś ukrzyżowania.

– Panie, łatwo ci mówić w ten sposób! – odparł Fundanius z pogardą. – Wy, patrycjusze, jesteście zgromadzeni bezpiecznie tutaj, w pałacu, i się obżeracie, podczas gdy to my naprawdę pracujemy dla imperium, narażając się na wszystkie zagrożenia.

– Dla pańskiej informacji – przerwał mu Kretyk – ród Cecyliuszów to ród plebejski. Przyznaję jednak, że niewiele znajduję przyjemności we współdzieleniu grupy społecznej z pożyczkodawcami i poborcami podatków.

Wstał eksporter ksiąg. Był wysokim mężczyzną o godnym wyglądzie.

– Panowie, to niestosowne. Nie musimy powtarzać burd z czasów Grakchów, gdy zagrożenie płynie z zewnątrz. Tak czy inaczej, nie jest to prawdziwy konflikt między Egiptem a Rzymem, lecz raczej efekt działań tego rosnącego w siłę religijnego oszusta z Azji Mniejszej. Szanowny ambasadorze, czy król nie może nic z tym człowiekiem zrobić? Tymi swoimi rzekomymi boskimi wizjami podburzył przeciwko nam większość prostaczków, co jest równie niekorzystne dla królewskiego domu Ptolemeuszów, jak i dla Rzymu.

– Cóż, przynajmniej jeden z was mówi z sensem – burknął Kretyk – tyle że obecnie mamy tu delikatną sytuację. Król Ptolemeusz chciałby podjąć jakieś działania, lecz obawia się, że wówczas lokalne zamieszki rozprzestrzenia się w nomach i wybuchnie wojna domowa na ogromną skalę.

Od lat legiony Lukullusa i Pompejusza stacjonują w Azji, na tyle blisko, aby dało się łatwo uderzyć na Egipt. Przez cały ten czas Egipcjanie musieli działać ostrożnie. Lecz teraz nasze siły zaangażowane są w rozruchy w Galii. Może więc minąć jeszcze wiele czasu, nim będziemy mogli interweniować w sprawach Egiptu.

Były to stonowane słowa, a zgromadzeni w sali na tyle czuli się Rzymianami, aby zrozumieć ich wagę. Jeśli idzie o interesy, kwestie władzy czy sprawy dotyczące legionów, Rzymianie nawykli do myślenia raczej w kategoriach świata niż własnego zakątka, jak to na ogół czynią ludzie.

– A co z Antoniuszem w Macedonii? – spytał ktoś.

Kretyk prychnął pogardliwie.

– Z miejsca został pobity przez Macedończyków. Ostatnie wieści są takie, że jeszcze nie przyszedł do siebie. Poza tym to zła pora roku, by przetransportować tutaj wojska drogą morską, a marsz z Macedonii trwałby zbyt długo.

– No to co należy robić? – dopytywał eksporter książek.

– Jeśli czujecie się tym wszystkim zaniepokojeni – rzekł Kretyk – może jest to właściwa pora, żeby wyjechać z Aleksandrii. Cypr to całkiem przyjemne miejsce, podobnie jak Rodos czy Kreta. Zabierzcie tam swoje rodziny, a interesy pozostawcie w rękach waszych wyzwoleńców.

– Nie możemy tak po prostu wyjechać – zaprotestował Fundanius. – Zgromadziliśmy tu całkiem znaczne dobra. Nasze domy i magazyny zostaną splądrowane i spalone. Większość naszych wyzwoleńców to również Rzymianie. Zostaną zabici.

– Panowie – rzekł Kretyk – nie ma potrzeby czynić takiego larum. Może sprawy nie przybiorą aż takiego obrotu. Będę nadal się starał, żeby Ptolemeusz podjął jakieś działania przeciw temu absurdalnemu kultowi.

Wstał i na tej niezbyt satysfakcjonującej deklaracji audiencja się zakończyła.

– A tak naprawdę, to jak się zachowuje Ptolemeusz? – spytałem, kiedy wszyscy wyszli.

– Jak to flectista. Odmawia przyjęcia do wiadomości, że zanoszą się na coś poważnego. Utrzymuje, że poinstruował Berenikę, aby się trzymała z daleka od Ataksasa, lecz wątpię, żeby ta trzpiotka respektowała prośbę starego pijaka.

– A wysondowałeś go w kwestii arsenału przy jeziorze?

– Owszem. Wykazał się całkowitą niewiedzą, lecz zarazem upierał się, że Achilles jest jego najbardziej lojalnym sługą. A przy okazji, to zabawne...

– Co takiego?

– Cóż... ilekroć wspominał o Achillesie, zachowywał się w taki charakterystyczny sposób, typowy dla ludzi mówiących o kimś, kto ich przeraża.

– Achilles za wiele sobie wyobraża i jest chorobliwie ambitny. Nawet mała Kleopatra zauważyła, że on i Memnon zachowują się zuchwale, a przecież ma ledwie dziesięć lat. Jak oceniasz możliwość tego, że Achilles szykuje przewrót?

Kretyk namyślał się przez chwilę.

– Egipcjanie są oporni, jeśli chodzi o jakiegokolwiek zmiany. Od czasów pierwszego Ptolemeusza na tronie jest ta sama dynastia. Może im się nie podobać to, że rządzą nimi cudzoziemcy, lecz właściwie nie mają wyboru. Przecież przed Macedończykami władali nimi Persowie, a jeszcze wcześniej Nubijczycy. Podbój ziem przez Aleksandra nie mógł być czymś aż tak złym, skoro uznali go za boga. Tak czy inaczej, przywykli już do Ptolemeuszów i nie chcą na tronie nikogo innego. Achilles jest dla nich tylko kolejnym macedońskim parweniuszem. Nawet gdyby poślubił jedną z księżniczek, nie uznaliby go za prawowitego władcę.

– Bo ja wiem? Kiedy w nomach wzrośnie niepokój, kraj może się pogрузić w wojnie domowej.

– A więc zamach planowany przez Achillesa wydaje się jeszcze bardziej nieprawdopodobny, czyż nie? – zauważył Kretyk.

– Gdyby jednak zdołał zyskać sobie reputację jako wyśmienity dowódca... – zauważyłem – Egipcjanie łatwiej by go zaakceptowali. A jedyny lud, z którym mógłby walczyć i się wykazać, to Rzymianie. Ile z ostatnio toczonych przez nas wojen rozpoczęło się od powstania miejscowej ludności przeciwko Rzymianom?

– Większość – przyznał.

– Tak uczynił Mitrydates, a za nim inni. Jeśli dojdzie do wojny w Galii, będzie to podobny wypadek. Miejscowy król, przywódca czy ktoś taki posyła swoich agitatorów, aby podżegali przeciwko miejscowym Rzymianom. To akurat łatwo zrobić nawet w spokojnych czasach. Wiesz, jak to dalej się rozwija. Najpierw dochodzi do zamieszek, a potem do masakry na dużą skalę. Kiedy się ludzie opamiętają, będzie już za późno. Przeckną się w stanie

wojny z Rzymem i nie będą mieli innego wyboru, jak tylko wspierać przywódcę, który sprowokował ich do karkołomnych wyczynów.

– To działa – przyznał Kretyk. – Rzymskie społeczeństwo zawsze opowiada się za wojną, gdy obcy wyrzynają rzymskich obywateli. Gdyby tylko przeklęty Egipt nie był tak bogaty i kuszący, sam nie miałbym nic przeciwko szybkiej wojnie i zagarnięciu ich ziem. Lecz teraz jest zły czas na kampanię w Egipcie. Macedonia to porażka, a my się szykujemy do działań w Galii. Nawet rzymskie legiony da się za bardzo rozproszyć. Z kolei w nieskończoność powołując nowe, doczekalibyśmy się istnej rzeszy weteranów, których trzeba gdzieś osadzić.

– Urabiaj więc dalej Ptolemeusza – doradziłem. – Skoro obawia się Achillesa, może nie żartwi się za bardzo, kiedy go usuniemy.

– Co sugerujesz?

– Jedynie to, że przynajmniej mielibyśmy mniej o jednego problematycznego, wywrotowego żołnierza, który wciąż zajmuje się knowaniami i nieustannie przebiega do wojny, już to wewnętrznej, już to z jakimś krajem.

– Czemu, Decjuszu, nigdy wcześniej nie dostrzegłem w tobie mordercy? – w jego głosie rozbrzmiała swego rodzaju rodowa duma.

– Przecież nic nie ukrywam – odparłem. – O ile mi wiadomo, między mną a Achillesem trwa otwarta wojna i wyjdzie z niej cało ten, który okaże się lepszy.

– Mówisz jak prawdziwy Rzymianin – zachichotał.

Wróciłem do swojego pokoju i przygotowałem się do spaceru po mieście. Najpierw naszykowałem broń: *caestus*, sztylet i miecz. Postanowiłem nie zabierać dość masywnego *gladiusa* legionisty, który nosiłem przy zbroi, lecz zdecydowałem się wziąć bardzo ładny, krótki miecz tego rodzaju, jaki cenili na arenach niektórzy gladiatorzy. Był mniej więcej o jedną czwartą krótszy niż żołnierski oręż, lżejszy, miał na środku przewężenie i smukły szpic do zadawania ran kłutych, tak ostry, że oczy bolały od samego patrzenia.

– Chyba nie zamierzasz naprawdę wyjść na ulicę, co? – spytał Hermes, zdumiewając mnie taką troską o moje bezpieczeństwo.

– Nic mi nie będzie – zapewniłem go. – Jeśli nie będę ubrany jak Rzymianin i nie będę gadał po łacinie, nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Podczas podróży rzeką dostałem świetnej jakości ubrania, chroniące przed pustynnym słońcem. Miałem więc rewelacyjną, pasiastą szatę z kapturem,

kryjącym moje rzymskie uczesanie. Kopnąłem w kąt rzymskie sandały i wsunąłem stopy w parę lekkich pantofli z wielbłądziej skóry, takich, jakie noszono w karawanach.

– A czy spisałeś już testament? – spytał przymilnie Hermes. – Ten, w którym w razie swojej śmierci nadajesz mi wolność?

– Jeśli spisałbym taki testament, musiałbym każdego dnia bać się o swoje życie. Nie martw się. Wrócę bezpiecznie.

Właściwie już dawno temu spisałem ostatnią wolę i złożyłem ją w świątyni Westy, razem z dyspozycją, aby uwolnić wszystkich moich niewolników i nadać im odpowiednie dobra. Lecz pókiś żyw, nie okazuj sługom, że masz dobre serce.

Rozmieściłem na sobie broń, a potem przywdziałem długie pustynne szaty. Oparłem się pokusie, aby przyciemnić sobie skórę. Takie fortele rzadko są przekonujące i raczej mogłyby mnie zdemaskować. Właściwie ludzie o jasnej karnacji zdarzali się także na Wschodzie. Byli najemnicy, strzegący odległego imperium perskiego, siejące zniszczenie armie Aleksandra oraz nie mniej etnicznie wymieszane armie diadochów, w których przynajmniej od dwustu lat walczyli Galowie z Galacji. Na mój wygląd, typowy dla mieszkańców Italii, mógł nikt nie zwrócić uwagi, o ile tylko pilnowałbym języka i zamiast łaciny mówił chropawą greką.

– No to powodzenia – pożegnał mnie Hermes.

– Trzymaj się z dala od wina – przestrzegłem go na odchodnym.

Na ulicy musiałem pamiętać, aby nie chodzić jak Rzymianin. Nie było to zbyt trudne, ponieważ ludzie pustyni też chodzą wyprostowani, tyle że znacznie wolniej. Nas przyzwyczajono do szybkiego tempa legionisty, oni zaś odmierzają długie kroki, żeby uniknąć udaru słonecznego. Martwiłem się jedynie możliwością napotkania prawdziwych ludzi pustyni, którzy chcieliby sobie uciąć ze mną pogawędkę, lecz nie było to realne zagrożenie. W pustynnych rejonach ziemi mówi się wieloma językami i zawsze mógłbym udawać, że ja znam akurat inny. Poza tym ludy pustyni są tak dumne, że rzadko raczą zauważyć kogoś z innego plemienia.

Chodziłem swobodnie, jakbym właśnie sprzedał wszystkie swoje dobra i radował się małą wyprawą krajoznawczą, nim dosiędę wielbłąda i z karawaną ruszę do domu. W Aleksandrii nikt nie zwracał uwagi na takich ludzi, a na tym mi najbardziej zależało.

Na ogół ulice, którymi wędrowałem, były ciche, choć może nieco

ludniejsze. Egipcjan widziało się na ulicach niewielu i trudno było o nich myśleć jak o motłochu, siejącym zniszczenie.

W Rakotis było inaczej. Tu w powietrzu czuło się napięcie. Ludzie mówili półgłosem, brakowało zwykłego rozgwaru. Schodzili cudzoziemcom z drogi i na ogół zachowywali się tak, jak gdyby tylko resztki rozsądku powstrzymywały ich od agresji przeciw obcym. Wszędzie to było widać. Kojarzyło mi się to z ostatnią wizytą w Galii, chociaż tam udało się nam przynajmniej na pewien czas powstrzymać wrzenie.

Moim zamiarem jednak było nie tylko rozpoznanie nastrojów panujących w mieście. Miałem też cel nadrzędny. Moja misja wymagała nieco brawury, lecz znajdowałem w tym przyjemność. Wkrótce stanąłem u stóp schodów świątyni Baala-Arymana.

Sporo ludzi rozsiadło się wokół dziedzińców, jakby oczekiwali na coś, co się ma wydarzyć. Pokonałem schody niezauważony, ot, kolejny zwiedzający. Stanąłem na tarasie przed sanktuarium boga, a potem wszedłem do środka.

Tak jak przewidywałem, wewnętrzne sanktuarium było puste. W Egipcie świątynie nie są miejscami zgromadzeń. Jeśli trzeba odprawić rytuały, kapłani wchodzą do środka i je odprawiają. Poza tym czasem wnętrza są puste. Sytuacja, że Baal-Aryman miał tam przemówić do wiernych, była czymś wyjątkowym.

Słoneczna smuga wciąż oświetlała niewielką przestrzeń przed ohydny maszkaronem. Ominąłem plamę światła i podszedłem do bożka blisko, na wyciągnięcie ręki. Rozejrzałem się, aby się upewnić, że nikt mnie nie obserwuje, po czym chwyciłem jego szczękę, lecz nic się nie poruszyło. Wyrzeźbiono ją z jednej bryły kamienia. Dostrzegłem jednak coś dziwnego, więc się pochyliłem i zmrużyłem oczy, aby móc lepiej to zobaczyć.

Tuż obok sparszywiałych ust, równoległe do nich, znajdowały się w kamieniu wypukłości o takim samym kształcie jak usta, lecz nie aż tak dokładnie wyrzeźbione. Tak jakby artysta najpierw począł rzeźbić jedne, potem zmienił zdanie i wyrzeźbił inne, nie niszcząc jednak poprzednich. Przebiegłem dłonią po lwich zębach i spostrzegłem, że też są zdublowane. Te łatwiej dające się zauważyć były znacznie dłuższe. Przed nimi znajdował się rząd krótszych, przesuniętych o jedno miejsce, jak legionieści ustawieni w otwartym szyku. Pomacałem wewnątrz ust. Język miał osobliwe wypukłości. Zauważyłem też, że podniebienie pomalowano na czarno. Dlaczego na czarno? Żeby nie odbijało światła?

Spojrzałem na płamę światła, w której klęczał Ataksas, przyciskając dłonie do brzucha. Co on właściwie robił? Trzymał srebrną misę, podobną do tych, jakie widziałem w pracowni Ifikratesa.

Przeszukałem sanktuarium i znalazłem w stoliku schowane pudełka z kadzidłem i srebrną misę. Wziąłem ją i cofnąłem się w krąg światła. Znów szybko się rozejrzałem, sprawdzając, czy nikt mnie nie obserwuje, po czym uniosłem misę w górę i skierowałem odbite światło na twarz Baala-Arymana. Ostrożnie poruszałem wypolerowaną powierzchnią, aż jasny punkt przesunął się po ustach i szczęce boga. Dodatkowe, fałszywe usta oraz uzębienie rozmieszczono dokładnie tak, aby naprzemiennie odbijały światło. Patrzący dostrzegali każdorazowo tylko jeden zestaw, co chwila inny. Wyglądało to tak, jakby szczęka boga delikatnie się poruszała, kiedy po jej powierzchni pełzało światło. Lecz co z odbiciami światła, które dobywały się z jego ust? Kiedy tylko przyszła mi do głowy ta myśl, wstążka kadzidlanoego dymu przesunęła się wolno po twarzy posągu, a światło, ku mojemu zaskoczeniu, odbiło się od mlecznego dymu. Srebrna misa zawierała na początku rytuału kadzidłowiec, którym Ataksas sypnął w rozżarzony węgiel, nim padł na kolana. Każdy aspekt efektów specjalnych został pieczołowicie zaplanowany.

– Co ty tu wyprawiasz?!

Omam nie upuściłem miski, gdy się odwracałem, słysząc Ataksasa. U jego boku stali dwaj umięśnieni akolici. Nigdy nie należy przesadnie angażować się w swoje zajęcia, choćby nie wiem jak fascynujące.

– Podziwiałem tylko wasze dzieło. Świetnie zaprojektowane, moje gratulacje.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale profanujesz naszą największą świętość. A poza tym, Rzymianie, czemu się ubrałeś jak nomada z pustyni?

Wydawało mi się, że zniknął jego wyraźnie wschodni akcent.

– W tych dniach ulice nie są bezpieczne dla Rzymian – mówiłem, zastanawiając się gorączkowo, jak by stamtąd uciec. – To ma coś wspólnego z przepowiedniami twego boga.

Uniósł brwi w udawanym zdumieniu.

– Mój pan nie rzekł ani słowa o Rzymianach.

– Nie musiał. Przesłanie i tak trafiło do wiernych.

– Mówisz do mnie zagadkami. Nie jesteś tu mile widziany, Rzymianie. Zmykaj stąd, pókiś żyw.

– Grozisz mi, ty wschodni szarlatanie?

Uśmiechnął się, złożył dłonie z rozcapierzonymi palcami na piersiach i się skłonił.

– Jak skromny kapłan z Azji Mniejszej mógłby stanowić zagrożenie dla posła wszechmocnego rzymskiego imperium?

– Sarkazm powinien być zarezerwowany dla tych, którzy potrafią zrobić użytek z poczucia humoru.

Odwrócił się do swoich przybocznych.

– Moi synowie, wygnajcie tego człowieka.

Obaj wyciągnęli broń i ruszyli na mnie.

Nigdy w życiu nie uważałem się za mistrza fechtunku, lecz przynajmniej zawsze cieszyłem się zasłużoną sławą zabijaki. Gdy więc ten po prawej był tuż-tuż, powaliłem go lewym sierpowym, któremu mój *caestus* dodał nieco powagi. Padł na ziemię ze strzaskaną szczęką.

Drugi wyobraził sobie chyba, że jest zapaśnikiem, bo zamarkował klasyczny rzut przez biodro, który udaremniłem, wbijając mu czubek sztyletu w lewą pachę. Odskoczył, wyjąc. Nie chciałem komplikować i tak już pogarszającej się sytuacji zabójstwem, co, jak pomyślałem, świadczyło o niezwykłej jak na mnie powściągliwości. W końcu mogłem sięgnąć po miecz i z łatwością zabić ich obu.

Ataksas darł się wniebogłosy, wzywając strażę, akolitów, kapłanki i całe zastępy wiernych do zarznięcia *tego zuchwałego Rzymianina*. Zrozumiałem aluzję i pojąłem, że jestem tu niemile widziany. Uciekałem co sił w nogach ze świątyni Baala-Arymana, już w biegu kryjąc broń pod ubraniem. Ataksas próbował mnie gonić, lecz długie, ciężkie szaty krępowały mu ruchy. Byłem już na dole schodów i pognałem ku bocznej uliczce, kiedy on nadal był na terenie sanktuarium. Ludzie, których mijałem, stali za daleko, żeby uchwycić sens jego słów, więc tylko spoglądali zdumieni, kiedy mijałem ich w biegu. Słyszałem jednak głosy ścigających.

Wiedziałem, że w Aleksandrii niełatwo będzie zgubić pogoń. Wszędzie tylko te proste, szerokie ulice. Mój ukochany Rzym był inny. To był istny labirynt króliczych nor, lecz w postaci miasta. Rzym charakteryzował się licznymi pokręconymi uliczkami i wąskimi alejkami, które już po paru krokach skrywały cię od żadnej krwi obławy. Nieraz uciekałem przed rozwścieczonym tłumem, a czasem przed zabójcą, trafił się też niekiedy zazdrosny mąż czy dwóch, toteż wiedziałem, że najlepszy sposób na zmylenie pogoni to samemu się zagubić. Koniec końców, skoro sam nie



miałeś pojęcia, gdzie jesteś, to jak inni mieli cię odnaleźć?

Lecz w Aleksandrii to było niemożliwe. Na szczęście miałem znaczną przewagę nad moimi prześladowcami. Kilka razy skręciłem w jakieś przypadkowe boczne uliczki i nigdy nie biegłem prosto przez więcej niż jedną przecznicę. Ku swojej wielkiej uldze trafiłem na targ solny. W tej części świata handel solą zmonopolizowały karawany. Na wielbłądzich grzbietach dźwigały solne bloki z Morza Czarnego z Judei. W gromadzie zakapturzonych postaci w długich szatach wcale się nie wyróżniałem. Co prawda moje ubranie było znacznie czystsze, lecz to dało się zauważyć tylko z bliska.

Wtopiłem się w tłum, udając zainteresowanie solą i jej cenami. Kupujący dopisali, więc na targu było dość ludnie, kiedy wpadli tu ludzie Ataksasa. Łysi akolici rozglądali się za mną bezradnie. Wtem jeden z nich złapał kogoś nomadę za kark i zerwał mu kaptur. Koczownicy są bardzo dumnymi i drażliwymi ludźmi. Nawet lada dotknięcie przez obcego bez powodu uważają za śmiertelną obrazę. Ten nomada zaś po prostu wyciągnął zza przepaski krótki, zakrzywiony nóż i rozorał akolicie twarz.

Towarzysze owego nomady sądzili, że ich zaatakowano, co było uzasadnione, gdy się uwzględni nastroje, jakie ostatnio panowały w mieście. Z kolei ludzie Ataksasa najwyraźniej nie byli pewni, jaki rozkaz wydał ich przywódca, to znaczy, czy mają zaatakować wszystkich mężczyzn, noszących pustynne szaty, jakich napotkają. To właśnie takie małe nieporozumienia ożywiają powszednie dni w miastach. Chwilę później zamieszki objęły cały targ solny. Ludzi Ataksasa było więcej, lecz niewielu z nich miało przy sobie broń, co najwyżej drągi, podczas gdy wiadomo, że żaden dorosły nomada nie ruszy się bez broni. Wszyscy mieli sztylety, niektórzy miecze, wielu zamiast kijów używało włóczni do podpierania się w drodze.

Wszystko to mogło się skończyć rozlewem krwi, uznałem jednak, że nieroztropnie byłoby pozostawać tam zbyt długo dla samego widowiska. Cichaczem zniknąłem w jakiejś bocznej uliczce i spokojnie ruszyłem do pałacu. Powstrzymałem emocje, aby krok mój wydawał się spokojny. Teraz już nikt mnie nie gonił, nie chciałem jednak zwracać na siebie uwagi. Kiedy szedłem obok macedońskich koszar, zauważyłem ożywienie wśród żołnierzy, którzy przywdziewali zbroje i szykowali broń. Padło kilka rozkazów i wymaszerowali na ulicę, kierując się do Rakotis. Bez wątpienia

do koszar dotarł goniec z wieścią o zamieszkach na targu solnym.

W pobliżu pałacu wszedłem do małego ogólnodostępnego ogrodu i przez głowę ściągnąłem szaty. Zawinałem w nie broń i wsadziłem tobolek pod pachę. Przekroczyłem pałacową bramę, ubrany w tunikę, a straż oddała mi honory. Kiedy znalazłem się we własnym pokoju, ukryłem broń i szatę, po czym starałem się przybrać wygląd niewiniątka.

Nie musiałem długo czekać na wezwanie do Kretyka.

Kiedy wszedłem do jego pracowni, wyglądał na dość zniecierpliwionego.

– Decjuszu, dziś rano widziano cię, jak opuszczałeś pałac, przebrany nie wiadomo dlaczego za pustynnego nomadę. A ja właśnie otrzymałem wiadomość, że właściciele pustynnych karawan, handlujący solą, wdali się z tłumem Egipcjan w zażartą walkę. Posłano tam już wojsko, aby zaprowadziło porządek. To nie może być zwykły przypadek. Co ty znów nawyczyniałeś?

– Zaangażowałem się tylko nieco bardziej w śledztwo, panie.

Zrelacjonowałem wszystko, co dziś odkryłem.

– Czy chcesz przez to powiedzieć – zaczął tym pobłażliwym tonem, jakiego zwykle używają przełożeni, udzielając reprimendy podwładnym – że założyłeś to szczeniackie przebranie, wyszedłeś na zewnątrz i wszcząłeś zamęt, doprowadzając do zamieszek, tylko po to, aby odkryć dla własnej satysfakcji, w jaki sposób cudzoziemski hochsztapler zorganizował jedną ze swoich tanich sztuczek?

Pisane słowo nie odda tej przemowy, która zaczęła się niemalże od szeptu, po czym stopniowo głos narastał, a na koniec właściwie przeszedł w krzyk.

– Nie jest to aż tak proste – zaoponowałem. – Po pierwsze, nie kazałem tym głupcom atakować nomadów. Poza tym jestem przekonany, że to nie Ataksas zaprojektował gadającego bożka, ale Ifikrates z Chios. Pracował nad urządzeniami odbijającymi światło, używał zwierciadeł wklęsłych, takich samych jak miska do kadzideł Ataksasa. Wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby zaprojektował system rur bądź czegokolwiek innego, co przewodzi i wzmacnia głos boga.

– Wciąż masz obsesję na punkcie tego zmarłego Greka? Przy tych wszystkich problemach, jakie tu teraz mamy, kiedy stosunki rzymsko-egipskie są tak wątle, że zaraz wybuchną antyrzymskie zamieszki, ty wciąż zajmujesz się sprawą zmarłego obcokrajowca, jakiegoś matematyka!

– Bo nie chodzi tu już tylko o niego – odparłem – tylko o to, czym się

zajmował! W jakiś sposób wszystko, co się tu wydarzyło, wiąże się z Ifikratesem i właśnie dlatego został zamordowany.

– Decjuszu, wraz z upływem lat masz coraz bujniejszą wyobraźnię. Miałem nadzieję, że w Aleksandrii będziesz się trzymał z dala od problemów, lecz ty szukałbyś kłopotów nawet pod strażą Mamertynow.

Jak większość znanych mi ludzi nie potrafił poskładać całościowego obrazu sprawy z cząstkowych wydarzeń. Brakowało mu tej umiejętności. Właściwie byłem jedyny, który tę umiejętność posiadał.

– Decjuszu – zaczął stanowczo Kretyk – chcę, żebyś zapomniał o tym Greku. Chcę, żebyś się skupił na tym, żeby mi pomóc, co oznacza łagodzenie obaw lokalnej rzymskiej społeczności i bycie sympatycznym dla Ptolemeusza i jego rodu. Masz zaprzestać ścigania morderców! I nie zbliżać do Ataksasa ani do jego świątyni! Masz też unikać dowódcy Achillesa. Czy to jasne?

– Jak słońce, panie.

– Czy aprobujesz moje decyzje?

– Bez zastrzeżeń, panie.

Długo mi się przyglądał.

– Nie ufam ci.

– Ranisz mnie tym, panie.

– Wynoś się, Decjuszu. I lepiej, żebym nieprędko o tobie usłyszał.

Wyszedłem, szczęśliwy, że się tak łatwo z tego wywinąłem. Lecz gdy wróciłem do pokoju, okazało się, że tego dnia moje przygody jeszcze się nie skończyły. Hermes podszedł do mnie z niewielkim, opieczętowanym zwojem.

– Jakaś niewolnica przyszła tu dziś rano i wręczyła mi go. Powiedziała, że to niezmiernie ważne i że masz go natychmiast przeczytać.

– Rozpoznałeś tę dziewczynę?

Wzruszył ramionami.

– Jedna z wielu Greczynek.

– Czy powiedziała, kto ją przysłał?

– Ani słowa ponad to, co już przekazałem. Dała mi ten list i uciekła.

– Myślałem, że stać cię na więcej.

– Była dobrze ubrana, lecz wszyscy niewolnicy w tym pałacu noszą porządne stroje. Niska i, jak większość Greczynek, ciemnowłosa i ciemnooka. Wdaje mi się, że mówiła z akcentem z Aten, lecz nie znam aż

tak dobrze greki.

A jakże, wszyscy retorzy uczą ateńskiej wymowy, lecz jeśli tak mówi niewolnica, to zapewne rzeczywiście pochodzi z Aten. Lecz to niewiele mi dało. Niewolnicy to społeczność wielu krain.

– Cóż, może byś przeczytał ten list? – zirytował się Hermes.

– Takie rzeczy wymagają wyczucia chwili – pouczyłem go spokojnie, jednocześnie łamiąc pieczęć, po czym rozwinąłem krótki tekst. Na znakomitym papirusie ktoś pisał doskonałą greką za pomocą pióra, no może raczej kalamu, czyli zaostzonej trzciny, a może nawet egipskim pędzelkiem. Wszystko to było dość zdumiewające, lecz nie miało specjalnego znaczenia. Wiadomość natomiast miała:

*Do Decjusza Cecyliusza Metellusa Młodszeo. Witaj. Nie spotkaliśmy się. Mam na imię Hypatia. Jestem konkubina Jego Ekscelencji Orodessa, ambasadora króla Fraatesa III z Partii. Mam dla Ciebie, Panie, ważne informacje, dotyczące Partii, Rzymu oraz Ifikratesa z Chios. Spotkajmy się dziś w Nekropolis, w grobowcu Khopshef-Ra. To największy grobowiec na południowym skraju placu, nad którym dominuje obelisk Sfinksa. Przybędę tam o wschodzie księżyca i będę czekać przez godzinę.*

– Jak sądzę, udasz się tam – Hermes oczywiście chłonał każde słowo. – To najgłupsze, co możesz zrobić, więc oczywiście po prostu to zrobisz.

– Sądzisz, że to pułapka?

Zagapił się przed siebie.

– Uważasz, że istnieje w ogóle możliwość, że to *nie jest* pułapka?

– Potrafię to sobie wyobrazić. Ta kobieta opowiadała wcześniej Julii o korespondencji między Ifikratesem a partyjskim dworem. Miała do niej dostęp, więc może znalazła coś cennego.

– Czemu miałyby zdradzać Partię?

– Nie pochodzi z Partii. Jest Greczynką, a Grecy potrafią wydać każdego. Poza tym to hetera, dama do towarzystwa, wynajęta dla ambasadora na czas jego pobytu. On wróci do domu, do żony, a ona poszuka sobie innego patrona, tyle że tym razem będzie miała parę lat więcej na karku. To nie jest ten rodzaj relacji, w którym rozkwita lojalność.

– Zwyczajnie potrzebujesz wymówki, żeby się stąd wyrwać i znowu szukać problemów – rzekł Hermes.

– Po prawdzie i o to chodzi. Kretyk zabronił mi prowadzić dalej tę sprawę, co podziałało na mnie jak czerwona płachta na byka, którą *bestiariusz*

wymachuje w cyrku zwierzęciu przed oczyma.

– Wymachiwanie płachtą – zauważył Hermes – ma sprawić, żeby dumny byk nadziei się na włócznie.

– Nie zabawiaj się moimi metaforami. A może to było porównanie...? Wychodzę.

I tak oto – wbrew zakazowi rzymskiego urzędnika i mimo przestróg niewolnika – wyruszyłem w zapadającym zmierzchu na spotkanie z luksusową grecką prostytutką.

## Rozdział 10

**T**ym razem żadnych szat pustynnych. Po zmroku wystarczył prosty strój podróżnika. Chłodny wiatr wiał od morza przez miasto. Przydrożne pochodnie migotały. Takie oświetlenie przydałoby się w Rzymie, gdzie na ulicach jest tak ciemno, że gdyby w nocy przechodzień nagle oślepl, toby dowiedział się o tym dopiero rano. Tu, wzdłuż szerokich ulic, mniej więcej co pięćdziesiąt kroków, na tyczkach wysokości dziesięciu stóp płonęły żagwie. O liny i konopie, nasączone oliwą, stale dbali państwowi niewolnicy. W świetle pochodni i blasku pięknego księżyca w pełni można było nocą przemierzać ulice Aleksandrii równie szybko i pewnie, jak w ciągu dnia. A właściwie jeszcze szybciej, bo nie były zatłoczone.

Tu i tam błąkał się ktoś i czasem pojawiały się niewielkie grupki ludzi. Wracali z przyjęć i spotkań, szli w odwiedziny do znajomych, udawali się na randki i tak dalej. Aleksandryjczycy nie zwykli kłaść się spać po zachodzie słońca jak czynili to Rzymianie.

Większość mojej trasy wiodła ulicą równoległą do portu. Po prawej stronie Faros rzucała na mroczne niebo snopy światła. Widok ten zaiste robił duże wrażenie. Minąłem świątynię Posejdon i północny skraj macedońskich koszar, dwa wielkie obeliski i całe rzędy magazynów, skąd roznosił się silny zapach papirusu, głównego towaru eksportowego Aleksandrii. Przy Bramie Księżyca skręciłem na południe, w ulicę Somy, a potem na zachód, w Drogę Kanopską.

Kończyła się ona przy Bramie Nekropolis. Opłaciłem strażnika, aby

otworzył ją dla mnie. To było zapewne intratne zajęcie, ponieważ w Aleksandrii nekropola była popularnym miejscem sekretnych spotkań kochanków.

– Gdzie stoi pomnik Sfinksa? – spytałem go.

– Tuż za bramą znajdziesz, panie, aleję Seta. Idź nią na zachód trzy przecznice i skręć w lewo, w aleję Anubisa. Dwie przecznice w dół znajdziesz obelisk Sfinksa. Trudno go nie zauważyć.

Podziękowałem mu i ruszyłem przed siebie.

Nekropola może się wydawać miejscem niestosownym na schadzki kochanków, lecz aleksandryjska Nekropolis nie była podobna do innych cmentarzy. Jej układ przypomina miasto z szerokimi, prostymi alejami. Tyle że przy nich stoją grobowce zamiast domostw. Inny argument, który przemawia za tym miejscem, to charakter egipskich grobowców. Przypominają miniatury domów. Niezależnie od tego, czy zdecydowano się na tradycyjną egipską architekturę i dekoracje, czy też grecką, perską albo jeszcze inną, zawsze podstawę stanowiła typowa egipska bryła. Wchodziło się do niewielkiego pomieszczenia, jakby przedsionka, i tam zostawiało podarunki dla zmarłych. W tylnej ścianie owego przedsionka znajdowało się okienko, umożliwiające odwiedzającym zajrzenie do drugiego pomieszczenia, gdzie mieścił się posąg przedstawiający zmarłego. Egipcjanie wierzyli, że w nim przebywa jedna z dusz zmarłego, albo przynajmniej jest to miejsce, które ta dusza odwiedza, kiedy składają dla zmarłego ofiary. Zapewniał też duszy schronienie, gdyby mumia uległa zniszczeniu.

I właśnie te niewielkie pomieszczenia w przytulnych budynkach czyniły z Nekropolis pożądaną scenerię spotkań kochanków. Gdy więc szedłem uliczkami, słyszałem dokoła miłosne odgłosy, typowe dla miejsc schadzek.

W nekropoli nie było pochodni, lecz księżyc w pełni dostarczał mi więcej światła, niż potrzebowałem. Roilo się tu od wszędobylskich egipskich kotów. Podobno było też pełno myszy, które przychodziły, aby się pożywić składanymi w grobowcach darami. Koty znów polowały na myszy. To w sumie sprawiedliwy układ.

Tak jak zapowiedział strażnik, bez trudu znalazłem pomnik Sfinksa. Z cokołu, na którym spoczywał wyrzeźbiony z białego marmuru lew o ludzkiej twarzy, wyrósł też granitowy słup. Kręte baranie rogi, zdobiące twarz Sfinksa, sugerowały, że to kolejna podobizna Aleksandra, tym razem

respektująca egipskie gusta.

Zlustrowałem południowy skraj niewielkiego placu i spostrzegłem imponujący grobowiec, wzniesiony na podobieństwo antycznych mastab, które były starsze od piramid. Właściwie największa zachowana piramida to po prostu wiele mastab, coraz mniejszych, ustawionych jedna na drugiej. Dawne obyczaje wciąż odżywały w Aleksandrii, podobnie jak w Rzymie doceniono etruskie dekoracje i malowidła. Podeszedłem do grobowca i stanąłem przed drzwiami.

– Hypatio...? – zawołałem cicho.

– Wejdz do środka – dobiegł mnie ściszony głos, bez wątpienia kobiecy, w dość ponaglącej tonacji. Akceptowałem w swoim życiu pewną dozę brawury, lecz nawet w najgorszych chwilach nie byłem aż tak głupi.

– Ty wyjdz do mnie – odpowiedziałem. – Jeśli tu, na zewnątrz, ktoś jest, to tylko ludzie, którzy przyszli z tobą.

Chwyciłem rękojeść miecza, gotów wyciągnąć go przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Nie martwił mnie niedostatek światła. Jeśli ktoś nawykł do bójków nocą, w trakcie ucieczki ciemnymi ulicami Rzymu, to dla niego było tutaj jak na Forum w samo południe.

We wnętrzu grobowca coś się poruszyło i wyłoniła się stamtąd szczupła postać kobiety. Nosiła długą suknię w jasnym kolorze i narzuconą na nią ciemną *palla*, którą osłoniła głowę. Gdy wyszła, zsunęła nieco *palla*, ukazując twarz klasycznej piękności. Miała proste, równe brwi i wysoko sklepiony nos, tak ceniony przez dawnych greckich rzeźbiarzy. Jej pełne usta wyrażały raczej stanowczość. Wielkimi oczyma rozglądała się niespokojnie po niewielkim placu.

– Nikt za mną nie szedł – zapewniłem ją. – Znam się na tym.

– Tak też mówiła Julia. Powiedziała również, że będziesz ścigał każdego, kto spiskuje przeciwko Rzymowi, równie nieubłagane jak nasi przyjaciele.

Użyła eufemizmu, jakim określano straszliwe, mścicielskie demony, ponieważ wymówienie ich prawdziwego imienia mogło sprawić, że pojawią się przed oczyma rozmówcy.

– Schlebia mi to. W przeszłości świadczyłem takie usługi państwu. Co masz dla mnie?

– Pewne dzieło, ogromny papier z Pergamonu z cynobrowymi uchwytyami.

– Przeczytałem kopię, lecz jestem pewien, że przełożony biblioteki będzie wdzięczny za zwrot oryginału.



– Oryginał wyda ci się znacznie ciekawszy. Zawiera więcej niż kopia.

– Co to może być?

– Najpierw: moja cena.

Niczego innego się nie spodziewałem.

– Ile?

Roześmiała się.

– Pieniądzy mi nie brak. Wartość ma dla mnie coś innego: przynależysz  
wszak do wielkiego rodu Cecyliuszów Metellów.

– Nie mają innego wyjścia, muszą się do mnie przyznawać.

– Plebejski to ród, lecz są wśród was liczni konsulowie, dowódcy  
i wspaniali sędziowie, i to już od zarania Rzymu aż do czasów Republiki.

– Wiedzy ci nie brak.

– A tobie wpływów. Chcę wyjechać do Rzymu. Wszędzie w świecie, poza  
Rzymem, kobieta bez protektora znaczy mniej niż niewolnica. W Rzymie,  
jako osoba zamożna, będę chroniona przez prawo, nawet bez obywatelstwa.  
Jako przebywająca w tym mieście cudzoziemka, która ma za patrona  
Cecyliusza Metellusa, nie będę się musiała niczego obawiać, nawet gdy moja  
uroda przeminie.

– Godna pochwały zapobiegliwość – odparłem. – Zrobiłabyś jeszcze  
lepiej, gdybyś dla wygody zawarła małżeństwo z jakimś ubogim  
obywatelem. Są tacy mężczyźni, którzy żyją z takich usług. W ten sposób,  
nawet gdy się z tobą rozwiedzie, zachowasz wszystkie prawa obywatelki.  
Oczywiście poza tymi, które przysługują tylko mężczyznom – takimi jak  
głosowanie, sprawowanie urzędów i tym podobnymi. A twoje dzieci byłyby  
już po prostu rzymskimi obywatelami.

– Może i tak zrobię. Lecz najpierw muszę się dostać do Rzymu. Gdybym  
po prostu wsiadła na statek i przebyła morze, tobym jednak nie miała  
gwarancji, że wasi cenzorzy nie wygnają mnie z miasta, uznawszy, że  
wszędobylscy cudzoziemcy zdemoralizują prawych obywateli.

– To się da załatwić. Jeśli ktoś z mojego rodu albo jakiś przyjaciel piastuje  
urząd *praetor peregrinus*, to nie będzie żadnych kłopotów. Tak czy inaczej,  
wybory odbywają się co roku i niedługo ktoś odpowiedni powinien znaleźć  
się na właściwym stanowisku. Nie ochronię cię przed docinkami, że  
powinnaś prowadzić dom uciech, lecz mogę ci zapewnić bezpieczeństwo.  
Zakładam, oczywiście, że dzieło, które oferujesz, zawiera istotne dowody.

– Och, z całą pewnością!

– Masz je ze sobą?

– Nie, jest za duże, żebym taszczyła je przez całe miasto, lecz ci je przyniosę. Czy spędzisz jutrzejszą noc w rzymskiej ambasadzie?

– O ile mi wiadomo.

– W pałacu odbędzie się uczta na powitanie nowego armeńskiego ambasadora. Orodes i większość jego personelu też tam będą. To dobry moment, abym wyniosła zwój i ci go dostarczyła.

– Zrób tak, a nie będziesz żałować.

Podeszła blisko. Pierwszy raz poczułem zapach jej perfum. Jaśmin, pomyślałem.

– A jakie obowiązki ma podopieczna rzymskiego patrona?

– Żadnych sprawowanych publicznie – odpowiedziałem.

Zachichotała i wskazała ciemne wejście do grobowca.

– Może tam przypieczętujemy naszą umowę? To nic, że prawo tego od nas nie wymaga. Taki jest starodawny aleksandryjski obyczaj.

Nigdy nie byłem przesadnie wybredny, lecz wizja, że zrobimy to szybko na stojąco w grobowcu jakoś nie przypadła mi do gustu. Tym bardziej, że w mieście była ze mną Julia. Miała szósty zmysł, jeśli chodzi o inne kobiety. Nie sądzę, aby nastawiała przeciw mnie swego wuja Gajusza Juliusza, lecz nie należało wykluczyć takiej możliwości.

– Nasza umowa zależy od twoich dowodów. Jeśli okażą się tak ważne, jak twierdzisz... Wiesz, nie chciałbym cię wykorzystać.

– A od kiedy to Rzymianie nie wykorzystują każdej nadarzającej się okazji? Jak sobie życzysz. Twoja strata. Założę się, że nigdy nie byłeś z prawdziwą ateńską *hetaira*?

Owszem, miała rację, lecz nigdy mnie jakoś nie zachwyciły ich umiejętności, jeśli idzie o konwersację, elokwencję oraz szybkie riposty. Zakładałem więc, że i w innych dziedzinach może im brakować biegłości.

– Następnym razem – obiecałem. – Chodźmy, wracajmy do miasta.

Ruszyliśmy z powrotem jak inne pary, odwiedzające po nocach umarłych. Objąłem ją ramieniem, a ona wtuliła się we mnie, objąwszy mnie w pasie. Strażnik otworzył małą boczną furtkę, gdy zapukaliśmy, i zgarnął kolejny napiwek.

– Gdyby oficjalnie opodatkowano przejście tą bramą – zauważyłem – Ptolemeusz nie byłby takim żebrakiem.

Roześmiała się melodyjnie. Być może była to jeszcze jedna sztuczka,

w jakich została wyszkolona.

– Podoba ci się w Aleksandrii?

– Pomijając dziwne morderstwo i zamach na moje życie, podoba mi się. Jeśli ktoś nie może być w Rzymie, powinien być tutaj. A ty jak tu trafiłaś?

– Poszerzałam horyzonty. Dorastałam i szkoliłam się w domu Chrysotemis, najsłynniejszej ateńskiej hetery. To było dobre życie w porównaniu z tym, jakie wiodły zwykle ateńskie kobiety, lecz niewiele to mówi o mojej sytuacji. Ateńczycy uważają nawet szanowane kobiety za niewiele lepsze od służek. Poza tym zabawianie mężczyzn, którzy czasem potrzebują odmiany od codziennych kontaktów z chłopcami, nie dawało mi zbyt wiele satysfakcji. Odłożyłam więc trochę pieniędzy i przybyłam do Aleksandrii. Tu, wśród zagranicznych ambasadorów, prawdziwa grecka hetera jest symbolem ich statusu, a najwyżej ceni się te z Aten. Byłam już konkubiną paru ambasadorów – libańskiego, armeńskiego, bityńskiego i pontyjskiego. Tego ostatniego jeszcze za króla Mitrydatesa. A teraz służę ambasadorowi Partii.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby tyle imponujących listów uwierzytelniających – zażartowałem. – Nie mogę cię jednak winić za to, że uważasz Rzym za sympatyczniejsze miasto.

– Rzeczywiście. W mojej profesji nie ma miejsca na niedociągnięcia – lubiła grę słów. – Pożądanie klientów trwa tak długo, jak długo trwa urok młodości. Gdy zaś przeminie, droga w dół jest stroma. Znałam kobiety, które nim minęły dwa lata z doskonale opłacanych heter zamieniły się w zwykłe nierządnice, szukające okazji na ulicy.

– Świat nie jest dla naiwnych – zgodziłem się.

– Dlatego wcale nie zamierzam biernie czekać – oznajmiła. – Powiedz, czy byłeś już w aleksandryjskim ogrodzie Dafne? – spytała, zmieniając temat.

– Wyznam, że dworskie rozrywki tak mnie wyczerpały, że nie szukałem w mieście jeszcze bardziej męczących uciech.

– Nie jest aż tak znany jak ogród w Antiochii, lecz tętni życiem. Do tej pory obracałeś się wśród wysokich sfer, Rzymianinie. Spróbuj zakosztować ze mną życia niższych warstw.

– Teraz? – spojrzałem na księżyc w pełni. – Już prawie północ!

– W takim razie zabawa pewnie się zaczyna – powiedziała z uśmiechem.

Nigdy nie umiałem zbyt długo opierać się pożądaniu, toteż rzekłem:

– Prowadź!

W Rzymie łatwo było zapomnieć, że w niektórych innych miastach istniało to, co się zwie życiem nocnym. Kiedy Rzymianie mieli ochotę na rozpustę, przyjęcia zaczynali wcześniej. Nim zrobiło się za późno, aby niewolnicy odnieśli ich do domu, wszyscy byli już na niezłym rauszu. W innych miastach po prostu rozpalano pochodnie i bawiono się dalej.

Ogród Dafne w Aleksandrii nazwano na wzór słynnego miejsca rozpusty w Antiochii. Mieścił się w pięknym gaju, w greckiej dzielnicy, nieopodal Panejonu. Do wejścia wiodły rzędy pochodni. Pomiędzy nimi spacerowali sprzedawcy, kusząc rozmaitymi rzeczami, jakie się mogły przydać podczas hulaszczego wieczoru. Ku memu zdumieniu oczekiwano od nas, że będziemy nosić maski. Wykonano je dość pomysłowo, z masy papirusowej, z pewnym artyzmem i pomalowano. Wyobrażały różne postacie z mitologii oraz poezji. Przypominały raczej maski teatralne, tyle że usta pozostawały odkryte, aby bez trudu można było jeść, pić i robić to wszystko, co ktokolwiek ma ochotę wyczyniać ustami. Wybrałem twarz satyra, a Hypatia – rysy rozwiązłej nimfy.

Musieliśmy też na szyje założyć wieńce z liści laurowych i winorośli. Hypatia wplotła też sobie girlandę z mirtu w piękne czarne włosy, ja natomiast przywdziałem na głowę spory wieniec z dębowych liści, wierząc, że ukryje rzymską czuprynę. Nie to, żebym w tym miejscu szczególnie się czegoś obawiał, jednakowoż w tłumie byli tu głównie Grecy i inni cudzoziemcy. Egipcjan było najwyżej kilku.

Przy wejściu podszedł do nas tęgi mężczyzna, przebrany za sylena, by nas przywitać. Nosił biały chiton, kryjący brzuszysko, na głowie miał wieniec z winorośli, splecionej razem z winnymi gronami. Wyrecytował powitanie w miejscowej grece z Beocji.

*Przyjaciele, wejdźcie w tę świętą sferę  
Z sercem spokojnym i radosnym nastawieniem.  
Tu straszliwy Ares nie ma wstępu  
Ani trud pracowitego Hefajstosa.  
Tu rządzą: Dionizos z winem, Apollo z lirą,  
Eros i łagodne muzy.  
Tu wszyscy mężczyźni są kochankami,*

*Wszystkie kobiety swawolnymi nimfami.  
Zostawcie przed bramą troski i smutki,  
Nie ma tu dla nich miejsca.  
Witajcie, witajcie, kochani; radujcie się i bawcie!*

Wręczyłem mu hojny napiwek i weszliśmy. Ogród składał się z mnóstwa ślepych uliczek, tworzących rozległy labirynt. Pochodnie rzucały blask. Ich dym pachniał odurzająco. Światło pozwalało wyraźnie zobaczyć scenerię z jej bogactwem barw, lecz niewiele ponad to. Dosłownie tylko krok dzielił gości od znalezienia się w intymnej ciemności, tak tu pożądaney. Wszędzie stały małe stoliki, na których płonęły niewielkie lampki. Oświetlały od dołu maski, toteż goście sprawiali wrażenie istot nie z tego świata. Między stolikami krążyły kobiety w przykrótkich tunikach mitycznych nimf, mężczyźni w kostiumach satyrów, chłopcy o spiczastych uszach i ogonach faunów oraz bachantki – kobiety zmierzwionych włosach, paradujące w lamparcich skórach. Wszyscy oni dolewali wina z amfor bądź podawali na tacach smakołyki, albo po prostu tańczyli bądź grali dzikie melodie na fletni Pana, bębnach lub flecie. Wszystko to było dość rozwiązłe i niemoralne, przynajmniej w odczuciu Rzymianina, lecz tym radosnym igraszkom dziwnie brakowało fanatycznej hysterii, charakterystycznej dla, powiedzmy, rytuałów odprawianych w świątyni Baala-Arymana.

– Chodź, znajdziemy sobie jakiś stolik – nalegała Hypatia. Wędrowaliśmy labiryntem, skręcając tyle razy, że zrozpaczony uznałem, że już nigdy nie odnajdę drogi do wyjścia. Cóż, ludzie w takich miejscach zwykle nie dbają o to, żeby szybko się z nich wydostać. W końcu znaleźliśmy stolik z blatem nie większym niż dno bębna. Dziewczyna o błyszczących oczach postawiwszy na nim kubki, napełniła je. Gdy się ukloniła, piersi niemal wypadły jej z przykrótkiej tuniki. Hypatia patrzyła, gdy służka odchodziła tanecznym krokiem.

– Szkoda, że jest tak chłodno – westchnęła. – Przez większość roku mają na sobie jeszcze mniej.

Unieśliśmy kubki i przepiliśmy do siebie. Naczynia wykonano z doskonale wypolerowanego drewna oliwnego, dzięki czemu komponowały się z wiejską atmosferą tego miejsca. Wino pochodziło z Grecji, wyróżniało się żywicznym posmakiem. Przebrany za fauna chłopak podał nam tacę

owoców i serów. Po dziwacznych potrawach pałacowych, które stanowiły ucztę dla oczu i podniebienia, lecz były katastrofą dla systemu trawiennego, widząc to proste jedzenie, odetchnąłem z ulgą.

Obok nas przemknęła trupa młodzieńców i dziewczic z Argos, odtwarzająca starodawny taniec żurawi. Za nimi stąpał rostry, silny mężczyzna w przebraniu Herkulesa, okryty skórą lwa. Zabawiał bywalców pokazami siły. Dalej znów wędrowali pieśniarze, wyśpiewując erotyki i sławiąc bogów. Żadnej dętej epiki czy pieśni ku chwale wojowników i ich wyczynów. Było tak, jakby żadne przykrości w tę noc nie miały tu wstępu.

Zauważyłem, że wraz z założeniem maski, zmieniamy się w innych ludzi. Nie krępują nas już niczyje spojrzenia. Wolno nam przyjąć osobowość z maski albo każdą inną, nie bacząc na żaden przymus, i postrzegać świat niczym bóg, który spogląda na ludzi zza chmur. Podobnie dzieje się z gladiatorem, który zyskuje anonimowość, włożywszy hełm. Odtąd przestaje być kryminalistą z wyrokiem czy zrujnowanym nieszczęśnikiem, który sprzedał siebie na *ludus*, a staje się w zamian wspaniałym, nieustraszonym wojownikiem, bo nim właśnie musi być na piasku areny. Pozbywszy się swej kosmopolitycznej, żeby nie powiedzieć cynicznej pozy, zaaprobowałem fałszywą tożsamość biesiadników i aktorów, uważając ich jedynie za postacie z poezji bukolicznej.

Hypatia, kobieta nie do zdarcia, przeobraziła się w egzotyczne stworzenie z kwiatami we włosach. Jej dłonie ożywały jak lilie na polerowanym drewnie kubka. Zawsze uważałem poezję bukoliczną za najgłupszą formę twórczości, lecz tu zaczynałem rozumieć, na czym polega jej urok.

A ja? Ja byłem coraz bardziej pijany. Otoczenie i towarzystwo pozwalało mi się zapomnieć, do czego nie nawykłem. W domu zawsze musiałem zważać na ewentualne polityczne konsekwencje braku rozwagi nawet w sprawach całkowicie prywatnych. W miejscu takim jak pałac należało być i czujnym, bo to decydowało o twoim losie. Tutaj zaś nie musiałem. A poza tym nie byłem już Decjuszem Cecyliuszem Metellusem Młodszym, nieco zdeprawowaną latoroślą prominentnego rzymskiego rodu. Byłem tylko postacią jednego z tych wierszy, w których wszystkie kobiety nosiły imiona Febe lub Fyllis, a mężczyźni nie byli już mężczyznami, lecz sługami o wdzięcznym imieniu Dafnis bądź innym, podobnym.

Mówiąc wprost, całkiem opuściłem gardę. Wiem, że brzmi to, jakbym oszalał, lecz życie jest nudne, gdy się przez nie idzie, stawiając ostrożnie

krok za krokiem. Wszyscy naprawdę rozważni i opanowani mężczyźni, jakich znałem, byli smutnymi nieudacznikami, ci zaś, którzy wystrzegali się zasad, wiedli ciekawe życie, nawet jeśli krótkie.

Już po chwili obsługująca nas dziewczyna, a może inna, podobna do niej, siedziała mi na kolanach, a chłopięcy faun tulił się do Hypatii. Śpiewali, podając nam winogrona prosto do ust; pozwalaliśmy sobie na wszelkie poufałości. Poznałem więcej sposobów na wypicie toastu po grecku, niżby dało się wyobrazić. Wszechstronny język z tej greki.

Przecknąłem się w pewnym momencie, stojąc za Hypatią, z dłońmi opartymi na jej giętkich biodrach, a ktoś inny mnie trzymał za tyłek. Poczułem się zaniepokojony, lecz okazało się, że po prostu wszyscy uczymy się tańca żurawia, naśladując młodzieńców i dziewice z Argos. Taniec żurawia, tak jak ten ptak, łączy grację z niezręcznością. Hypatia uosabiała pierwszą cechę, ja zaś drugą. Nigdy wcześniej nie tańczyłem. Rzymianie nigdy nie tańczyli, chyba że należeli do wspólnoty kapłanów. Lecz coś mi się wydawało, że Grekom udało się wynaleźć naprawdę niezłą rozrywkę.

Księżyc był już bardzo nisko, gdy rozbawieni goście tłumnie wylali się z ogrodów Dafne i krętą ścieżką ruszyli ku Panejonowi. Żywe istoty mieszały się z postaciami z brązu, baraszkując i ganiając się po ścieżkach niczym wiejscy wyznawcy Pana, stosownie zresztą do pory. Rozpaleni igraszkami, pozbywali się ubrań, a wraz z nimi zahamowań i poczucia smaku.

W sanktuarium odśpiewaliśmy wspólnie tradycyjny hymn do Pana w dialekcie arkadyjskim. Migotliwe światło pochodni błędziło po figurze bożka z brązu i przez chwilę myślałem, że się uśmiechnął, naprawdę uśmiechnął, a nie mamił jak Baal-Aryman. Kobiety wieszały girlandy kwiatów na jego szyi i gigantycznym fallusie. Kilka zamaskowanych dam błagało go, by pomógł im zająć w ciążę. Jeśli zapał modlitewny miał tu cokolwiek do rzeczy, wszystkie bez wyjątków powinny urodzić bliźniaki.

Z Panejonu do pałacu nie było daleko, lecz nie chciało mi się tam wracać. Byłem już zmęczony tymi wszystkimi spiskami oraz intrygami. Mimo wszelkich luksusów po magicznej nocy w ogrodach Dafne dwór wydawał się miejscem ponurym.

– Muszę cię tu zostawić – Hypatia zatrzymała się przy bramie, nieopodal rzymskiej placówki. – Mój protektor gości mnie tu w pobliżu, w jednym z domów. Kobietom nie wolno przebywać w ambasadzie Partii.

– No to jak jutro do mnie przyjdiesz? – spytałem, z niechęcią myśląc

o tym, że zaraz odejdzie, choć instynkt podpowiadał co innego.

Zsunęła maskę na głowę, wtuliła się w moje ramiona i całowała mnie. Gotów byłem przenieść ją przez bramę i przystać na ofertę, którą odrzuciłem w nekropoli. Lecz ona się odsunęła i położyła mi palec na ustach.

– Już za późno, czas minął. Rozglądaj się za mną jutrzejszego wieczora. Do pałacu można wejść bez kłopotu, jeśli ma się przyjaciół, a ja mam ich więcej niż inni. Przyniosę to dzieło, a ty pomożesz mi się urządzać w Rzymie.

– Dałem słowo – przypominałem.

– W takim razie dobrej nocy. Do jutra – odwróciła się i odeszła.

Z ciężkim westchnieniem powlokłem się ku bramie. Pamiętałem, żeby zdjąć maskę i ukryć ją pod tuniką. Strażnik przy bramie sennie odwzajemnił moje nie mniej senne pozdrowienie. Pałac był tak pozbawiony życia jak Nekropolis, pomyślałem, idąc krętymi ścieżkami.

Ambasada, o ile to możliwe, była jeszcze bardziej pozbawiona oznak życia. Żadnego kręcącego się niewolnika. Bardzo mi to odpowiadało. Wiedziałem, że tym razem moja nieobecność musiałyby potwierdzić najgorsze obawy Kretyka. Dotarłem do mojego pokoju niezauważony, zrzuciłem pelerynę na podłogę, złożywszy uprzednio z chrzęstem broń na stole, lecz w prześlasku rozsądku wszystko schowałem w skrzyni. Maskę powiesiłem na ścianie.

Tunikę zostawiłem tam, gdzie ją cisnąłem. Wycesałem z włosów liście winorośli i padłem wycieńczony na łóżko. To był jeden z najbardziej obfitujących w wydarzenia dni w moim życiu. Czy naprawdę zaczął się od wizyty u Baala-Arymana? Wydawało mi się, że musiały minąć tygodnie. Najpierw doskonała łamigłówka i rozszyfrowanie sztuczki Ataksasa, potem ucieczka przez Rakotis i zamieszki na targu solnym.

Wreszcie noc, zainicjowana schadzką w mieście umarłych, a zwieńczona istnym arkadyjskim rytuałem płodności. Mimo upodobania do przygód nie nawykłem do tak szybkich zmian miejsc i okoliczności. W tym mieście śmierć czyhała na każdym kroku i zbierała obfite żniwo, lecz jednego mogłem być pewien. Tu nigdy nie umrę z nudów.

Niepokoilo mnie wspomnienie Hypatii, wtulającej się w moje ramiona, lecz wiedziałem, że już kolejnej nocy znów ją ujrzę. Może posmakujemy razem innych rodzajów egzotycznej rozpusty. A może to, co przyniesie, wyjaśni tajemnicze okoliczności śmierci Ifikratesa.

Zasypiałem ukontentowany wydarzeniami minionego dnia, nie mogąc



doczekać się ranka. Było mi tak dobrze, że drzemałem w poczuciu spełnienia, lecz gdy się rano obudziłem, w łóżku obok mnie spoczywała martwa kobieta.

## Rozdział 11

**N**ie potrafiłem zrozumieć, dlaczego legion kogutów wydzierał mi się prosto do ucha. Z pewnością mimo raczej dziwacznych upodobań ci pseudoegipscy Macedończycy nie trzymali w pałacu żywego inwentarza. Potem nieco rozjaśniło mi się w głowie i zdałem sobie sprawę, że to niewolnicy placówki dyplomatycznej podnieśli taki raban. Niektórzy byli eunuchami, stąd pojawiająca się tonacja falsetu w całym zamieszaniu. Co, u licha, tak ich poruszyło?

Z ogromnym wysiłkiem usiadłem. Potarłem oczy, próbując odzyskać ostrość widzenia. Natychmiast uznałem, że mam ten rodzaj kaca, który sprawia, że podejrzewasz bogów o zrabowanie ci młodości w czasie snu. W ustach czułem smak *garum* z dna stągwi. Żywiczne greckie wino dodawało tej plugawości mocy. Jakby mi ktoś natarł usta dziegciem i żywicą.

Spojrzałem przekrwionymi oczami na niewolników, którzy stali u wejścia, pokazując mnie sobie i gadając coś po egipsku. Ci za nimi też wybałuszali gały.

– O co chodzi? – zażądałem wyjaśnień. Chciałem, by to zabrzmiało groźnie, lecz z moich ust wydobył się ledwie skrzek. – Poszaleliście wszyscy?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że wskazują nie na mnie, lecz na coś, co się znajdowało obok. Z włosami zjeżonymi ze strachu obróciłem się, by to zobaczyć, po czym mocno zamknąłem oczy. Nic nie pomogło. Gdy je znów otworzyłem, wciąż tam była. Hypatia... i to bez dwóch zdań martwa.

Gdybym był poetą, rzekłbym, że jej szeroko otwarte oczy wyrażały skargę, lecz tak naprawdę nic już nie wyrażały. Oczy zmarłych są pozbawione wyrazu.

Była naga, a kościana rękojeść sztyletu sterczała tuż pod jej lewą piersią. Miała też maleńką ranę poniżej lewego ucha, a jej cudne czarne włosy były powalane krwią. Przy niej, na podłodze, dostrzegłem jej poplamiony krwią strój.

– Co to ma znaczyć? – Do środka wpadł Kretyk. Malowniczy widok sprawił, że pobladł jak trup. Za nim wszedł Rufus i inni pracownicy.

– To nie jest... – przeklinałem język sztywny jak kołek.

Kretyk wskazał mnie palcem.

– Decjuszu Cecyliuszu Metellu, aresztuję cię. Związać go i wrzucić do piwnic.

Dwaj krzepcy mężczyźni o ogolonych łbach wyszli przed szereg i położyli na mnie łapy. To byli *wiązacz* oraz *biczownik*, zatrudnieni przez ambasadę do utrzymywania dyscypliny wśród niewolników. Nieczęsto mieli szanse praktykować umiejętności na wolnym człowieku, więc naprawdę się przyłożyli. Szarpnięciem wygięli mi ręce do tyłu i założyli kajdanki. Potem dźwignęli mnie na nogi.

– Dajcie mi się przynajmniej ubrać! – syknąłem.

– Decjuszu, jesteś nie tylko degeneratem, ale i szaleńcem – oznajmił w odpowiedzi Kretyk. – Pójdę porozmawiać o tobie z królem. Jako że należysz do ambasady, nie może domagać się twojej głowy, lecz bądź pewien, że zakosztujesz podobnych emocji przed senatem i zostaniesz wygnany na najmniejszą, najbardziej jałową wysepkę na morzu!

– Jestem niewinny! – wyskrzeczalem. – Przyprowadź Asklepiodesa!

– Co? – nie pojął Kretyk. – Kogo?

– Asklepiodesa, tego medyka! Chcę, aby obejrzał ciało, zanim Grecy je skremują! On dowiedzie mojej niewinności!

Z desperacji właściwie wcale nie byłem tego taki pewien.

– Rufusie! Idź do Muzejonu i go tu przyprowadź!

Wydawał się zdziwiony, lecz lekko skinął głową. Nie byłem nawet pewien, czy zrozumiał moją prośbę. Wiazacz i biczownik wlekli mnie przez korytarze, wśród wybałuszających oczy niewolników, i dalej, w dół, po schodach, do piwnicy. Tam nałożyli mi na szyję obrozę i przykuli łańcuchem do ściany. Radośnie coś gadali w jakimś barbarzyńskim języku. Ich nabijane

brązowymi ćwiekami pasy raniły moją zmaltretowaną skórę. Z tymi wielkimi brzuszyskami i grubymi ramionami w skórzanych opaskach wyglądali jak małpy udające ludzi. No cóż, na te stanowiska nie zatrudnia się ze względu na wykwintne maniery. Jeszcze raz sprawdzili okowy i pozostawili mnie własnym myślom, te zaś nie były najweselsze.

W jakiś sposób nieźle mnie spito. Nie byłem do końca pewien, jak to się stało, lecz coś mi się wydaje, że walnie się do tego przyczyniłem. No i teraz wszyscy mnie uważali za mordercę. Ofiarą była wolna kobieta, rezydentka Aleksandrii, co prawda obcego pochodzenia. W najlepszym razie Ptolemeusz zezwolił wyekspediować mnie po cichu z powrotem do Rzymu. Nie miałem wątpliwości, że Kretyk doprowadzi do oskarżenia mnie przed senatem, tak jak groził. Rzymscy urzędnicy cieszyli się pewną wolnością w obcych krajach, lecz zhańbienie dobrego imienia Republiki przez członka misji dyplomatycznej było nie do pomyślenia.

Jak się z tego wyplątać? Wszystko zdarzyło się tak nagle, a mój umysł wciąż był tak otumaniony, że nie byłem w stanie pojąć, co się stało, a tym bardziej planować linii obrony. Znałem tylko parę podstawowych faktów: znaleziono w moim łóżku kobietę, Hypatię, bez wątpienia martwą. Czy w ogóle cokolwiek przemawiało na moją korzyść?

Nóż, który tkwił w jej ciele, nie należał do mnie. Z ulgą przypomniałem sobie, że zanim położyłem się spać, broń zamknąłem w skrzyni. Może coś z tego dałoby się wykorzystać. Z pewnością też nie miałem powodu, aby ją zabić, lecz z doświadczenia wiedziałem, że w sprawach o zabójstwo motyw bierze się pod uwagę dopiero na samym końcu, szczególnie jeśli są wyraźne dowody winy. A w tym wypadku były bardzo wyraźne.

Jak do tego doszło? Zdecydowanie za łatwo. Pałac był pogrążony we śnie, a ja byłem zbyt pijany, żeby zauważyć przybycie podstępnych Galów. Biedną Hypatię złożono w moim łóżku, a mordercy lub ich służący zniknęli bezszelestnie. Wszystko przebiegło tak gładko, jakby byli oficjalnymi dostawcami, realizującymi zamówienie.

Dlaczego mnie po prostu nie zabili? Skoro Achillesowi i Ataksasowi zależało, abym zakończył dochodzenie, wydawało mi się, że najprostszym rozwiązaniem byłoby wbicie sztyletu w moje serce, a nie jakiejś niewinnej kobiety. Chociaż Hypatia nie była wcale niewiniątkiem, czy to z racji życia zawodowego, czy wskutek skłonności do spiskowania. Lochy to doskonałe miejsce do snucia takich przemyśleń. Nic mnie tu nie rozpraszało. Choć nie

polecam tego jako częstej praktyki.

Wiele dałbym, aby móc się poradzić moich przyjaciół, Cyncerona i Milona. Za sprawą chłodnej analizy Cyncerona i geniuszu łotra Milona w ciągu kilku minut zagadka została by rozwikłana. Cynceron kiedyś powiedział mi, że wielu ludzi, wchodząc w konflikt z prawem, nie może zrozumieć swojej sytuacji, ponieważ zawsze uważają, że to na nich ogniskuje się sprawa. Każdy człowiek istnieje w centrum swojego własnego wszechświata i wierzy, że jest też w centrum uwagi bogów oraz innych ludzi. A to błędne przekonanie, którego trzeba się wystrzegać.

Podejrzewałem, że za wszystkim stał Achilles. Ataksas był współsprawcą i jego marionetką. Milon twierdził, że pokonał inne kanalie w Rzymie, rozumując tak jak one. Dzięki temu potrafił uprzedzić każdy atak. Najtrudniejszą rzeczą było, jak twierdził, zrozumieć sposób myślenia tych, którzy byli głupszy od niego. Właściwie wszyscy byli od niego głupszy.

Achilles chciał mnie usunąć z drogi, lecz czy naprawdę byłem aż tak ważny? Ten człowiek pragnął objąć tron Egiptu. Moje śledztwo irytowało go, bo zagrażało jego planom, lecz jakie to miało znaczenie w kontekście dalekosiężnych celów? Od ponad stu lat było oczywiste, że władcą Egiptu będzie ten, kogo wesprze Rzym. Rzym zaś, chcąc zachować stabilizację, zawsze konsekwentnie wspierał słabych, głupich, lecz tradycjonalistycznych Ptolemeuszów.

To nie ja stanowiłem kłopot dla Achillesa. To Rzym był jego problemem.

Ja zaś uczynnie dałem mu do ręki cudowną broń w tej walce przeciwko Rzymowi. Ja, rzymski dyplomata, zamordowałem wolną kobietę z Aleksandrii. W dodatku popełniłem zbrodnię nie na zewnątrz, lecz w samym pałacu. Miasto było gotowe do wybuchu antyrzymskich zamieszek, a ja dolałem oliwy do ognia.

Było takie stare galijskie powiedzenie o dwóch ptakach, upolowanych za pomocą jednej strzały. Zdrajczyni – Hypatia i tak musiała ponieść karę, czemu by więc nie zrobić z niej mojej biednej, niewinnej ofiary? To znów nadało moim myślom zupełnie inny kierunek. Czy jej zdrada została odkryta, czy może Achilles od samego początku wszystko ukartował? Może miała tylko odegrać swoją rolę, może nie rozumiała, że zapłata, która ją czeka, to sztylet w sercu. Ateńska hetera ma wykształcenie podobne do aktorskiego. Z gracją uspiła moją czujność, sprawiła, abym opuścił gardę, pożądając zarówno tajemniczego dzieła, jak i jej biegłego ciała. Wiedziała, że piękna

kobieta zawsze zdoła usidlić młodego mężczyznę, udając, że nie może mu się oprzeć. A właściwie każdego mężczyznę, wiek tu nie ma znaczenia.

Hałas u góry schodów rozproszył moją uwagę. Drzwi otwarto i zamknięto. Wszedł ktoś, niosąc jakieś światło.

– Kimkolwiek jesteś, mam nadzieję, że przyszedłeś tu, aby mnie wypuścić. Jestem niewinny!

– To ja, Julia.

– Jak się tu dostałaś?

– Pieszko, idioto.

– Och... no... Julio... może to nie najlepszy pomysł podchodzić z tą lampą zbyt blisko mnie. Wyciągnęli mnie z łóżka, nie dając nawet szansy, abym się ubrał. Jestem... cóż... nie da się tego inaczej opisać... jestem nagi.

Podeszła bez litości.

– Skoro mam cię poślubić, to i tak wcześniej czy później czeka mnie poznanie okrutnej prawdy. Poza tym coś mi się wydaje, że znaleziona w twoim łóżku kobieta była również naga. Och, Decjuszu, coś ty znów nawyprawiał... Wiedziałam, że jesteś lekkomyślny, lecz nigdy wcześniej nikogo nie zamordowałeś.

– I ty mi nie wierzysz? – Skoro moja narzeczona sądziła, że jestem mordercą, to znaczy, że wpakowałam się w niezłe tarapaty.

– Wiem, że to niemożliwe, lecz okoliczności są tak obciążające! W pałacu plotkuje się tylko o tym.

– Założę się, że wiem, kto szerzy plotki. Julio, Asklepiodes musi zbadać ciało tej kobiety w moim pokoju, o ile jeszcze go stamtąd nie usunięto. Rufus chyba po niego poszedł, lecz nie jestem tego pewien.

– Dopilnuję tego – odparła. – A teraz opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło.

I tak zrobiłem. Groźnie zmarszczyła brwi, gdy zająknąłem się przy wyprawie do ogrodu Dafne.

– Chcesz mi powiedzieć, że zabrałeś prostytutkę w powszechnie znane miejsce rozpusty?

– Julio! – zaprotestowałem. – Była moją informatorką! Musiałem działać tak, aby czuła się zadowolona!

– A to ci zbieg okoliczności! Czy czułbyś się równie zobowiązany, gdyby była stara i brzydka?

– Nie gadaj głupstw. Czy ambasador Partii mógł mieć starą i brzydka

konkubinę?

– Posłuchaj mnie, Decjuszu. Zrobię, co w mojej mocy, żebyś wyszedł z tego żywy, lecz zaczynam wątpić w twoje zdrowie psychiczne. Człowiek, który potrafi się wplątać w tak groteskową sytuację, jest bardzo kiepskim kandydatem na męża, nawet jeśli nie zadaje się z prostytutkami.

– Muszę zdobyć to dzieło, Julio – uparłem się. – To w nim tkwi odpowiedź! Dzięki niemu dowiodę spisku i zasłużę na wdzięczność Ptolemeusza, ogłoszą mnie zbawcą Rzymu i wszystko zostanie mi wybaczone!

– Budujesz zamki na piasku. Ta kobieta mogła konfabulować.

– Nie sądzę. Myślę, że w tym wypadku większą pokusę stanowiło właśnie powiedzenie prawdy.

– Nie zdołasz tego wykazać.

– Rzeczywiście. W dodatku jestem skuty jak krnąbrny niewolnik i podejrzewam, że znacznie trudniej dostać się do ambasady Partii niż do rzymskiej.

Raptem przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Julio, czy Hypatia nie pomagała przypadkiem ambasadorowi Partii w tłumaczeniu korespondencji?

– Tak mówiła.

– *Cóż, kobietom nie wolno wchodzić do ambasady Partii!* Gdzie w takim razie się tym zajmowała?

– Ty mi to powiedz.

– Wynajął dla niej dom gdzieś w pobliżu pałacu. I pewnie tam również analizowali zdobycz z biblioteki. Wciąż może tam być!

– Na pewno Achilles już ją stamtąd zabrał, skoro zawiera tak istotne dowody winy.

– Niekoniecznie. Achilles sądzi, że pozbył się wszystkich swoich problemów. Nie ma powodu, żeby działać szybko. Muszę zdobyć to dzieło!

– Jak? – spytała, konkretna jak zawsze.

– Gdyby to był Rzym, po prostu skontaktowałbym się z Milonem, a ten dałby mi do dyspozycji z tuzin włamywaczy.

– Lecz, jak sam zauważyłeś, to nie jest Rzym.

– Wynika stąd, że sam będę musiał się tym zająć.

Od niechcienia wyciągnęła palec wskazujący ku łańcuchom, krępującym moje kończyny.

– Owszem, przyznaję, że są pewne komplikacje. Muszę się uwolnić. Daj mi chwilę pomyśleć... Po prostu się dowiedz, gdzie znajduje się dom Hypatii. Kobiety na dworze lubią plotkować. Któraś musi wiedzieć. Powiedziała, że ma w pałacu wielu przyjaciół.

– Zrobię, co w mojej mocy, lecz sądzę, że najbezpieczniej dla ciebie byłoby, gdybyś natychmiast wrócił do Rzymu i spokojnie stawił się na rozprawę przed rzymskim senatem. Wpływy mojego wuja...

– Nie chcę być nic dłużny Gajuszowi Juliuszowi – zachnąłem się. – A poza tym, co tu dadzą wpływy konsula, skoro moja rodzina z chęcią zobaczy mnie na wygnaniu, abym nie przynosił im wstydu? Po prostu się dowiedz, który to dom. Jeśli będę musiał, przekupię niewolnika, żeby mi przepiłował kajdany. A teraz już idź. I pamiętaj o Asklepiodesie!

Pochyliła się nade mną i pocałowała, po czym czmychnęła i już jej nie było. Była cudowną, dzielną dziewczyną, lecz wiedziałem, że noc w ogrodach Dafne będzie mi się odbijać czkawką do końca życia.

Zostawiła lampę. Po chwili jej drżący płomień rozgorzał na tyle, że mogłem obejrzeć swoją siedzibę. To była piwnica na wino. Pomieszczenie przecinał otwarty tunel z bieżącą wodą. Amfory umieszczono w nurcie, aby trzymać je w chłodzie. Pomysłowy system tuneli łączył Aleksandrię z Nilem. Woda płynęła przez podziemia większości publicznych budynków i domostw w mieście, zapewniając dostawy wody i odpływ ścieków.

Wykorzystanie tego pomieszczenia na karcer wymagało nieco pomysłowości. Długość łańcucha, krępującego mi szyję, sprawiała, że wino było poza moim zasięgiem, co zadawało mi cierpienia na miarę Tantala. Na szczęście alkohol był ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem. Jednak zapach rzecznej wody wzmagał obezwładniające pragnienie.

Po chwili drzwi znów się otwarły i po schodach zeszło kilku mężczyzn. Niektórzy byli uzbrojeni. Kretyk gestem kazał mnie rozkuć więzaczowi i biczownikowi. Jednym szarpnięciem postawili mnie na nogi.

– Decjuszu – zaczął – wystąpiłem o przesłuchanie ciebie przed obliczem króla Ptolemeusza, nim ta sytuacja całkiem wymknie się nam z rąk. Zapewnił nam bezpieczne przejście do sali tronowej i powrót.

– Wody... – szepnąłem. Niewolnik zanurzył miskę w rzeczonym nurcie i podał mi ją. Mając nadzieję, że się nie struję, piłem łapczywie, aż wreszcie zdołałem przemówić, nie krztusząc się.

– Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby to on tutaj przyszedł? – spytałem. –



To rzymskie terytorium.

– Król nie przyjdzie tu, aby wyświadczyć uprzejmość zdegenerowanemu mordercy, nawet jeśli pochodzi on z Rzymu. Ciesz się tym, co masz.

– Za tym stoi Achilles – stwierdziłem.

Kretyk odwrócił się do swoich ludzi.

– Obmyjcie go i pozwólcie mu się ubrać. Tylko szybko. I nie spuszczać z niego oczu.

Ruszył z powrotem po schodach, a mnie powleczono za nim na górę. W łaźni wykąpałem się, ogoliłem i napiłem wody do woli. Odświeżony i w czystym stroju, czułem się bez porównania pewniej. Nawet obwiniony lepiej wygląda w todzie. W przedsionku zgromadziła się grupa Rzymian. Nie dostrzegłem wśród nich Rufusa.

– Chodźmy – Kretyk strzelił palcami. – I zachowywać się jak na Rzymian przystało!

Zeszliśmy po schodach placówki dyplomatycznej. Na samym dole, gdzie kończyło się rzymskie terytorium, stał podwójny szereg macedońskich żołnierzy ciągnący się aż do pałacu. Stado gapiów patrzyło, jak podążaliśmy dostojnie tak powstałym szpalerem.

Ptolemeusz siedział w sali tronowej, wystrojony, jak władcy przystało. Łączył w swym ubiorze różne style, zgodnie z aleksandryjskim obyczajem. Miał na sobie macedońską królewską szatę w odcieniu purpury tyryjskiej, bogato wyszywaną złotem, podobną do rzymskich szat triumfatorów. Jego głowę zdobiła podwójna korona Egiptu, złożona z korony Górnego Egiptu, zwanej Białą oraz z Czerwonej Korony Dolnego Egiptu. Na przodzie korony widniał łeb kobry (ureusz) oraz głowa sępa. Wszystko w Egipcie było podwójne – bo odnosiło się do Obu Krajów. W dłoniach dzierżył oznaki władzy: *heka* oraz *nechech*. Do brody doczepił sobie tę głupawą, małą sztuczną bródkę, należącą do insygniów królewskich. Jakimś cudem wydawał się trzeźwy.

Był tam i Achilles, wśród wielu osób w strojach partyjskich. Berenika na szczęście pozostawiła gdzieś swoje gepardy, razem z pawianami i karłami. Księżniczkę otoczyło stado pochlebców. Wśród nich ujrzałem Julię. Plotkowała z jakimiś kobietami. Fausta stała przy Berenice z właściwym jej sardonicznym uśmiechem na twarzy.

– Kwintusie Cecyliuszu Metellusie Kretyku – zaczął Ptolemeusz – twojemu krewniakowi, Decjuszowi Cecyliuszowi Metellusowi Młodszemu,

postawiono ciężki zarzut. Wolna kobieta, cudzoziemka zamieszkała w Aleksandrii, została tego ranka znaleziona martwa w jego łóżku. Wszystkie dowody przemawiają za jego winą. Co masz do powiedzenia?

– Wasza Wysokość, mój krewniak Decjusz to bezmyślny i dumny młodzieniaszek, lecz nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł zamordować kogoś z zimną krwią. Tak czy inaczej, mocą starodawnego obyczaju nasza placówka dyplomatyczna stanowi rzymskie terytorium i zgodnie z prawem to rzymski sąd powinien go przesłuchać.

– Wasza Wysokość! – zawołał Achilles. – Tego nie można tak zostawić! W sprawę zamieszana jest też inna ambasada. Owa kobieta, Hypatia, zamordowana przez młodego Metellusa, była oficjalną konkubiną mojego dobrego przyjaciela, Jego Ekscelencji Orodessa, przedstawiciela króla Fraatesa III z Partii.

Ptolemeusz spojrział na przewodniczącego partyjskiej delegacji.

– Czy to prawda?

Mężczyzna dał krok w przód.

– Prawda, Wasza Wysokość – rozciągnął zwój, prezentując go królowi. – To jest jej kontrakt, ustanawiający konkubinat. Zauważ, panie, że został jeszcze ponad rok zobowiązań, a ten człowiek – wskazał mnie palcem – jest mi winien za to, z czego już nie skorzystam!

– Rozumiem – rzekł Ptolemeusz i zwrócił się do Metellusa – w takim razie, panie ambasadorze, jako że dotyczy to również przedstawiciela z innej zagranicznej placówki, muszę przeprowadzić dodatkowe dochodzenie. Czy Decjusz nadal utrzymuje, że jest niewinny?

– Jestem niewinny, panie – odrzekłem, nie czekając, aż Kretyk wystąpi w mojej sprawie.

– Wasza Wysokość – wtrącił Achilles – oprócz ciała kobiety znalezionej w jego łóżku była tam też maska i girlandy tego rodzaju, jakie są powszechne w ogrodach Dafne. Jeśli chcesz, panie, przedstawię świadków, którzy potwierdzą, że morderca i ta kobieta bawili się tam ostatniej nocy.

Kretyk spurpurowiał na twarzy, nadymając się jak ropucha. Tym razem jednak skierował swój gniew nie na mnie, lecz przeciw Achillesowi.

– Czy mogę spytać, panie, co cię to wszystko obchodzi? I jak to jest, że wiesz, co się wydarzyło w pokoju Decjusza? To jest rzymskie terytorium!

– Co mnie to obchodzi? Jestem lojalnym sługą króla Ptolemeusza i nie chcę w pobliżu swego władcy żadnych cudzoziemców, stosujących przemoc!

A co do mojej wiedzy... w tej chwili wszyscy w pałacu już wiedzą, co rano znaleziono w jego pokoju. Twój personel to gadatliwa zgraja.

– Raczej obstawiałbym płatnych szpiegów! – zaperzył się Kretyk.

W tej chwili drzwi się otworzyły i pojawił się Rufus. Tuż za nim weszli Amfitrion i Asklepiodes. Omal nie zemdlałem, tak mi ulżyło. Mijając mnie, Asklepiodes się uśmiechnął. Ocal mnie, stary druhu, błagałem w myślach. Rufus przyłączył się do rzymskiej delegacji i pochylił się ku mnie:

– Nie jestem ci już winien tych pięciuset denarów – wyszeptał.

– Ależ oczywiście – potwierdziłem zniecierpliwiony. I tak przecież wiedziałem, że je odzyskam. Ten człowiek słabo się znał na koniach i rydwanach.

– A co wy, panowie, tutaj robicie? – spytał Ptolemeusz.

– Wasza Wysokość – odparł Amfitrion, kłaniając się. – oto medyk Asklepiodes, przyjezdny uczony. Pracuje w szkole medycyny w Muzejonie.

– Pamiętam go – powiedział Ptolemeusz.

– Panie, Asklepiodes jest znanym w świecie specjalistą w dziedzinie ran, zadanych różnymi typami broni. Właśnie wracamy z oględzin zwłok zamordowanej kobiety i ma on coś ważnego do powiedzenia w tej sprawie.

– Wasza Wysokość! – wściekł się Achilles. – Czy musimy wysłuchiwać przemądrzałych bredni tych uczonych?

– Wasza Wysokość – wtrącił Kretyk – szacowny Amfitrion ma rację. Asklepiodes to uznany autorytet w tej dziedzinie i wielokrotnie występował w rzymskich sądach jako ekspert.

– Mów więc, uczony Asklepiodesie – zezwolił Ptolemeusz.

Asklepiodes stanął pośrodku sali i nieco teatralnie poprawiwszy szaty, zaczął tak:

– Wasza Wysokość, Wasze Ekscelencje, pracownicy placówek dyplomatycznych, szanowni panowie i damy, królewski dworzec... Wszystko, co powiem, jest prawdą. Przysięgam na Apollina, pana srebrnego łuku, Hermesa Trismegistosa i Hipokratesa, mistrza mojej sztuki.

– Niezły ma styl, co? – szepnął Rufus.

– Cicho... – skarciłem go.

– Kobieta, rozpoznana jako Hypatia, hetera z Aten, zmarła bardzo wczesną godziną tego ranka. Nóż znaleziono wbity między jej żebra, tuż poniżej lewej piersi. Lecz cios ten wymierzono jej pośmiertnie. Rana, która spowodowała śmierć, to małe nacięcie arterii szyjnej tuż pod lewym uchem.

Jego słowa przykuły uwagę słuchaczy. Mówił dobitnie, posługując się tak powściągliwą gestykulacją, że nie sposób tego opisać.

– Ciało wykrwawiło się niemal całkowicie, co jest typowe w przypadku tego rodzaju zranień. A jednak ani w pokoju, ani na samym łóżku nie było krwi, poza tą, którą można zauważyć na jej szacie, ciśniętej na podłogę. Nieco krwi wsiąkło też we włosy kobiety, lecz to wszystko zbyt mało, zważywszy na stan zwłok.

– Co to oznacza? – spytał Ptolemeusz.

– Kobietę zabito gdzieś indziej, a następnie zwłoki przeniesiono do ambasady i położono na łóżku oskarżonego. – Przez salę przeszedł szmer komentarzy.

Achilles na to wzruszył ramionami i powiedział:

– A więc zabił ją gdzieś, a potem zaniósł do łóżka. Rzymianie to nekrofile. Zawsze tak twierdziłem.

– To zaś – kontynuował Asklepiodes – jest narzędzie, którym zadźgano nieszczęsną kobietę.

Uniósł do góry nóż o trzonku z kości słoniowej. Jego zakrzywione ostrze miało około dwudziestu centymetrów długości, było pojedyncze. Teraz szmer komentarzy był wyraźniejszy wśród Rzymian.

– Czy to ważne? – odezwał się Ptolemeusz.

– Wasza Wysokość! – wykrzyknął Kretyk. – To całkiem zmienia postać rzeczy! Jestem teraz znacznie bardziej skłonny wesprzeć zapewnienia mego nieznośnego krewniaka o jego niewinności!

Ptolemeusz obejrzał zakrwawiony nóż o zakrzywionym ostrzu.

– Wygląda normalnie – uznał.

– Może w Aleksandrii, lecz nie w Rzymie! – oznajmił Kretyk z prawniczą swadą. Panie, w Rzymie na taką broń mówimy *sica*. Widać, że jest zakrzywiona i ma tylko pojedyncze ostrze. Rzymskie prawo uznaje ją za broń niegodną. To ulubiony oręż rzezimieszków i trackich gladiatorów. Broń honorowa jest prosta i ma podwójne ostrze, jak *pugio* i *gladius*, które uznajemy za godne wolnego człowieka!

– Czy dobrze zrozumiałem, że sam kształt ostrza stanowi o tym, że jedna broń jest honorowa, a inna niegodna? – spytał Ptolemeusz, chcąc się upewnić.

– Właśnie tak – potwierdził Kretyk. – Naprawdę nie sądzę, aby mój krewny mógł popełnić morderstwo. Lecz gdyby je popełnił, to raczej za

pomocą *pugio* lub *gladiusa*, a nawet gołymi rękami. Nie zniżyłby się do zabijania za pomocą *sica*!

– Słuchajcie go, słuchajcie! – darli się przedstawiciele Rzymu, ze mną na czele.

– Wasza Wysokość – zabrał głos Achilles – czyli że mamy nie tylko uwierzyć w brednie tych mędrków, lecz także rozważać bezmierne nonsensy rzymskiego prawa? Ten człowiek zhańbił egipski dwór i zarazem okazał lekceważenie, typowe dla sposobu traktowania naszych ludzi przez Rzym.

– Panie Achillesie – przerwał mu Ptolemeusz. – Robisz strasznie dużo zamieszania o jakąś martwą nierządnicę. Masz natychmiast przestać.

Ach, jakże miło było widzieć, jak ten stary pijak pokazał pazury. Achilles z niechętną miną skinął głową. Ptolemeusz zwrócił się ku nam.

– Wasza Ekscelencjo, jestem skłonny uznać twierdzenie twojego krewniaka, że jest niewinny, choć czuję się nieco zagubiony. Wasze obyczaje prawne wydają się nam osobliwe, lecz nie wątpię, że w waszym odczuciu są w pełni uzasadnione. Panie Orodese – zwrócił się do Partów – jeśli pomoże to załagodzić konflikt, wykupię resztę zobowiązań tej kobiety, wynikających z kontraktu, skoro jej ciało znaleziono w mojej rezydencji, nawet jeśli gdzie indziej zginęła. Zadbam nawet o jej pogrzeb. Czy to cię satysfakcjonuje, panie?

Orodes spojrział wilkiem.

– Doskonale, Wasza Wysokość.

Ptolemeusz znów odwrócił się do nas.

– Powiedz mi, młody Decjuszu, jak to się stało, że bawiłeś się w towarzystwie tej kobiety w ogrodach Dafne...

– Właściwie, panie – odparłem, czując pewien niesmak do siebie – spotkaliśmy się w Nekropolis.

Na te słowa cały dwór aż zatrzęsł się od śmiechu.

– Wasza Wysokość – spytał zdumiony Kretyk – co ma oznaczać to niestosowne rozbawienie?

Ptolemeusz otarł łzy z kącików oczu.

– Ekscelencjo... Nekropolis to wprawdzie miejsce spoczynku naszych znamienitych zmarłych, lecz jest to również najbardziej popularne miejsce schadzek w Aleksandrii. Cóż, kiedy byłem młodszy... no, nieważne. Mów dalej, młody Decjuszu. Dla takiej opowieści warto było wstać wcześniej.

– Panie, prowadziłem śledztwo, do którego mnie sam przypisałeś.

– Owszem, pamiętam.

– Kobieta umówiła się tam ze mną, aby powiedzieć mi coś bardzo ważnego. Uznałem, że należy wykorzystać tę sposobność i spotkałem się z nią, tak jak chciała. Zamierzała przenieść się do Rzymu, lecz potrzebny był jej patron, aby ją wspierał w razie kłopotów z przepisami. Zgodziłem się na to, jeśli dowody, które miała dostarczyć, okazałyby się naprawdę istotne.

– No a jakie były? – zaciekał się władca.

– Miała je przynieść najbliższej nocy, lecz że nie żyje, to już nie przyniesie. Nie wiem, jakiego rodzaju miały to być dowody.

Nie do końca kłamałem. Samo dzieło nie stanowiło podstawy do oskarżeń. W końcu nie na darmo studiowałem prawo.

– A jak to się stało, że znalazłeś się w ogrodach Dafne?

– To ona chciała się tam wybrać.

– No i...?

– Noc była jeszcze młoda. Dlaczego nie?

Znów wszyscy wybuchli śmiechem, oprócz Achillesa i Orodessa. No... i Julii.

– Kwintusie Cecyliuszu Metellusie Kretyku...

– Tak, Wasza Wysokość?

– Mam dość powodów, aby wątpić w winę twojego krewnego. Postanawiam, że będzie pod twoim dozorem. Trzymaj go z dala od intryg. Dwór może się rozejść.

Sługa zastukał metalową skuwką laski w gładki marmur i wszyscy skłonili się przed królem. Rzymianie skłonili się lekko, a pozostali cudzoziemcy zgięli wpoł. Egipcjanie zaś po prostu padli na podłogę.

– Wracamy do siebie – zarządził Kretyk. Odwróciliśmy się i z wielką godnością opuściliśmy dwór. Asklepiodes ustawił się za mną.

– To było doskonale przedstawienie, nawet jak na mnie – puszył się.

– Nie zapomnę ci tego. Czy było jeszcze coś, o czym nie powiedziałeś królowi?

– Powiedziałem wszystko, co świadczyło o twojej niewinności. To znaczy... o tym, że nie jesteś mordercą – uśmiechnął się bezczelnie. – Zauważyłem jednak kilka szczegółów. Na ciele kobiety było wiele siniaków. Ktoś zabił ją w niezwykle okrutny sposób.

– Tortury?

– Nie, oznak torturowania nie zauważyłem. Lecz znalazłem w jej ustach to

– wręczył mi coś, co przypominało kawałek rozmokłej skóry, z jednej strony brązowawej, z drugiej raczej różowej.

– A co to takiego?

– Ludzka tkanka. Zakładam, że dama nie była kanibalem, a to jest fragment ciała mordercy. Albo jednego z jej morderców. Mężczyzna ten ma z czterdzieści–pięćdziesiąt lat, należy do rasy o raczej jasnej skórze, ale za życia sporo przebywał na słońcu.

– Asklepiodesie, przeszedłeś samego siebie. Masz jakiś pomysł, z której części ciała to pochodzi?

– Z takiej, która jest wystawiona na promienie słoneczne. Tak mała próbka uniemożliwia dalsze wnioski. Nie pochodzi z twarzy, dłoni, stóp ani penisa. Przypuszczam, że z ramienia albo przedramienia, lecz mimo rozległej wiedzy nie jestem tego pewien.

– W porządku – zapewniłem go. – Będę pilnie oglądał wszystkie. To powinno wystarczyć.

– Bynajmniej, nic nie obejrzysz – wtrącił Kretyk. – Teraz bowiem idziesz prosto do swojego pokoju. Stamtąd pierwszym statkiem odeślemy cię do Rzymu. Nawet jeśli nie jesteś mordercą, to sprawiasz więcej problemów niż kohorta sycylijskich wojsk pomocniczych! Nie chcę już o tobie słyszeć niczego więcej, poza dobrymi wieściami, że właśnie minąłeś Faros w drodze do domu. Miłego dnia! – dodał już ze schodów wiodących do ambasady.

Ruszyłem za nim. Znajomi klepali mnie ze zrozumieniem po ramieniu, najczęściej mówiąc:

– Zawsze wierzyłem, że to nie ty zrobiłeś, Decjuszu.

Asklepiodes poszedł za mną. Ciało Hypatii zabrano z mego pokoju razem z jej zakrwawioną szatą. Wiedziałem, że już nigdy nie zdołam położyć się do tego łóżka. Wezwałem niewolników.

– Zabierzcie ten barłóg i spalcie – rozkazałem. – Przynieście mi jakieś inne łóżko.

W Egipcie można tak grymasić. Ponadto zażądałem posiłku, bo poczułem się głodny.

– A jak postępuje śledztwo dotyczące zamordowania Ifikratesa? – spytał Asklepiodes.

Kiedy już podano do stołu i zaczęliśmy jeść, opowiedziałem mu, co się wydarzyło. Ilekroć wchodził któryś z niewolników, milkłem. Z pewnością przynajmniej niektórzy z nich musieli donosić Achillesowi. Asklepiodes

wysłuchał mnie do końca, potakująco kiwając głową i pomrukując ze zrozumieniem.

– To sprytne z tym zwierciadłem... – zauważył. – Ifikrates zajmował się licznymi dziedzinami wiedzy, lecz nie do wszystkich się przyznawał. Zastanawiam się, co mu obiecał Achilles.

– Co? Zakładam, że płacił mu po prostu gotówką.

– Niewykluczone, lecz Ifikrates nigdy mi nie wyglądał na człowieka, któremu szczególnie zależy na dobrach materialnych. Wielu uczonych natomiast pragnie prestiżu w środowisku, a więc liczących się stanowisk. Gdyby Achilles został królem Egiptu, mógłby postawić Ifikratesa na czele Muzejonu. A wówczas ten wykorzystałby wszelkie dostępne urzędnika i talenty, aby rozwijać swoje imponujące projekty. Dla tego typu uczonego, który lubi weryfikować swoje pomysły w praktyce, prawdziwą gratyfikacją może być przeniesienie ich z papirusów do rzeczywistości.

– Asklepiodesie – rzekłem – widziałem mężczyzn, którzy walczyli, knuli i popełniali wszelkiego rodzaju niegodziwości, aby zyskać bogactwa lub czynili to z zemsty. Podziwiałem, gdy poświęcali życie dla wojen bądź polityki, dopuszczali się zdrad, ażeby zyskać władzę nad towarzyszami. Wyznaję jednak, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że można to wszystko robić dla... dla swoistego awansu społecznego w gronie uczonych.

Uśmiechnął się dobrodusznie.

– W takim razie miałeś dużo szczęścia, że nigdy nie przestawałeś z ludźmi uprawiającymi zawodowo miłość do wiedzy.



## Rozdział 12

Poczekalem do nocy, uznawszy, że to i tak chwalebna powściągliwość z mojej strony. Gdy wyszedł Asklepiodes, nie brakowało mi towarzystwa, bo ku mojemu zdziwieniu odwiedziła mnie Fausta. Przyszła tuż przed zmierzchem, chłodna i władcza, jak zawsze. Miała w sobie coś nieludzkiego. Korneliusze uważali się za ród wyjątkowy, i to nawet w gronie patrycjuszy. Ponadto była córką Sulli, najstraszliwszego dyktatora w dziejach Rzymu. A do tego miała brata bliźniaka i stanowiła jego wierne odzwierciedlenie. Jej charakter był kombinacją tak piekielną, że nie cieszyła się poważaniem, lecz się jej najzwyczajniej panicznie bano. Mimo ogromnych bogactw pozostawała niezamężna, aż nieoczekiwanie zdecydowała się na małżeństwo z Tytusem Anniuszem Milonem, jak sądzę, jedynym człowiekiem, który po prostu nie znał strachu.

Wiedziałem, że przyjdzie mu żałować tego ożenku. Mimo przeogromnego uroku osobistego i wnikliwej inteligencji biednemu Milonowi brakowało doświadczenia w postępowaniu z kobietami. Jego *idée fixe*, podobnie zresztą jak wielu innych, była władza. W pogoni za nią zaniedbywał to, co w jego odczuciu było mniej ważne, tak jak konieczne, choć czasem wprawiające w konsternację relacje z kobietami. Milo miał w nosie zakłopotanie.

W istocie związek z Faustą oznaczał dla niego korzystną transakcję. Był nikomu nieznanym przybyszem z Ostii, który chciał mieć Rzym u stóp. Zaczął od zera, stał się wpływowym przywódcą gangu, po czym zaczął się pięć po urzędniczej drabinie awansów. Zapragnął mieć żonę i to dobrze

urodzoną, najlepiej patrycjuszkę. Nie zaszkodziłoby, gdyby się odpowiednio prezentowała. Fausta to był z jego punktu widzenia doskonały wybór. Tyle że pominął, iż Fausta była Faustą. To tak jakby kupił konia, nie bacząc na nic poza jego wyglądem i pochodzeniem ani nie myśląc o tym, że narowisty koń może jeźdźca zrzucić, z radością pogruchotać mu kości i skopać na śmierć dla czystej zabawy. Lecz była to kwestia przyszłości.

– Zaczynam rozumieć, co widzi w tobie Julia, Decjuszu Cecyliuszu – rzekła zamiast wstępu.

– To, że zamknęli mnie w lochach i skarżą, przez co mogę stracić życie?

Zasiadła na pokracznym egipskim krzeselku.

– Co czułeś, kiedy przykuli cię nagiego do ściany? Podniecenie?

– Jeśli sobie życzysz – odparłem – wezwę *wiązacza z biczownikiem*. Mogą cię zabrać do piwnicy i pięknie skuć. Chciałabyś u nich zamówić jakieś specjalne usługi?

– Och, to taka nuda, kiedy się godzi dobrowolnie na wszystko.

– Fausto, z pewnością nie przyszedłeś tutaj, aby omawiać swoje osobliwe upodobania.

– Nie, przyszedłem, aby ci to przynieść – wyciągnęła złożony papirus. – To od Julii. Czy znów zamierzasz zrobić jakieś głupstwo?

– Przy pierwszej sposobności.

Wziąłem od niej papirus i rozłożyłem.

– Dlaczego Julia sama mi go nie przyniosła?

– Berenika nalegała, aby Julia pomogła jej wybrać strój na ucztę, która odbędzie się dziś w nocy. Ma pewno z kilkaset strojów, więc nie oczekuj, że twoja narzeczona szybko się pojawi. Wspomniała jednak, że bardzo miło ją zaskoczyło, jak wyglądasz bez ubrania.

– Ma doskonały gust.

Przeczytałem notkę. *Dom, w którym mieszkała Hypatia, znajduje się na ulicy Cieśli, naprzeciw wschodniego krańca teatru. Ma czerwoną fasadę, a wejście zdobią rzeźbione liście akantu. Nie zrób żadnego głupstwa.*

– Przeczytałaś to? – spytałem.

– Oczywiście, że przeczytałam. Nie jestem niewolnicą na posyłki. Po co ci wiedza, gdzie mieszkała ta nieszczęsna kobieta?

– Wystarczy, że ja znam tego powód. Dlaczego jesteś taka ciekawska?

– Skoro nienawidzi cię tylu wpływowych ludzi, musi być w tobie coś, czego nie doceniałam.

– Jak dobrze znaleźć się w uroczych kręgach twoich ulubieńców. Tak, teraz i ja już jestem celem zabójców.

– W moim odczuciu to zawsze dodaje mężczyźnie uroku i działa podniecająco. Lecz nie dotyczy to biednej Julii. Ona naprawdę martwi się o ciebie. – Ku mojej uldze Fausta w końcu wstała. – Teraz muszę już iść, Decjuszu. Coś mi się wydaje, że o ile przeżyjesz, możesz być jeszcze całkiem interesującym mężczyzną.

I wyszła. Rufus wpadł do mnie, aby powiedzieć, że Kretyk rozpytuje o statki płynące do Rzymu. Nie mógł jednak znaleźć, toteż dowiadywał się o płynące dokądkolwiek... Mój czas na uporządkowanie spraw w Aleksandrii kurczył się nieubłaganie. Na szczęście Kretyk nie postawił u moich drzwi straży. Było tak może po prostu dlatego, że ambasada nie dysponowała uzbrojoną strażą. Zawsze jednak mogli posłać *biczownika* i *wiązacza*, lecz skoro nie byłem już oskarżony o morderstwo, posłużenie się niewolnikami byłoby niewłaściwe.

Kiedy więc tylko zapadły ciemności i wszyscy udali się na spoczynek, włożyłem płaszcz i wyszedłem.

Znów byłem na ulicach Aleksandrii nocą. Zmierzałem w stronę teatru, jednego z charakterystycznych obiektów w mieście. W Grecji teatry wbudowywano w stoki wzgórz, wykorzystując naturalne ukształtowanie terenu. Aleksandria zaś była płaska, toteż tutejszy gmach był wolno stojącym budynkiem, nieco podobnym do tego, jaki Pompejusz wznosił na Polach Marsowych w Rzymie. Widać go było już z daleka. Właściwie dostrzegłem go, gdy tylko wyszedłem poza obręb pałacu.

Teatr w Aleksandrii był wielkim centrum prostytucji, podobnie jak *Circus Maximus* w Rzymie. Jest coś takiego w przytulnych podcieniach, co przyciąga osoby parające się tym fachem. Swoje usługi oferowały obie płcie, a nawet kilka indywidualów oceniłbym jako połączenie cech obu.

Powałęsałem się w okolicy, udając, że oceniam towar, porównuję wygląd, ceny i specjalizacje (tak naprawdę nie byłem zainteresowany), przez cały czas nie spuszczać wzroku z domu o czerwonym frontonie i rzeźbieniach przy wejściu. Światło pochodni pozwalało rozpoznać kolor, lecz co do rzeźbień, musiałem przyjąć, że to akant. Zresztą nie odróżniłbym akantu od topoli.

Istota nieokreślonej płci, o wielkich, łzawych brązowych oczach, zauważyła moje zainteresowanie i podeszła do mnie.

– Na to cię nie stać – powiedziała (a może powiedział? Brak odpowiednich form gramatycznych w odniesieniu do takich ludzi).

– Skąd wiesz? – spytałem.

– To utrzymanka jakichś ogromnie bogatych mężczyzn. Naprawdę dobrze jej płacą i wątpię, aby sposobą im się myśli, że będzie szerzej oferować swe wdzięki.

– Im? A więc należy do kilku mężczyzn?

– Och, tak. Przynajmniej trzech przychodzi na zmianę. A czasem nawet wszyscy trzej jednocześnie. Musi znać jakieś wymyślne sztuczki, dzięki którym obsługuje wszystkich naraz.

– Kim oni są?

– A czemu aż tak cię to ciekawi? – przyjrzała mi się podejrzliwie.

Byłem o krok, by ujawnić jej sprawę morderstwa, ale wtedy na pewno by zamilkła, wiedząc, że może być wzywana jako świadek w procesie.

– Mam pewne powody, aby domniemywać, że to niewolnica, która zbiegła z Syrakuz od swojego pana.

– W takim razie chodzi ci o nagrodę.

– Mogę zapłacić za informacje.

– Przecież już ci dużo powiedziałam – nadąsała się.

– W takim razie popełniłaś błąd. – Wyciągnąłem dwa srebrne denary i położyłem je na miękkiej dłoni. – Opisz tych trzech, którzy przychodzą stale.

– Jeden to obcokrajowiec ze Wschodu, z Syrii czy może Partii, jak sądzę. On u niej bywa niemal każdej nocy. Jest też rosły, przystojny mężczyzna, który woli ubiór przypominający wojskowy uniform. Trzeci to drobny Grek. Ale raczej nie z Grecji, jak sądzę... z któregoś z tych greckich miast-kolonii na Wschodzie.

– Skąd wiesz aż tyle?

– Kupował usługi od paru chłopaków. Słyszałam też, jak mówi. Próbuje udawać ateńską wymowę, lecz nie całkiem sobie z tym radzi. Za to ma ładny głos, jak szkolony mówca.

– A są tu dziś jacyś chłopcy, którzy z nim byli?

– Raczej nie. To takie urocze łajdaki, co szybko przychodzą i równie szybko odchodzą. Przeważnie zbiegowie, czy to wolni, czy niewolnicy. Nigdzie długo nie zagrzeją miejsca.

Rzuciłem jej jeszcze denara i poszedłem do budynku. Mogłem tu

oczekiwać Orodessa i Achillesa, lecz kim był ów Grek? Taka kobieta jak Hypatia mogła mieć dowolnie wielu kochanków na boku, lecz miejscowy Ganimedes twierdził, że od czasu do czasu wszyscy trzej bywali tu jednocześnie. Nieważne. Dla mnie liczyło się dzieło, które mogło znajdować się w tym budynku.

Nie dostrzegłem w środku lamp, lecz to jeszcze o niczym nie świadczyło. Od strony ulicy były tylko dwa małe okna na pierwszym piętrze. Przyległe budynki też wyglądały na prywatne. Obszedłem tę przecznicę. Z drugiej strony był ciąg niewielkich sklepów. Większość okiennic zamknięto na noc, lecz wypatrzyłem jeszcze otwarty mały sklep z winem. O ile trafnie oceniłem, mieścił się dokładnie naprzeciw domu Hypatii. Wszedłem do środka i poczułem się jak w Rzymie, tyle że pomieszczenie było lepiej oświetlone i wentylowane. Od uliczki na tyłach dzieliła mnie ściana. Przez uchylone klapy pod powałą wpadała do środka wieczorna bryza.

Wewnątrz, wzdłuż jednej ze ścian, biegła długa lada. Po drugiej stronie ustawiono niewielkie stoliki, przy których siedzieli klienci, pijąc i rozmawiając po cichu. Nikt na mnie nawet nie spojrzał. Podeszedłem do kontuaru i zamówiłem kubek wina z Chios. Stały tam też tace z przekąskami, dlatego uprzytomniłem sobie, że od dłuższego czasu nic nie jadłem, a niedobrze jest pić na pusty żołądek. Nałożyłem sobie trochę chleba, sera, fig i kiełbasy.

Gdy już wszystko zmiotłem z talerza, zastanawiałem się nad kolejnym ruchem. Musiałem się włamać do tego domu, a najprostszy sposób to chyba było przedostanie się na tyły budynku. Odniosłem pusty kubek i talerz na ladę.

– Jeszcze wina, panie? – zapytał chłopak z obsługi, jednooki drab w brudnej tunice.

– Tymczasem wystarczy. Czy na tyłach jest ogólnodostępna latryna?

– Nie ma. Znajdziesz ją, panie, dalej, przy ulicy.

– To mnie nie satysfakcjonuje. Tak naprawdę muszę się tu dostać na tyły. Zamierzam złożyć wizytę pewnej damie i nie chcę, żeby mnie ktoś widział wchodzącego od frontu.

Właściwie powiedziałem mu prawdę. Uśmiechnął się szeroko i szybko ukrył srebrnego denara, którego wziął z mojej wyciągniętej dłoni.

– Proszę tędy, panie.

Przez kotarę udającą drzwi poprowadził mnie na zaplecze sklepu. Mieli

tam magazyn z amforami, pełne stały po prawej stronie, puste po lewej, oraz przeróżne wiktuały i zapasy. Jakieś schody wiodły na wyższe piętro, pewnie do mieszkania właściciela sklepu. Odblokował zasuwę w tylnych drzwiach i mnie przepuścił.

– Czy będziesz wracał tą samą drogą, panie?

– Raczej nie, lecz ktoś to może wiedzieć.

– Nie mogę zostawić otwartych drzwi, lecz jeśli dość mocno załomoczesz, przyjdę i ci otworzę.

– Jeśli skorzystam z tego, znajdzie się dla ciebie kolejny denar – zapewniłem go.

– W takim razie udanego wieczoru, panie.

Coś mi się wydawało, że już wcześniej świadczył podobne usługi.

Za sklepem znajdował się rozległy dziedziniec, współdzielony przez większość mieszkańców przecznicy. Podobnie jak w Rzymie, również w Aleksandrii niewiele budynków stało frontem do ulicy. Podwórka rozdzielały murki do wysokości głowy, z furtkami. Wspiąłem się na taki murek i bacznie przyjrzałem okolicy. W ogródkach i na balkonach pierwszego piętra nie było nikogo. Panowała cisza. Koty łąziły po niskich ogrodzeniach bezgłośnie jak duchy.

W budynku, w którym, jak przypuszczałem, mieszkała Hypatia, było ciemno. Przebiegłem po murku i zeskoczyłem na jej podwórko. Wszędzie stały donice pełne rozkwitłych roślin. Na samym środku ustawiono marmurowy stolik, a wokół niego krzesła z brązu. Bez wątplenia miło było spędzać tutaj czas w ciepłe dni. Biedna Hypatia musiała się tu czuć naprawdę komfortowo.

Przedarłem się przez kwiaty i nacisnąłem klamkę drzwi na parterze. Otworzyły się cicho. Ostrożnie wszedłem do środka w obawie, że gdzieś tu mogą spać niewolnicy lekkim snem. Nie odważyłem się wpuścić światła ulicznych pochodni, dopóki się nie upewniłem, że jestem sam, więc przez kolejną godzinę zwiedzałem dom po omacku, poruszając się na palcach. Na wszystkich piętrach było pusto. Chwyciłem lampę i zacząłem schodzić na dół, gratulując sobie i geniuszu, i szczęścia, lecz wtedy dobiegł mnie ode drzwi jakiś dźwięk. Ktoś grzebał w zamku kluczem. Na palcach wycofałem się na górę, do największego na tym piętrze pokoju. To była sypialnia. Skuliłem się pod łóżkiem niczym młodociany kochanek w komedii.

Na dole rozległy się męskie głosy. Po ścianach klatki schodowej pełzało

wątle światło. I nagle głosy te rozbrzmiały w moim pokoju. Z niezbyt dogodnego punktu obserwacyjnego doliczyłem się trzech par stóp – w azjatyckich pantoflach, w greckich sandałach i w *caligae*, wojskowym obuwiu.

– Jest w gabinecie – rzekł ktoś stanowczo. – Mówiłem, że sam mogę go zabrać.

– Wiele rzeczy moglibyśmy robić osobno, gdybyśmy sobie wzajemnie ufali, lecz tak nie jest.

To był ten tajemniczy mężczyzna o szkolonym głosie, mówiący po grecku, lecz z lekkim obcym akcentem.

– Noc ucieka – rzekł trzeci obcesowo, po wojskowemu. – Miejmy to już za sobą.

Bez wątpienia Achilles, pomyślałem sobie, choć cedził słowa dość powściągliwie, jakby maskując narastającą irytację. Cóż, spiskowcy rzadko są jednomyślni. Stopy przemieściły się gdzieś, szurając, po czym dobiegło mnie skrobanie drewna. Następnie zaś usłyszałem głośny szelest, który świadczył o tym, że rozwinięto ciężki zwój.

– Niezmiernie interesujące dzieło – zaczął głos grecki. – Jedyne pierwsza część traktatu Bitona o machinach wojennych, jak wiecie, jest przez niego napisana. Zawiera również rozprawę Eneasza Taktikosa o sztuce wojennej i unikatową pracę pewnego Ateńczyka, który omawia szkołę mechaniki, założoną przez tyrana Dionizosa I z Syrakuz w celu udoskonalenia konstrukcji wojskowych. Dzieło to jest obficie ilustrowane.

– Przeczytałem je w całości lata temu – rzekły wojskowe trepy. – Owszem, przyznaję, wartościowe, lecz nie to jest najważniejsze.

– To prawda – wtrąciły greckie sandały. – Ale... – tu znów zaszeleścili – znajdziemy tutaj oryginalne plany nowych machin Ifikratesa, w tym systemu napędowego gigantycznej wieży, zwierciadła służącego do podpalania statków wroga... szkoda, że działają tylko w słoneczne dni... Dlaczego król Fraates tak się niecierpliwi, kiedy je dostanie?

– Partowie to głównie łucznicy na koniach – wyjaśniły wojskowe trepy. – To im pozwala skutecznie walczyć metodą szarpaną w otwartym polu, gdy ścierają się z rzymskimi siłami. Bo w polu liczy się ciężka piechota Rzymian i niewiele poza tym. Lecz przecież są też mistrzami w oblężeniu i obronie ufortyfikowanych pozycji, a z tym już sobie nie poradzą konni łucznicy. Wojna Partii z Rzymem oznacza sytuację patową, w której obie strony tylko

się wykrwawiają. Partia będzie zwyciężać w polu, a Rzym przejmie i utrzyma forty, miasta i porty. Mając takie maszyny wojenne oraz wyszkolonych konstruktorów, pošemy ich, skąd przysli. Partia nie będzie się musiała wcale obawiać Rzymu.

– Rozumiem. Tutaj zaś mamy wcześniejszy szkic porozumienia... a że brakuje nam pomocy świętej pamięci Hypatii...

– Czy naprawdę trzeba było ją zabijać? – wysyczały azjatyckie pantofle.

– Bez najmniejszej wątpliwości – obruszyły się greckie sandały. – Miała zamiar wydać nas Rzymianom.

– Nie tolerujemy oszustw, ani dokonanych przez ateńską dziwkę, ani przez uczonych z Chios – twardo dodały wojskowe trepy.

– Tak, zakładam, że właśnie ten człowiek musiał umrzeć – zgodziły się z nim azjatyckie pantofle. – Wchodzenie w układy z władcami Numidii oraz Armenii można było jeszcze puścić płazem, ale szantazu – nie. Jednakowoż – westchnął ciężko – był wyjątkowo pomysłowy i jego też będzie nam brakować.

– Odczytam paragraf po paragrafie – rzekły greckie sandały. – Mogę potem tłumaczyć to na partyjski. Obawiam się, że gdy zbrakło twej nieodżałowanej konkubiny, musisz zaufać rzetelności mojego przekładu.

– Na tym etapie – odparły azjatyckie pantofle – nie obawiam się już podwójnej gry. Jednak musisz zrozumieć, że wszystko zależy wyłącznie od tego, czy pan Achilles zostanie królem Egiptu.

– O to nie powinieneś się martwić – zapewniły greckie sandały. – My, Grecy, jesteśmy autorami koncepcji samospełniającej się przepowiedni. Już niedługo bóg Baal-Aryman wyzna, że pan Achilles jest w istocie synem zmarłego króla Ptolemeusza, a więc prawowitym dziedzicem podwójnej korony. Będzie musiał obalić uzurpatora, fałszywego Ptolemeusza. Następnie pošubi księżniczkę Berenikę, a być może również Kleopatę i Arsinoe. I wtedy stanie na czele Egiptu i przywróci mu pradawną świetność.

– O ile tylko nie sięgnie po terytorium Partów – wtrąciły azjatyckie pantofle.

– I tego właśnie dotyczy porozumienie – włączyły się wojskowe trepy. – Zajmijmy się nim. Chciałbym ten dom opuścić przed świtem.

Zaczęli czytać, klauzula po klauzuli. Przymierze Egiptu i Partii było wymierzone przeciw Rzymowi. Ifikrates z Achillesem przekonali Fraatesa, że dzięki tym głupawym konstrukcjom bez wysiłku zdołają stawić czoło



rzymskim legionom. Znacznie bardziej złowrogo brzmiał już gotowy pakt wojenny osi Egipt–Partia. Według tego, co już uzgodniono, Egipt miał najechać Synaj, aż po Judeę, Syrię i dalej po Eufrat. Fraates posłałby swoich konnych łuczników (oraz te nowe, wspaniałe maszyny) na zachód, do Pontu, Bitynii oraz Azji Mniejszej, aż po Hellespont, aby całkowicie wyprzeć Rzym ze swojego terytorium. Plan był wprost niewiarygodnie ambitny i nawet uznałbym go za nierealny, gdyby nie jedno. Gotowaliśmy się do wojny w Galii. Kiedy zmarł Mitrydates, straciliśmy czujność i byliśmy przekonani, że Wschód jest już całkowicie spacyfikowany. Zdałem sobie sprawę, że mogło im się udać.

Nie zamierzałem na to pozwolić. Podśluchałem wszystko. Byłem we właściwym miejscu i miałem dokumenty oraz konspiratorów na wyciągnięcie ręki. Ale przede wszystkim czułem, że za chwilę umrę, jeśli się nie wysikam.

Już samo leżenie w ciszy pod łóżkiem przez kilka godzin było dość trudne. Musiałem się pilnować, żeby się nie przekręcić, nie podrapać ani nie kichnąć. Lecz sprawy się mają znacznie gorzej, jeśli wcześniej wypije się kubek wina z Chios.

– Wydaje mi się, że dobrze dbamy o nasze interesy – podsumowały wojskowe trepy po zakończeniu lektury. Wciąż miałem wrażenie, że ten głos nieco drży. – Na zewnątrz już dnieje.

– Odeślę dzieło i zapisy traktatu królowi Fraatesowi – rzekły azjatyckie pantofle.

– No to ja ruszam do świątyni – odezwały się greckie sandały. – Miłego dnia, panowie, i pomyślności w nowej epoce.

– Nie tak szybko! – wykrzyknąłem, wyskakując spod łóżka, i wyciągnąłem miecz, aż delikatna egipska materia trzepnęła z furkotem o ścianę. – Mam was wszystkich...

Cała trójka cofnęła się, patrząc na mnie z zaskoczeniem i przerażeniem. Najpierw zauważyłem, że wojskowe trepy to wcale nie Achilles. Był to Memnon z zabandażowaną szczęką, w którą zdzieliłem go kastetem. Nic dziwnego, że głos miał drżący. Zdążył już również wyciągnąć miecz.

Orodes był tym, kogo spodziewałem się ujrzeć, lecz trzeciego mężczyzny nie rozpoznałem, choć w zasadzie... wydawał mi się jakoś znajomy. Był to Grek o krótko przyszczyżonej brodzie i ledwo zakrywających uszy włosach. Sięgnął za tunikę i wyjął osobliwy toporek o mocno zakrzywionym ostrzu, którego druga strona wydłużała się w szpic. Trzonek został byle jak przycięty

i mierzył nie więcej niż stopę. Uśmiechnąłem się do niego.

– Lepiej wyglądasz bez peruki i fałszywej brody, Ataksasie. Po co ci ta siekiera? Znów się zamierzasz na byki? A może niewolnik taki jak ty po prostu nigdy się nie nauczył posługiwać bronią ludzi wolnych?

– Rzymianin! – Memnon posłał mi taki uśmiech, że to cud, iż nie padłem. – Przysięgam, że pomszczę ciosy, które mi zadałeś!

Orodes rzucił się po zwój. Został już ponownie zwinięty, choć po bokach wystawały brzegi jakiegoś papirusu, pewnie wcześniejsze szkice planowanego traktatu. Sięgnął po dzieło, lecz czubkiem *gladiusa* rozorałem mu przedramię od nadgarstka po łokieć. Zawył i odskoczył.

– O nie, nie. To należy do mnie – oznajmiłem. – W końcu szykuje się proces o zdradę króla i pewnie kilka wyroków skazujących na ukrzyżowanie po tym, jak zaprezentuję dowody najpierw królowi Ptolemeuszowi, a potem przed senatem.

Memnon zachichotał.

– Mylisz się, Rzymianinie, sądząc, że wydostaniesz się stąd żywy.

Zaczął się do mnie zbliżać na szeroko rozstawionych, mocno stabilnych nogach, krokiem charakterystycznym dla wyszkolonych we władaniu mieczem. Też podszedłem do niego, jak mnie uczono, lecz w stylu gladiatorów, przenosząc ciężar na śródstopie. Podniosłem dziwaczne krzeselko, chcąc go użyć zamiast tarczy. Memnon owinał płaszczem lewe przedramię, też dla ochrony.

Wymierzył cios prosto w moją twarz. Posługiwał się mieczem greckiego typu, dłuższym niż mój, z przesuniętym środkiem ciężkości. Okazał się odrobinę za wolny. Zdążyłem się uchylić i odwzajemnić cios. Kiedy jednak uderza się za pomocą *gladiusa*, ramię staje się dogodnym celem. Dlatego gladiatorzy chronią atakujące ramię zbroją. Mogłem więc tylko dźgnąć i uciec szybko niczym wąż. Chciałem wpakować Memnonowi ostrze prosto w gardło, lecz zdążył głowę cofnąć i uchronić. Drasnąłem go tylko w policzek. Zabrałem jednak ramię tak szybko, że nie zdążył w nie uderzyć. Zamiast tego wymierzył cios nisko, w mój brzuch. Szarpnąłem się do tyłu, trochę nieporadnie, bo za długo przebywałem pod łóżkiem i zdrętwiałem. Obróciłem w dół krzesło, odbiłem miecz w bok, dałem krok w przód i pchnąłem ostrze w jego piersi. Żaden Trak w amfiteatrze nie wyprowadził tego ciosu tak gładko.

Memnon jednak bez dwóch zdań był znakomitym szermierzem. Uniósł

owinięte płaszczem przedramię w górę i w bok, zbił mój miecz wzdłuż lewego ramienia, zarazem wślizgując się w lukę i wymierzając mi cios w brzuch. Obniżyłem krzesło i tak go zniecka zablokowałem. Czubek ostrza wbił się w jedną z nóg krzesła, rozszczepił ją i w niej utknął. Szarpnąłem krzesło w bok, biorąc szeroki zamach mieczem i wymierzyłem mu cios prosto w brzuch, tuż poniżej mostka. Rozpłatałem go w górę aż po serce. Dla pewności obróciłem w nim ostrze, zanim je wyciągnąłem. W ślad za ostrzem krew trysnęła strugą.

Memnon upadł na stół, strącając przy okazji lampy, lecz we wnętrzu nie zapanowały ciemności. Słońce już bowiem weszło i przez okno wpadał jego blask. Po raz pierwszy, odkąd zaatakował mnie Memnon, mogłem się rozejrzeć, by zobaczyć, co robi dwóch pozostałych.

Orodes zniknął. Nie słyszałem, jak zbiegał po schodach, lecz przecież zajmowałem się czymś innym. Walka na śmierć i życie wymaga skupienia uwagi. Wystawiłem głowę przez okno i dostrzegłem, że gna do pałacu, przyciskając rozorane ramię do ciała. Tuż pode mną z drzwi wejściowych wypadł Ataksas. Pobiegł w stronę Rakotis. Niósł coś wielkiego. Cofnąłem się i spojrzałem na strzaskany stół. Dzieła nie było.

Musiałem ruszyć w pogoń, lecz najpierw należało załatwić inną ważną sprawę. Straszliwie chciałem wysikać się na Memnona, lecz nie wolno bezcześcić ciał zmarłych. Nie byłem przesądny, ale ostrożności nigdy dość. Spójrzcie tylko, co stało się z Achillesem po tym, jak przeciągnął Hektora za swoim rydwanem. Wystarczyła mi do tego waza. Miecz schowałem do pochwy, nawet go nie wycierając. Niech Hermes ma co robić.

Wypadłem za drzwi w samą porę, aby ujrzeć niknącą w dali postać Ataksasa. Skręcił za róg teatru. Pognałem za nim, wzbudzając ogromną ciekawość mieszkańców Aleksandrii, którzy z wolna zaludniali ulice.

To był ciekawy wyścig. Za każdym z nas coś przemawiało i obaj mierzyliśmy się z przeciwnościami. A stawka była bardzo wysoka. Ataksas dźwigał ciężkie dzieło, lecz startował ze znacznym wyprzedzeniem. Jako były niewolnik pewnie nie spędził w *palaestra* ani godziny, a jeszcze mniej na stadionie, gdzie ja odbyłem należne szkolenie wojskowe, choć przyznać trzeba, że zaniedbałem kondycję fizyczną. Gdyby zdołał dopaść swojej świątyni, byłby bezpieczny. Ja byłem tylko Rzymianinem w mieście, gdzie nagle uznano Rzymian za niemile widzianych, a wkrótce wręcz mieliśmy się stać celem wrogich wystąpień.

Ulice Aleksandrii dawały mi przewagę. Szerokie bulwary, długie, proste przecznice... wszystko to sprawiało, że nie mógł zniknąć mi z oczu na dłużej niż kilka sekund. Zmniejszyłem dystans do niego, bo tak bardzo chciałem go dorwać, lecz byłem świadom, że jeśli dam z siebie wszystko, gnając przed siebie bezmyślnie, to padnę bez tchu na chodniku, nim dobiegnę choćby do Rakotis.

Mijaliśmy targowe stoiska i toczące się z łoskotem wiejskie wozy, ryczące osły i rżące, cuchnące wielbłądy, a nawet parę słońi, przeznaczonych do jakiegoś ceremoniału na hipodromie. Kurczaki uciekały przed nami, lecz koty tylko się ostrożnie przyglądały. Ludzie patrzyli na nas z zainteresowaniem, ale zaraz wracali do swoich obowiązków. Aleksandria to miasto licznych ulicznych scenek, a w porównaniu z nimi nasz pokaz był żałosny.

Zauważyłem, że mieszkańcy mają twarze ciemniejsze. Zaczęły dominować kilty i czarne peruki. Byliśmy już w Rakotis. Teraz stałem się boleśnie świadom swego rzymskiego uczesania i łacińskich rysów twarzy. Gdybym ścigał Egipcjanina, pewnie natychmiast zostałbym zlinczowany. Musiałem złapać Ataksasa i wydostać się stąd, nim postanowią mnie zlinczować niezależnie od okoliczności.

Dopałem go tuż przed uliczką otwierającą się na wielki plac, który otacza Serapeum. Niczego bardziej nie pragnąłem, niż dźgnąć go sztyletem, lecz gdybym zrobił to publicznie i jawnie, bez wątpienia chwilę później skutkiem tego byłaby moja śmierć. Złożyliby mnie na ołtarzu jakiegoś parszywego boga o łbie guźca. Chwyciłem go więc tylko za ramię i obróciłem ku sobie.

Był czerwony na twarzy, dyszał i trzął się z wyczerpania. Pchnąłem go w lukę między dwoma budynkami. Para kotów zamarła, przerywając bitwę o rybnie szczątki na tyle atrakcyjne, aby na nas syknąć. Triumfalnie wyrwałem mu zwój z rąk. Sięgnął za pazuchę po zakrzywioną siekierkę, lecz wybiłem mu to z głowy celnym kopniakiem w krocze.

– Nie bierz mnie za jakiegoś bezradnego matematyka, Ataksasie – rzekłem, gdy wił się na bruku. – Potrzeba kogoś więcej niż napuszonego zbiegłego niewolnika, aby zabić Cecyliusza Metella.

– Ile chcesz, Rzymianinie? – wydyszał. – Uczynię cię bogatszym, niż wyobrażałeś sobie w najśmielszych marzeniach. Cały ten kraj da się splądrować.

– Chcę tylko zobaczyć, co Ptolemeusz z tobą zrobi. A może i twoi

wyznawcy, gdy zrozumieją, że Ataksas to zbiegły grecki niewolnik w peruce, z przyprawioną brodą. Żołnierze króla wejdą do twojej świątyni z oburęcznymi młotami i roztrzaskają fałszywego bożka. Zedrą podłogi i kafle ze ścian, aż znajdą rury, którymi biegł fałszywy głos Baala-Arymana. A może zostaniesz rozerwany na strzępy i pożarty przez żądne zemsty kapłanki o poranionych plecach.

– Pokładasz wielkie nadzieje w Ptolemeuszu – rzekł Ataksas – a jego czas już minął, podobnie jak rzymskie panowanie w Egipcie.

Z trudem uniósł się na kolana.

– Nie, jeśli z tym wrócę do pałacu – odparłem, machając mu przed oczyma dokumentem.

– To nie takie proste, jak sądzisz, Rzymianinie – odrzekł i wiedziałem, że kryło się w tym ziarenko prawdy. W końcu byłem w Rakotis i widziałem, że w tej części miasta nie jest teraz dobrze być Rzymianinem.

– Żegnaj, Ataksasie – odrzekłem. – Przyjdę na twoją egzekucję, o ile zdołasz dożyć wyroku.

Skierowałem się ku wylotowi alejki, lecz nim wyszedłem na zewnątrz, zatrzymałem się i spojrzałem uważnie na ulicę. Zaczynało się robić tłoczno, ale nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Gdy dałem krok w stronę ulicy, raptem usłyszałem straszliwy, obezwładniający dźwięk, który równie raptownie umilkł. Mogłem się tylko spodziewać, że to Ataksas wydał jakiś nieartykułowany wrzask wściekłości. I wtedy coś mnie trafiło dokładnie między łopatki. Upadłem na chodnik. Odwróciłem się, zdumiony. U moich stóp bezwładnie leżało coś szarego i kosmatego. Zaskoczony, w pierwszej chwili nie rozpoznałem, co to jest. Lecz wtedy Ataksas wypełzł na ulicę i wskazując mnie palcem, mając widoczne szaleństwo w oczach wrzasnął:

– Ten Rzymianin zabił kota! – darł się, przechodząc w histeryczny falset.  
– TEN RZYMIANIN ZAMORDOWAŁ KOTA!

Ludzie na ulicy patrzyli z otwartymi ustami. Najpierw na mnie, a potem w dół, na kocie ścierwo, jakby nie dostrzegali najzwyklejszego, odrażającego łgarstwa w tym, co się rozgrywało.

– Zabił kota! – zaczęli sobie przekazywać informację, już to po grecku, już to po egipsku. – Rzymianin zabił kota!

Niebawem otrząsnęli się z pierwszego szoku. Ja tymczasem ostrożnie odsuwałem się od małego ciała, gdy wtem tłum zawrzasnął:

– ZABIĆ RZYMIANINA! ZABIĆ MORDERCĘ KOTÓW!

Rzuciłem się do ucieczki najszybciej, jak się dało. Tym razem to mnie było ciężiej przez dzieło, no i tego ranka już drugi raz próbowałem ująć śmierci. Pomyślałem sobie o tym Greku o niebywale długim imieniu, który przebiegł z Maratonu do Sparty, potem znów do Maratonu, a na koniec jeszcze do Aten, gdzie wreszcie padł martwy. Dostał, na co zasłużył. Koniec końców *jemu* rozwścieczony aleksandryjski motłoch nie deptał po piętach.

Ilekroć obejrzałem się za siebie, widziałem, że tłum narasta. Wieści o ogromie przestępstwa, jakie popełniłem, rozchodziły się niewiarygodnie szybko. Aleksandryjczycy byli żądni nie tylko mojej śmierci, lecz także śmierci wszystkich Rzymian, choć najpierw chcieli oczywiście mnie zabić.

Nawet wydawało mi się zabawne, że rozwścieczony tłum rozedrze mnie na strzępy z powodu śmierci kota, lecz nie mogłem ścierpieć kłamstwa. Przecież byłem niewinny. Nie ja zamordowałem kota. Nie darzyłem miłością tych niewyżytych seksualnie bestyjek, lecz nigdy nawet nie pomyślałem, żeby któregośkolwiek zarżnąć.

Uciekałem z Rakotis, jakbym miał na nogach uskrzydłone sandały Merkurego, lecz wciąż nie czułem się bezpieczny. Motłoch wdarł się za mną do greckiej dzielnicy i nawet tam wciąż tłum narastał. Egipcjanie bywają we wszystkich dzielnicach Aleksandrii, a przecież w każdym mieście pełno jest takich ludzi, którzy nie przepuszczą żadnej okazji, żeby wywołać zamieszki. Sam to wykorzystałem, gdy rozruchy na solnym targu działały na moją korzyść.

Biegnąc obok macedońskich koszar, wydarłem się, ile sił w płucach:

– Zamieszki! Zamieszki! Wyprowadzić oddziały! Miasto stoi w ogniu!

Żołnierze ćwiczący musztrę wyglądali na zdezorientowanych, lecz ich dowódcy natychmiast zaczęli wydawać komendy. Uderzono w bębny, zagrały trąbki.

Obejrzałem się. Żołnierze wypadli za bramę i starli się z napływającym tłumem. Jednak wielu mieszczan się przebiło i starało się mnie dopaść. Próbowałem pognać ulicą na północ, prosto do pałacu, lecz wzburzony motłoch dotarł tam przede mną i odciął mi drogę. To była sprawka Ataksasa. Dlaczego nie zgładziłem nikczemnika, kiedy był zdany na moją łaskę!

Nie pozostało mi nic innego, jak uciekać na wschód, choćby i po Deltę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Oddychałem coraz ciężiej, z każdym kasznięciem odpluwając flegmę. Dostrzegłem mężczyzn w długich szatach i spiczastych czapkach, z włosami luźno opadającymi na ramiona. To oznaczało dzielnicę

żydowską. Byli to Żydzi tradycjoniści, podczas gdy większość Żydów w Aleksandrii ubierała się i czesała na sposób grecki. Wielu też porozumiewało się wyłącznie po grecku.

Wykrzesawszy resztki sił, przyśpieszyłem, zdecydowanie wyprzedzając kocich mścicieli, i pogałem jakąś alejką. Gdy przecięła ją inna, skręciłem w nią. To było krzepiące. Czułem się prawie jak w Rzymie. Zastukałem mocno w drzwi.

– Wpuśćcie mnie – błagałem.

– O co chodzi? – Gdzieś znad głowy dobiegł mnie głos. Należał do mężczyzny o szczupłej twarzy, ubranego w czerwono-białą szatę. Jego oczy wyróżniał fanatyczny blask.

– Gonią mnie Egipcjanie!

– Nie lubię Egipcjan – oznajmił. – Trzymali mój lud w niewoli przez wiele pokoleń.

– Więc ocal mnie przed nimi! Sądzą, że zabiłem kota!

– Egipcjanie to prostacy bałwochwalcy – odparł. – Czczą zwierzęta i bogów o zwierzęcych łbach.

Bez wątpienia była to prawda, choć nie miałem pojęcia, co z tym sporem o bogów miało wspólne obrzezanie.

– Macedończycy już wyszli z koszar, aby stłumić zamieszki – wyjaśniałem dalej – lecz kilku się przedarło i gonią mnie. Wpuść mnie do środka!

– Macedończyków też nie lubię – odparł. – Król Antioch Epifanes zabijał naszych kapłanów i zbezczescił nasze sanktuarium.

Traciłem do niego cierpliwość.

– Posłuchaj, jestem rzymskim senatorem w misji dyplomatycznej. Rzym suto cię wynagrodzi, jeśli tylko pozwolisz mi wejść!

– Rzymian też nie lubię! – wrzasnął. – Twój dowódca Pompejusz szturmował Wzgórze Świątynne, zbezczescił nasze sanktuarium i splądrował świątynny skarbiec!

Że też musiałem zwrócić się o pomoc do człowieka tak pełnego urazy. Ktoś mnie postukał w ramię. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę w greckim stroju.

– Chodź ze mną – rzekł niespokojnie. – Są już na sąsiedniej ulicy.

Poszedłem za nim alejką i weszliśmy gdzieś przez niskie drzwi. Pokój, w którym się znaleźliśmy, był skromny i skąpo umeblowany.

– Amos to nie jest człowiek, którego należałoby prosić o pomoc – wyjaśnił. – Właściwie jest niespełna rozumu. A ja nazywam się Symeon, syn Symeona.

– Decjusz, syn Decjusza – odrzekłem. – Miło mi cię poznać. – Mój oddech nieco się uspokoił. – To wszystko jest zbyt skomplikowane, aby teraz wyjaśniać, lecz to część spisku, którego celem jest nastawienie Egipcjan przeciw Rzymianom. Muszę się dostać do pałacu, lecz nie mogę stąd wyjść, dopóki na ulicach będzie niebezpiecznie.

– Tymczasem ja wyjdę – rzekł Symeon. – Wmówię im, że widziano cię, jak gnałeś ku Bramie Kanopskiej i obok hipodromu. Nie chcemy tego motłochu w naszej dzielnicy.

– Bardzo rozsądne podejście – odparłem. – Pozwól mi tu poleżeć, aż unormuje mi się oddech. Może później mógłbym pożyczyć od ciebie jakiś strój? Zostaniesz sowicie wynagrodzony.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma co myśleć o nagrodach, dopóki twoje życie jest zagrożone. O nagrody będziemy się martwić później.

I poszedł sobie.

Pierwszy raz od bardzo dawna, wydawało mi się wręcz, że od wieków, nie miałem nic do roboty. Poszedłem schodami na górę, gdzie znalazłem pokój dość podobny do tego na dole. Ani śladu żony czy dzieci. Kolejne schody wiodły na dach, więc tam wszedłem. Przycupnąłem za gzymsem i nasłuchiwałem. Zewsząd dochodziły nawoływania rozgniewanego pospólstwa i szczęk broni. W każdym innym mieście zamieszkom na tak dużą skalę natychmiast towarzyszyłyby pióropusze dymu. Płonęłyby kolejne budynki, aż w końcu pożar ogarnąłby całe miasto. Zwykle wtedy od ognia ginęło więcej ludzi niż od zamieszek.

Aleksandria zaś była miastem ognioodpornym. Mogłem śledzić przemieszczanie się większych grup ulicami jedynie na podstawie dobiegających dźwięków. Wydawało się, że cichną, oddalają się ku Bramie Kanopskiej. Potem usłyszałem, że żołnierze zmierzają również w tamtym kierunku. Po kilku godzinach zgiełk głosów powrócił i ponownie odpłynął na zachód. Najwidoczniej wszystkie ulice zagroziły kordony żołnierzy, ustawionych tarcza w tarczę, i zaganiali buntowników z powrotem do Rakotis.

Zastanawiałem się, do czego by doszło w Aleksandrii, gdyby zdarzyło się



komuś zabić dwa koty.

Było już dobrze po północy, kiedy wydawało się, że w mieście na powrót zapanował spokój. Nie znaczyło to jednak, że przestało mi grozić niebezpieczeństwo. Nawet gdy nie było już rozwścieczonego tłumu, gdzieś tam się czaił Achilles. Usłyszałem z dołu jakieś dźwięki.

– Rzymianinie? Senatorze Decjuszu? Czy jesteś tam na górze?

– Symeon? – upewniłem się. – Czy na ulicach jest pusto?

Wyszedł na dach.

– Zepchnęli motłoch z powrotem. Liczne oddziały żołnierzy patrolują ulice, jednak krew się naprawdę poląła. Kiedy tłum występuje przeciwko jednemu cudzoziemcowi, szybko zaczyna atakować wszystkich. My jesteśmy tutaj od czasów założenia Aleksandrii, lecz Egipcjanie wciąż nas uważają za obcych.

– Potrzebna byłaby instytucja obywatelstwa, której Egipcjanie nie wypracowali – zauważyłem. – A teraz muszę się jakoś przedostać do pałacu. Czy możesz mi pożyczyć jakieś ubranie?

– Oczywiście, lecz żaden dorosły Żyd nie chodzi tak ogolony jak ty, ani nie ścina włosów tak krótko. Zobaczmy, co się tu dla ciebie znajdzie.

Zeszliśmy na dół, do pomieszczeń mieszkalnych. Grzebał w skrzyniach, aż wreszcie zademonstrował mi bardzo znoszony płaszcz i jeden z tych egipskich zawojów na głowę, imitujących perukę.

– To należało do niewolnika, którego wyzwoliłem po odsłużeniu siedmiu lat. Zobaczmy, jak będziesz w tym wyglądał.

– Po siedmiu latach? – spytałem, przywdziewając szorstki płaszcz i zabawny zawój.

– Moja religia zabrania posiadania niewolników. Dozwala ich służbę, a po siedmiu latach sługa musi otrzymać wolność.

– Moglibyśmy wprowadzić taki obyczaj – rzekłem. – Pewnie zaoszczędziłoby nam to niekończących się kłopotów. Lecz senat nigdy by się nie zgodził na takie prawo. Użyczył mi też płóciennej, wyświechtanej torby, do której schowałem zwój. Czułem się całkiem nieźle zamaskowany, biorąc pod uwagę okoliczności. Byłem świadom, że na ulicach będzie pełno ludzi Achillesa. Ci zaś na pewno dostali rozkaz dostarczenia mnie do pałacu posiekanego na kawałki.

– Jak najprościej dostać się do morza?

– Jeśli ruszysz stąd ku murom miasta, skrećisz na północ i przejdiesz

wzdłuż nich, dotrzesz do Bramy Rybaków.

– Myślę, że to najlepszy kierunek, jaki mogę obrać. Lepsze to, niż wracać przez Aleksandrię. Żegnaj, Symeonie. Wkrótce możesz spodziewać się dowodów mojej wdzięczności.

– Po prostu zrób, co w twojej mocy, aby zahamować histerię wymierzoną w obcokrajowców, senatorze. To kiedyś było takie cudowne miasto.

Wyszedłem od frontu. Uliczka była pusta. Ledwie parę kroków dzieliło mnie od drogi stanowiącej oś wschód–zachód. Skręciłem na wschód. Dzielnica wydawała się wyludniona. Mieszkańcy skryli się za zaryglowanymi drzwiami, co mi bardzo odpowiadało. Bez żadnych przygód dotarłem do miejskich murów. Po wałach maszerował patrol uzbrojony po zęby. Żołnierze bacznie obserwowali miasto, wypatrując najmniejszych oznak niepokoju. Idąc wzdłuż muru na północ, dotarłem do małej bramy. W ciągu dnia stała otworem, więc nikt nie zwrócił uwagi na jednego z wielu niewolników, który taszczył coś na ramieniu.

Po drugiej stronie bramy ujrzałem kamienne nabrzeże, z którego kilka małych pirsów wcinąło się w płytkie, zielonkawe wody. Większość łodzi rybackich była na morzu, lecz kilku rybaków, którzy woleli łowić nocą, siedziało na pomostach, reperując sieci. Byli to rdzenni Egipcjanie, więc starałem się być bardzo ostrożny.

– Potrzebuję transportu do Wielkiego Portu – rzekłem, podchodząc bliżej do dwóch zapracowanych ludzi, siedzących nieopodal niezle utrzymanej łodzi. – Dobrze wam zapłacę.

Spojrzeli na mnie zaciekawieni.

– A możesz coś zapłacić? – spytał jeden z nich bez ukrytej wrogości. Mówił dość dobrze po grecku. Wyjąłem trzos i potrząsnąłem nim z brzękiem. To ich przekonało. Poskładali sieci i umieścili w łodzi. Parę minut później wiosłowaliśmy wzdłuż półwyspu w stronę przylądka Lochias.

W trakcie pogawędki dowiedziałem się, że nie byli rdzennymi aleksandryjczykami i że mieszkali w małej wiosce rybackiej, zbudowanej na wodzie, na wschód od murów miasta. Nie obchodziły ich żadne zamieszki, o ile nie wpływały na handel rybami. Wziąwszy to pod uwagę, zdjąłem zawój i płaszcz. Im i tak było wszystko jedno. Prawdopodobnie nie odróżniliby Rzymianina od Araba.

Okrążyliśmy fort Acrolochias i przepłynęliśmy między nim a najbliższą z maleńkich wysepek, położonych nieopodal przylądka. Na każdej

znajdowało się niewielkie sanktuarium Posejdona. Na prawo od nas widać było wielką dymiącą wieżę Faros. Płynęliśmy wzdłuż przylądka, a kiedy rybacy zaczęli skręcać w stronę doków, powstrzymałem ich.

– Tam mnie wysadźcie – wskazałem przesmyk między nasadą przylądka Lochias a wysepką Antyrodos.

– To port królewski – zauważył jeden – jeśli tam wpłyniemy, zastrzelą nas.

– Jestem rzymskim senatorem i członkiem rzymskiego poselstwa – odrzekłem dumnie. – Nikt was nie ukarze.

– Nie wierzę ci – zaprotestował drugi.

– W takim razie *zabiję* was! – wrzasnąłem, wyciągnąwszy miecz pokryty zakrzepłą krwią.

I już energicznie wiosłowali w stronę królewskiego portu. Na pirsie stało tam jedynie paru strażników w złocistych zbrojach. Na nasz widok przeszli się parę razy w obie strony, wypatrując, gdzie też przybije łódź, a gdy płaciłem rybakom, podnieśli wściekłą wrzawę.

– Jestem senatorem, Decjusz Cecyliusz Metellus z rzymskiej placówki dyplomatycznej! – krzyknąłem do nich. – Tylko mnie tknijcie, a zginięcie marnie! Muszę się natychmiast widzieć z królem Ptolemeuszem!

– Nie możemy cię wpuścić, nie możemy też zejść z posterunku, senatorze. Będziemy musieli posłać po dowódcę straży – powiedział jeden z nich, niewątpliwie człowiek Achillesa.

– Dlaczego? – spytałem w tonacji niewolnika w komedii, przypatrując się morzu. – Nie widzę, aby jakaś wroga flota mijala Faros. Po prostu mnie wpuście.

– Przykro mi, panie. Takie otrzymaliśmy rozkazy.

– Zachowujecie się głupio – naciskałem.

– A ty, senatorze, czy pozwoliłbyś rzymskim żołnierzom odejść, gdyby zaniedbali obowiązki? – spytał młodszy z nich. I miał rację.

– Nie wolno wam zejść z posterunku, co?

– Przykro mi, panie, ale nie wolno – potwierdził starszy.

– No to nie wolno wam także mnie gonić – rzekłem, śmignąłem między nimi i pognałem do pałacu. Kiedy wrzeszczeli, wzywając inne straże, pomyślałem sobie, że muszę poważnie zająć się bieganiami. To był mój trzeci pościg tego dnia. Nieco dłuższy odpoczynek w domu Symeona jednak też zebrał obfite żniwo. Nogi miałem zeszywniałe i poobcierane. Poruszałem się

chwiejnie, jak ktoś, kto zszedł na brzeg po długiej i burzliwej morskiej podróży.

Minąłem królewską menażerię. Lwy oraz inne drapieżniki podniosły wrzawę, rycząc i zawodząc. Wszystko, co biegało, oznaczało dla nich pokarm. Niewolnicy schodzili mi pospiesznie z drogi, zaniepokojeni szaleństwem w moich oczach i tajemniczym pakunkiem. Nagle ujrzałem przed sobą schody wiodące do sali tronowej. Ptolemeusz powinien być gdzieś w pobliżu. Obiecałem kozę Bachusowi, jeśli okaże się trzeźwy.

Wbiegłem na schody, lecz w pewnym momencie musiałem się zatrzymać, gdy straż zagroziła mi drogę włóczniami. Mieli jednak w oczach ową niepewność, tak typową dla szeregowych żołnierzy, gdy dzieje się coś nieoczekiwanego.

– Senator Metellus z ambasady Rzymu. Domagam się audiencji u króla Ptolemeusza! – wykrzyknąłem.

Wymamrotali coś i szurnęli nogami. Ktoś wyszedł z zacienionego portyku za nimi. Nie był to jednak Ptolemeusz, lecz Achilles.

– Łapcie tego szaleńca i dawajcie no go tutaj – rzekł spokojnie.

No, cóż. Warto było spróbować. Na moje szczęście paradne zbroje były również ciężkie. Rzuciłem się do ucieczki. Przez całą drogę do rzymskiej ambasady utrzymywałem przewagę kilku kroków przed pobrząkującymi metalem strażnikami. Jeśli słudzy i inni dworacy schodzili mi z drogi, gdy gnałem do sali tronowej, to teraz robili to dwa razy szybciej, zmotywowani widokiem sztyletu w mojej dłoni.

Widziałem już niejedno w rzymskiej ambasadzie. Do takich scen jednak nie przywykłem. Na schodach kłębili się mężczyźni w togach i kobiety w rzymskich sukniach, a nawet dzieci, a wśród nich byli chłopcy odziani w togi, obszyte purpurą. Co więcej, przed nimi ustawił się szereg ponurych żołnierzy z włóczniami, których ostrza były skierowane na zewnątrz. Pomyślałem, że to na pewno majaki, lecz wreszcie rozpoznałem kształt wielkich, starodawnych, owalnych samnickich tarcz. To naprawdę byli rzymscy żołnierze, nie legionieści, lecz piechota morska.

– Ocalcie mnie! – wydarłem się. – Jestem senatorem!

Czubki ich włóczni nie drgnęły nawet o centymetr.

– Aresztować go! – wrzasnął Kretyk u szczytu schodów. – Związać i przyprowadzić tu!

Szpaler żołnierzy rozsunał się na tyle tylko, abym mógł przebiec między

nimi i chwilę później natychmiast zwarł szeregi. Gdzieś za mną ze stukotem butów na ścieżce zatrzymali się królewscy strażnicy. Jakies dłonie chwyciły mnie mocno i zostałem wciągnięty po schodach. Właśnie unikałem podobnej sytuacji po to tylko, aby ludzie z mojego kraju potraktowali mnie równie niegodziwie. Rzucili mnie u stóp Kretyka. Zwój wciąż trzymałem przy sobie.

– Zakuć go w kajdany! – wrzasnął Kretyk. – Wybatożyć go! Poszukać jakiegoś kapłana, żeby oczyścił tego małego, zwichrowanego potwora – wykrzykiwał, po prostu wychodząc z siebie.

– Jeśli tylko weźmiesz się w garść...

– Wziąć się w garść? – zawył, purpurowiejąc na twarzy. – Wziąć się w garść! Decjuszu, czy ty masz w ogóle pojęcie, coś narobił? Zaatakowano rzymskich obywateli! Zniszczono ich domy! Rozgrabiono ich własność! A dlaczego? Ponieważ opuściłeś ambasadę wbrew moim rozkazom i zabiłeś kota! Kota!

Pomyślałem, że zaraz trafi go apopleksja.

– Ocaliłem Rzym! – upierałem się. – Jednakowoż to duży i bogaty fragment imperium.

– Dość już tych bajań! Przynieść łańcuchy!

– Chwileczkę – Julia przepchnęła się obok niego ze spopieloną, ściągniętą twarzą. Przyklękła przy mnie i otarła mi pot z twarzy rąbkiem chusty.

– Decjuszu, czy naprawdę zabiłeś jakiegoś kota?

– Ależ skąd! – zapewniłem ją. – Lubię te małe, wszędobylskie zwierzątka. To sprawa Ataksasa. On go uśmiercił, lecz winę zrzucił na mnie. I to on wywołał te zamieszki. A ja mam tutaj dowód, aby przekonać o tym ludność.

Wstała i spojrzała Kretykowi prosto w twarz.

– Wysłuchaj, co ma do powiedzenia – poprosiła.

– Jego wysłuchać! To właśnie przez to te wszystkie problemy! Przez to, że go słuchałem! Nigdy więcej! Oskarżę go o zdradę stanu i zrzucę ze Skały Tarpejskiej. Na hakach przeciągnę jego zdradzieckie ścierwo po schodach do Tybru i utopię w rzece.

Nawet się nie wzdygnęła. Stała wyprostowana naprzeciwko niego twarzą w twarz. Głos jej nawet nie zadrżał, gdy powiedziała:

– Kwintusie Cecyliuszu Metellu Kretyku, jeśli go nie wysłuchasz, mój wuj, konsul-elekt Gajusz Juliusz Cezar będzie musiał z tobą porozmawiać po powrocie do Rzymu.

Kretyk stał tak chyba z pięć minut, aż jego twarz odzyskała zwykłą barwę. A potem rzucił:

– Dawać go tu do środka. – Weszliśmy do atrium. – Mów szybko i lepiej, żeby to było przekonujące.

– Wojna – wydyszałem resztką sił. Nagle u mego boku pojawił się Hermes z napełnionym po brzegi kubkiem. Opróżniłem go jednym łykiem. Złoto nie chłopak. – Wojna z Partią. Rewolta w Egipcie. A to jest skradzione dzieło.

– Zwój! – wrzasnął Kretyk. – Najpierw wzniciasz zamieszki z powodu kota, a teraz chcesz wojny z powodu zwoju?

Miałem już tego wszystkiego dość. Przytrzymałem dzieło za jeden koniec i rozwinąłem je po podłodze. Zajęło całą długość przedsionka, aż wpadło do korytarza, ukazując doskonałe greckie pismo, znakomite rysunki oraz obszerne dokumenty. Oddałem kubek Hermesowi, aby po chwili znów wziąć od niego napełniony. Zebrałem dokumenty, które się wysypały, i wręczyłem je Kretykowi.

– Sekretny traktat między Achillesem i Fraatesem z Partii. Zawiazali spisek, zamierzają obalić króla Ptolemeusza i podzielić się rzymskimi posiadłościami na Wschodzie. Tutaj jest nie tylko podpisany sojusz, ale nawet jego wstępne projekty.

Kretyk uważnie studiował tekst. Spojrzałem na innych pracowników ambasady, którzy w napięciu czekali obok.

– Nie wywiniecie się tak łatwo od wypłacenia mi tych pięciuset denarów, szczone lisy – dorzuciłem w ich kierunku.

Czytając tekst, Kretyk coraz bardziej blednął na twarzy.

– Objaśnij to – zażądał wreszcie.

I tak oto opowiedziałem im pokrótce wszystko, od zamordowania Ifikratesa po moje nieoczekiwane pojawienie się na schodach ambasady. Na ostatek ktoś mi podsunął krzesło, a ja szybko wychyliłem przy okazji trzeci kubek.

– W porządku – przyznał groźnie Kretyk – tymczasem zawieszę wykonanie wyroku. Być może na swój obłąkany sposób oddałeś krajowi przysługę. Wyjdźmy na zewnątrz.

Na dziedzińcu zgromadziła się tłumnie pałacowa straż, lecz my czuliśmy się dość bezpiecznie za plecami rzymskiej piechoty. Zatoczyłem się i chwiejnie stanąłem u boku Kretyka, Julia zaś przy mnie. W tłumie Rzymian dostrzegłem Faustę. Wyglądała na zadowoloną, jakby to całe przedstawienie

zorganizowano właśnie dla jej rozrywki. Achilles stał na czele swoich żołnierzy. Myślałem, że zacznie się odgrażać, lecz go nie doceniłem. Cierpliwie czekał w milczeniu, aby rozeznac się, co będzie najważniejszym działaniem.

– Czy sądzisz, Decjuszu, że weźmie ambasadę szturmem? – spytał Kretyk, wyniośle wyprostowany, z której to postawy słynęli rzymscy urzędnicy w całym świecie.

– Nie ośmieli się – szepnąłem, starając wyglądać równie wyniośle. – Wywołałby wojnę za wcześnie. Potrzebuje tego przymierza z Partią, a nikt mu jeszcze nie doręczył traktatu.

Wtem na tyłach zgromadzenia doszło do jakiegoś zamieszania. Wyglądało to tak, jakby statek zamierzał wpłynąć do ambasady.

– A oto i Ptolemeusz – domyślił się Kretyk. – Miejmy nadzieję, że trzeźwy.

Achilles i jego żołnierze skłonili się, gdy na dziedziniec wyniesiono przeogromną lekturę. Wystawiono pomost, a niewolnicy rozwinęli długi kobierzec, ufarbowany za ogromne pieniądze na kolor tyryjskiej purpury. Ptolemeusz wysiadł. Był trzeźwy. I nie był sam. Za nim kroczyła królowa i niania z dopiero co narodzonym kolejnym Ptolemeuszem, a za nimi szły gęsiego księżniczki: Berenika, uroczysta Kleopatra i wreszcie na końcu mała Arsinoe, za rękę z opiekunką. Piechota morska rozstąpiła się, aby pozwolić im przejść, po czym znów zwarła szyki; ich włócznie znieruchomiały.

Przesłanie było oczywiste: Ptolemeusz oddał się wraz z rodziną pod opiekę Rzymu. Gdy dotarł do szczytu schodów, Kretyk bez słowa wręczył mu traktat. Król przejrzał go, kiedy rodzina była już wewnątrz, w ambasadzie. Potem zwrócił się twarzą do tłumu.

– Dowódco Achillesie, podejdź tutaj – rozkazał.

Tu muszę mu oddać sprawiedliwość: nigdy w życiu nie widziałem kogoś tak nieprzyzwoicie opanowanego. Wchodził na schody z niezachwianą pewnością siebie i skłonił się głęboko.

– Czego mój król życzy sobie ode mnie?

– Wyjaśnień – odparł Ptolemeusz. Trzymał dokument, dowodzący zbrodni, przed oczyma Achillesa. – Próbowaleś aresztować młodego senatora Metellusa, kiedy usiłował mi to przynieść. Czy możesz mi wyjaśnić dlaczego?

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Był bez wątpienia w szale. Stanowił

zagrożenie dla samego siebie i dla otoczenia. Aleksandria nie jest w tych czasach miejscem bezpiecznym dla Rzymian. Chciałem nad nim zapanować dla jego własnego dobra.

– A ten tu dokumencik? – spytał Ptolemeusz.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem – odrzekł, pewnie zgodnie z prawdą. Ptolemeusz uniósł brew, spoglądając w moim kierunku.

– To jego przyboczny Memnon nadzorował powstawanie ostatecznej wersji, pospołu z partyjskim ambasadorem Orodese i tym parszywym świętoszkiem Ataksasem, pełniącym też funkcję skryby.

– Memnona znaleziono zamordowanego tego ranka – rzekł Achilles. – Co senator wie na ten temat?

– To była uczciwa walka. Spiskował przeciw królowi Ptolemeuszowi oraz Rzymowi. Zasłużył na śmierć. Działał jednak w twoim imieniu, Achillesie.

Przeglądał dokument z kpiną w oczach, lecz na twarzy zachowywał powagę.

– W takim razie działał bez mojej wiedzy. Nie ma tu żadnego podpisu ani pieczęci, które wskazywałyby na mój udział. Protestuję przeciw uznawaniu mojego imienia wypisanego cudzą ręką za dowód mojej winy.

– Wezwać ambasadora Partii! – rozkazał Ptolemeusz.

– Niestety – wszedł mu w słowo Achilles – tego ranka również Jego Ekszelencję Orodesa znaleziono martwego nieopodal pałacowej bramy. Wydaje mi się, że wykrwawił się na śmierć wskutek głębokiej rany przedramienia.

– To niedorzeczne – zaprotestowałem – ta rana nie była głęboka! Drogę, którą uciekał, znaczyłaby krew.

– Miałeś dziś więcej zajęć niż gladiator podczas *munera sine missione* – skomentował Kretyk.

– Ciekaw jestem twojej opinii – powiedział Ptolemeusz. – Czy twój król powinien wezwać kapłana Ataksasa?

– Moi żołnierze donoszą, że został zabity podczas zamieszek. Wiesz, jak to jest, panie. Najpierw tłum jest żądny krwi Rzymian, a potem wystarczy im dowolny cudzoziemiec. Podobno był ubrany i uczesany niczym Grek z Azji, dlatego nikt nie rozpoznał w nim świątobliwego Ataksasa. Co za tragedia.

Ptolemeusz westchnął i powiedział:

– Achillesie, nomy w rejonie pierwszej katarakty podniosły bunt. Moje sprawy handlowe na Elefantynie są w wielkim niebezpieczeństwie.



Powinieneś zebrać swoje oddziały i jeszcze przed zapadnięciem zmroku wyruszyć na południe. I nie wolno ci tu wracać, dopóki po ciebie nie poślę.

Achilles potakująco skłonił głowę.

– Panie! – zaprotestowałem, kiedy Achilles zszedł po schodach i zaczął wydawać swoim oddziałom rozkazy. – Ten człowiek stanowi dla ciebie śmiertelne zagrożenie! Spiskował przeciw tobie i Rzymowi! Zamordował Ifikratesa, gdy dowiedział się, że ten składa podobne obietnice innym władcom. Uciszył Orodessa i Ataksasa, zanim zdołaliśmy ich aresztować i skłonić do mówienia. Powinien zostać bezzwłocznie ukrzyżowany.

– Pochodzi z bardzo ważnego rodu, młody Decjusz – odparł Ptolemeusz.  
– Nie mogę teraz przeciw niemu wystąpić.

– Błagam cię, abyś to ponownie rozważył – poprosiłem. – Wspomnij, jak twoi przodkowie radzili sobie w takich sytuacjach. Byli brutalami doskonałymi, zabiliby go, potem wyrznęli jego rodzinę, a następnie wytropiliby ich korzenie w Macedonii, odnaleźli wioskę ich przodków i zrównali z ziemią.

– Cóż, świat był wtedy młodszy i prostszy. Moje problemy są bardziej złożone. Doceniam twoje zasługi, lecz umiejętność rządzenia państwem to moja domena. – Zwrócił się do Kretyka. – Ekscelencjo, wejdźmy do środka omówić ważne sprawy. Muszę prosić Rzym o ochronę przed wewnętrznymi wrogami. Wyplacę też pełne odszkodowania Rzymianom, którzy ponieśli dziś w Aleksandrii straty.

Weszli razem, a reszta personelu ambasady podążyła za nimi. Zostałem sam u szczytu schodów. Przyglądałem się z góry tłumowi rzymskich uchodźców. Achilles, zakończywszy wydawanie rozkazów, znów wchodził na schody, uśmiechając się do mnie. Dłoń zaswędziała mnie, by wyciągnąć miecz i go zabić, lecz byłem tak wycieńczony, że wyjąłby mi go z ręki i nadział nań jak na rożen. Zatrzymał się tuż przy mnie z pełnym smutku wyrazem nienawiści, zdumienia, ale i respektu.

– Dlaczego to wszystko zrobiłeś, Rzymianinie? – spytał.

To było proste pytanie.

– Nie powinieneś popełniać morderstwa na terytorium świątyni muz – odpowiedziałem. – Taki postępek gniewa bogów.

Przez chwilę patrzył na mnie tak, jakbym naprawdę oszalał. Potem zawrócił i zszedł po schodach. Skrajnie zmęczony odwróciłem się i powłócząc nogami, udałem się do ambasady. Lecz gdy tylko wszedłem do

środką, znów mnie dopadli.

Śmiejąc się i krzycząc, personel ambasady obalił mnie na podłogę i związał mi z tyłu ręce. Potem skrępowali mi stopy w kostkach.

– Wciąż sądzicie, że zdołacie uniknąć wypłacenia mi wygranej... – wybełkotałem, za słaby, aby cokolwiek przedsięwziąć.

– Nie zapomnijcie go zakneblować – rzekł Kretyk. Do ust wepchnięto mi szmatę i solennie umocowano ją, wiążąc z tyłu głowy. Kretyk stanął nade mną i dźgnął palcem u nogi pod żebra.

– Decjuszu, na wypadek gdybyś się zastanawiał, skąd wzięła się ta cała piechota morska, to w porcie stoją wojenne galeony: „Neptun”, „Łabędź” i „Tryton”. Posłałem już rozkazy do „Łabędzia” i będzie on rychło w królewskim porcie, dokąd i ty się udasz. Piechota z „Neptuna” ma do wykonania niewielką misję. Muszą spalić posiadłość pana Achillesa. Później flotylla odpływie na Rodos. I właśnie tam cię zabierze.

– Rodos to piękne miejsce – wtrącił Ptolemeusz – choć nieco nudne. Żadnej armii, żadnej polityki. Właściwie nic tam nie ma, poza szkołami.

– Może wysłuchasz, Decjuszu, paru wykładów – radośnie natrzęsał się Kretyk, znów dźgając mnie tym swoim paluchem. – Poduczysz się *filozofii*, co?

I zaśmiali się obaj, aż łzy pociekły po ich starych twarzach degeneratów.

Zaniesiono mnie do portu i ciśnięto na pokład statku. Julia towarzyszyła mi, zalewając się łzami. Trzymała moje skrępowane dłonie, które zresztą zdążyły już zdrętwieć. Zapewniła, że dołączy do mnie na Rodos, kiedy tylko będzie mogła. Pewnie po prostu chce poznać tych wszystkich sławnych mędrców, pomyślałem. Hermes, dźwigając moją broń i bukłak wina, gadał coś pod nosem i przeklinał. Już tęsknił za wygodnym życiem w Aleksandrii.

Gdy statek odpływał, Kretyk zstąpił do doku i zawołał przez wodę:

– Jeśli usłyszymy, że wyspa Rodos niespodziewanie zatoneła, będziemy wiedzieli, kogo winić. Kapitanie, nie rozwiązuj go, dopóki nie miniecie Faros.

Kiedy mijaliśmy latarnię, w niebo wzbił się kolejny słup dymu, na wschód od miasta, niewiele dalej w głąb lądu. Wiedziałem, że aby rozpalić taki ogień, trzeba dużo drewna. Cieszyłem się, że byliśmy za daleko, aby poczuć smród lin z ludzkich włosów.

Wkrótce Aleksandria zniknęła nam z oczu. Kiedy po dwunastoletniej nieobecności przybyłem tam znowu z Cezarem, Kleopatra była już królową

Egiptu. Przygody, które mnie wówczas spotkały, sprawiły, że pierwszą wizytę w Aleksandrii uznałem jednak za nudną i niezbyt obfitującą w wydarzenia. Wreszcie też policzyłem się z Achillesem.

Wszystko to wydarzyło się w Aleksandrii, roku 692 według miasta Rzym, za konsulatu Metellusa Celera oraz Lucjusza Afraniusza.

KSIĄŻKA NOMINOWANA DO NAGRODY  
IM. EDGARA ALLANA POE (EDGAR AWARDS)

CUDOWNA, WCIĄGAJĄCA, NIEBANALNA  
ROZRYWKA W FORMIE DOSKONAŁEJ POWIEŚCI  
DETEKTYWISTYCZNEJ.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

ŚLEDZTWO DECJUSZA  
SPRZYSIĘŻENIE KATYLINY  
OPERACJA MARKA SCYPIONA  
ŚWIĘTOKRADZTWO NA MISTERIACH

Kiedy rzymski senator Decjusz Cecyliusz Metellus Młodszy otrzymuje propozycję uczestnictwa w misji dyplomatycznej do Aleksandrii, z radością wykorzystuje tę okazję do ucieczki przed wrogami, czyhającymi w Wiecznym Mieście – nawet jeśli oznacza to konieczność opuszczenia ukochanego Rzymu. Delektuje się w egzotycznej afrykańskiej metropolii przyjemnościami życia, kiedy nagle skory do gniewu matematyk ginie w tajemniczych okolicznościach. Jego śmierć zbiega się w czasie z apokaliptycznymi wizjami charyzmatycznego przywódcy Ataksasa. Zaintrygowany Decjusz prosi faraona o pozwolenie na poprowadzenie śledztwa w sprawie tej haniebnej zbrodni. Otrzymuje zgodę. Wtem z niewyjaśnionych przyczyn ktoś podkłada do jego łóżka ciało słynnej hetery. Nagle Decjusz odkrywa siatkę konspiratorów o szerokim zasięgu, znacznie bardziej niebezpieczną niż spodziewał się znaleźć – taką, która grozi doprowadzeniem całego imperium do upadku.

Patronat medialny:



DEMOTYWATORY.PL



[www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)

# Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Okładka